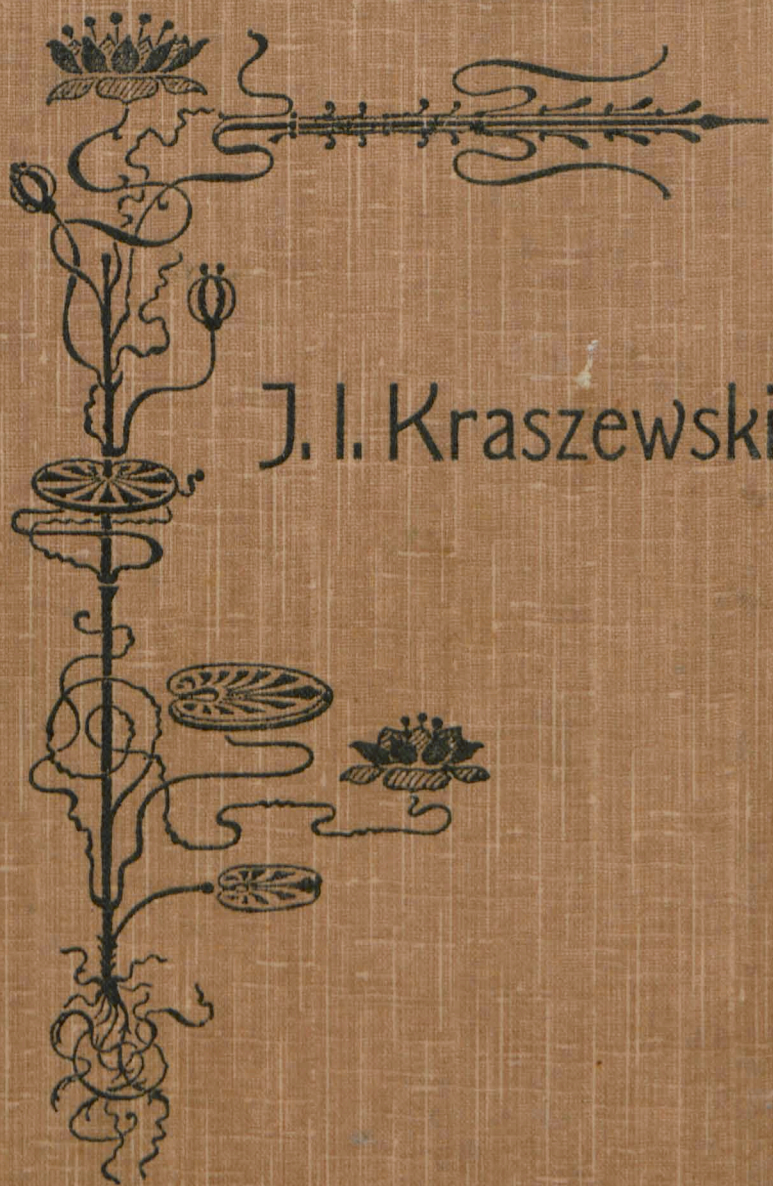




J. I. Kraszewski

POWIEŚCI HISTORYCZNE
J. I. KRASZEWSKIEGO.

(WYDANIE TANIE).

Tom dwudziesty.

STACH Z KONAR.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

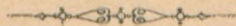
Z CZASÓW KAŻMIERZA WIELKIEGO.

PRZEZ

J. I. KRASZEWSKIEGO.

TOM II.

Ktoś



WARSZAWA.

NAKŁADEM MICHAŁA GLÜCKSBERGA

—
1888.

Zameczek Sandomirski, zwłaszcza od czasu gdy go po Henryku wziął ów piąty syn Krzywoustego, sierota, zostawiony bez wyposażenia, stawał się coraz piękniejszym na oko, wygodniejszym dla mieszkańców.

Gdy Kaźmierzowi duchowni żenić się nakazali a przybył mu dwór księżnej Heleny, rozszerzyć przyszło budowy do obyczaju wschodnich teremów się stosując, ulubione na Rusi ciesielskie z drzewa wzniesiono komnaty.

Sam piękny twarzą, postawą, obliczem rozumem i miłością obudzającym, Kaźmierz też lubił, aby to, co go otaczało, wdzięczną przywdziewało szatę. Zbyt ku nie chciał, ale wytworność jakiej się na zachodzie napatrzył, stała mu się potrzebą. Na dworze Cesar skim Rudobrodego, w miastach niemieckich i włoskich przepych i wykwinność panowała. Trudno jej tu było sprostać, lecz książę rad był mieć co widywał gdzieindziej.

Ciche to było to Sandomirskie schronienie najmłodszego z synów Krzywoustego, dwór przy nim nie nazbyt liczny, lecz od wrót poczynawszy podróżny wchodząc mógł poznać, iż tu zamieszkuje pan, który wiele widzieć musiał świata i miłował ład wszelki.

A z ludzkich twarzy i ruchów mógł też odgadnąć, iż tu więcej miłość niż groza rządziła. Chodzili wszyscy uśmiechnięci, spokojni, sporów nie zawodząc, nie spiesząc aby próżnować potem. Szło wszystko ładem i cicho.

Nie zbywało na rycerskich przyborach, na łowczych psach i sokołach. bo bez tego nikt naówczas nie był, częściej tu jednak spotkało się habit Cystersa, suknię Bożogrobca i sutannę księżną, kaptur benedyktyński, kleryka z księgą, niż żołdaka i ciurę.

Oprócz teremów księżnej drewnianych, które ze starym zamkiem przejściem słupiąstym się łączyły, same zamczysko, w części murowane, zawierało izby niskie, różnej wielkości jak w różnych czasach były dobudowywane, utrzymane czysto i w godła rycerskie

i religijne poprzybierane. W izbach dla księcia przeznaczonych broń wschodnią różną po ścianach rozwieszoną, obrazy na złotych tłach, ołtarzyki szafiaste, rzeźby z kości słoniowej, szyte i tkane opony, na których arabskie napisy widać było, spotykało się wszędzie. W niektórych komnatach już i małe błony szklane w ołów oprawne miały okna.

Komnatę, w której niegdys książę Henryk prze mieszkował, po zgonie jego, na znak miłości braterskiej Kaźmierz tak pozostawił, jak ją zastał po zmarłym. Stała w niej zbroja jego ulubiona, wisiały kolczugi, hełmy, miecze, włócznie, proporce, a część ich ustawiona umyślnie zbrojnego przedstawiała rycerza. Wisiał nawet płaszcz, który z Henrykiem wrócił z Jerozolimy. Książę Kaźmierz przebywając tu, patrząc na te pamiątki, brata sobie mógł przypominać, którego opłakiwał. Przychodził się tu modlić za niego i młodość swą rozpamiętywać. Sam zajmował izbę obok równie przystrojoną zbroją ciekawą, mieczami i orężem osobliwym włoskim i niemieckim, normandzkim i wschodnim.

Ze wszystkich izb jednak, gdyby najulubieńszą księciu wskazać przyszło, trzeba było wybierać tę, w której do stołów zasiadano, nie dla jedzenia, ale dla długiej po niem rozmowy i czytania.

Zimową porą palił się tu ogromny ogień co ją wieczorami ogrzewał i oświecał. Przy wielkim stole dębowym otoczonym ławami i stołkami zasiadał książę i jego ulubieni towarzysze, niegdys Mateusz Cholewa biskup krakowski, potem Cysterscy opaci, mnisi i duchowni. Najrozumniejszych mężów obcych i swoich dobierał sobie Kaźmierz do towarzystwa, ugaszczał ich, obdarzał, zatrzymywał przy sobie, a trafiało się nieraz, gdy wieczorem rozpoczęto rozmowę, czytania i opowieści, iż się one dopiero o brzasku kończyły.

Najszcześniejszym bywał książę, gdy się mógł coś nowego nauczyć i dowiedzieć, gdy mu przyniesiono wieści o tem, co się na szerokim świecie działo,

albo gdy uczony człek stare dzieje z księgi mu czytał i tłumaczył.

Gdy z zagranicy do Krakowa, albo do którego z nowo założonych klasztorów udało się zdobyć rękopism drogi a rzadki, radość była wielka a niewypowiedziana. Książę zapominał potrosze o żonie, o myślistwie i o całym świecie, zdawał sprawy księstwa na ulubionego Goworka i innych urzędników, których szczęśliwie sobie do boku dobierać umiał, a sam z głową spartą na ręce, słuchał a słuchał czytania i opowiadań, których nigdy zadość nie miał.

Z czytania wywiązywały się nieraz rozprawy o rzeczach różnych, w których udział brali duchowni i świeccy, spierano się, roztrząsano i czas schodził niepostrzeżony.

Ludzie więcej rycerscy a mniej rozgarnięci pocichu się wysmiewali z księcia Kaźmierza, iż po matce wziął tego ducha a rodził się bodaj więcej do kaptura mniszego, niż do zbroi, na Opata bardziej niż na księcia; ale drudzy uśmiechając się podszeptywali, iż nadto niewiasty miłował, aby się zdał na mnicha.

Prawdą niestety było, iż o ile mądrość kochał, o tyle go i niewieścia twarz piękna pociągała ku sobie i mogła całę zbawić rozumu. On sam znał się do tej słabości i wstydził się jej, a oprzeć nie umiał. Wielu mu ją wybaczalo pamiętając na to, co Chrystus powiedział, gdy jawno grzesznicę ukamieniować chciano.

Pięknej twarzy, wdzięcznego lica, wielkiego serca książę Kaźmierz łatwo u niewiast powolność znajdował, chociaż i mężczyźni tak samo lgnęli doń i kochali go. Dusza w nim była piękna, która do wszelkiego dobra i piękna jak słonecznik do jasności dziennej się zwracała. Nigdy on nie zapragnął zemsty, nie pokrzywdził z dobrej woli nikogo, a wielką cześć sprawiedliwości nosząc w duszy, każdy krok swój do niej stosować się starał.

Już sławne owo w młodości pierwszej znalezienie się jego ze Stachem z Konar, malowało człowieka

i słabość i szlachetność; później wielu słabości młodzińcych pozbył się książę, a cnót nabył jeszcze. Patrzano nań ze wszech stron ze czcią, jak na wybrańca Bożego. To też rodzina cała, brat Mieszek i dalsi zazdrościli mu miłości ludzkiej, a z heroizmu jego nieraz się naśmiewali. Ale kto raz się doń zbliżył, nigdy mu się nie stał niewiernym; tak wielki urok miał książę, tak wielką siłą przywiązywał do siebie.

Liczył już naówczas Kaźmierz lat około czterdziestu, ale spokojna i piękna dusza, czyniła go tak młodym twarzą, tak powabnym, iż mu dziesięć lat mniej z pozoru dać było można.

Zdawałoby się na oko, że ten mąż, którego wszyscy kochali i szanowali, którego ojciec zostawił bez ziemi, a los mu dał wyposażenie, otoczony spokojem, ludźmi wybranymi, gromadką wierną musiał być szczęśliwym; jednak gdy po owych wieczorach mądrych rozmów, wśród których o wszystkim zapominał i lice jego promieniało, znalazł się Kaźmierz sam jeden lub w towarzystwie wiernego powie nika Jaksy z Miechowa, Goworka lub przywiezionego z Niemiec ulubieńca Wichfrieda, twarz jego przybierała wyraz cichego jakiegoś smutku i widać było, że mu do życia brakło czegoś, że w sercu cierń jakiś nosił.

Nigdy nikomu książę nie objawiał co go bolało, owszem dobrotliwie uśmiechając się do ludzi, zdawał się rad ze swego losu.

A przychodziły nań chwile ciężkie, w których krew gorąca, rycerska poskramiąca życiem i modlitwą odzywała się gwałtowniej, naówczas jak rozbudzony rwał się do konia, jechał na łowy i zwykle, z czem się już ludzie oswoili, znikał na dni kilka tak, że dwór nawet o nim nie wiedział, a powracając przynosił z sobą nie uspokojenie, ale smutek większy jeszcze i znużenie.

Starzy słudzy i dworzanie choć szpiegować pana nie śmieli, domyslać się wzdragali, mimowolnie do-

strzegli, że zwykle przed taką wycieczką w lasy, zjawiała się na zamku stara baba żebraczka, która w podwórzu siadywała dopóki książę jej nie zobaczył.

Często sam do niej wychodził z jałmużną i zakazano było ludziom, ażeby jej nie odganiali a nie złego czynić się nie wazyli.

Stara, którą przezwano Kozichą, bo czasu zimniejszego kożuszek z koziej skórki nosiła, zjawiała się jakoś zawsze w przededniu, gdy księcia do łowów napaść miała ochota i znikła potem tak, że jej ani na zamku, ani w mieście nie widywano. Domysłali się więc przybocznicy, że tam coś innego, nie łowy księcia do lasów pędziło i szeptano o jakichś miłostkach tajemnych, ale nikt dosledzać ich nie śmiał i nie wiedział dokąd jeździł książę, oprócz jednego sługi milczącego, którego Smokiem zwano.

Duchowni też musieli się czegoś dorozumiewać, gdyż choć nie wprost, ale ubocznie o niewiastach zagadując ostrzegali często księcia o niebezpieczeństwie obcowania z niemi, pokusach i uroku zgubnym, jaki na mężczyzn wywierały. Kaźmierz słuchał pilno, spuszczał oczy jakby się do winy przyznawał, ale łowy tajemnicze powtarzały się zawsze.

W domu jedyną rozrywką księcia były pobożne śpiewy przy organie, na którym grywać lubił *) i biesiady wieczorne z mężami dobranymi. Dla tego zawsze ktoś na dworze z księży albo z Krakowa lub z jednego ze świeżo pozakładanych Cysterskich klasztorów przebywał. Czasem po kilku się ich zbierało, a wówczas dla księcia gody były prawdziwe.

Pod ten czas bawił właśnie opat zakładającego się w Sulejowie klasztoru, francuz Lucius, Lambert scholastyk z Krakowa i młody bo ledwie siedemnastoletni wielkich nadziei nauki chciwy Wincenty syn Boguchwała, sposobiący się do stanu duchownego,

*) Kadłubek.

którego dla żywości umysłu, pamięci nadzwyczajnej i łatwej wymowy, książę bardzo miłował.

Był ten Wincenty jakby cudownem dziecięciem swojego czasu, starzy mu się dziwowali i zdumieni słuchali go, wróżąc mu przyszłość wielką. Bóg go tak obdarzył, iż więcej się w lat kilka nauczył, niż drudzy przez całe życie, a cokolwiek raz usłyszał, pamiętał dziwnie tak, iż całe ustępy z pisarzy łacińskich bez księgi powtarzał. A miał też dar słowa osobliwy, że z niem, jakby igrając tkał najmisterniejsze wzory. Noce i dnie siadywał niezmordowany nad księgami, pielgrzymując gdziekolwiek o nieznanym sobie zasłyszal, wprasząc się do bibliotek klasztornych, trawiając wśród postów i umartwień miesiące całe nad niemi. Więc też w krótkim czasie pochłoniął Wincenty wszystko niemal, cokolwiek w Polsce przy kościołach, szkołach po biskupich dworach i klasztorach się znajdowało, a książę Kaźmierz głośno o tem mówił, iż go chce ślać do Rzymu i Paryża, aby się nasycił, zbagacił i do kraju z plonem obfitym powrócił. Obawiano się tylko, aby przy wielkiej żywości umysłu swego a chciwości nauki wszelkiej, kacerstwa jakiego, zwłaszcza Abaljardowego, na które Bernard święty nastawał, nie zachwycił.

Oprócz tych mężów duchownych, kilku zawsze mężów statecznych siadywało przy królewiczu, a dwór jego składał się po większej części z takich, co obce kraje i języki znali.

Miało się ku wieczorowi dnia tego, gdy książę od żony i synka powróciwszy, obyczajem swym w izbie wielkiej, miał zasiąść do stołu ze dworem i gośćmi. Dzień był wiosenny dziwnie pogodny i piękny, okna wszystkie stały otworem, świeże powietrze od łąk nadwiślańskich niesło z sobą woń młodych kwiatów i drzew zaledwie porozpękanych. Kaźmierz siedział jeszcze w izbie swej czekając oznajmienia, spoczywając z głową na dłoni opartą. Do jego cichej komnaty dochodziły głosy zgromadzonych już w wielkiej izbie

biesiadników, których od niego tylko komnata Henrykową zwana, dzieliła. Mógł tu nawet rozpoznać rozmawiających po mowie, i byłby może ku nim pospieszył, ale go jakieś znużenie ducha do krzesła przykutym trzymało.

I siedział tak dosyć długo zapatrzwszy się ku niebu zachodniemu, bardzo smętny, sam może smutku tego nie znając przyczyny. Przychodzi on tak często do serca ludzi właśnie, gdy ich otacza wesele i pogoda, niosąc przecucie ich niestałości, znikomości przeszłego.

W tem coś około okna, przez które tylko wieczornymi loty przemykały jaskółki, przesunęło się jak cień, książę powstał żywo i wyrżał.

Podwórzem pod murem samym przesuwiała się zwolna stara baba płachtą otulona w podartych na nogach chodakach, o kiju, z garnuszkim u pasa, z sakwą na plecach. Szła i zdawała się upatrywać czegoś. Z pod zawieszanej nad czołem chusty, widać było twarz bladą, zmarszczkami okrytą, w której czarne, niespokojne, małe oczka biegały.

Ujrawszy księcia w oknie, baba obejrzała się do koła, podniosła rękę do góry, dała mu znak jakiś, ukazując na lasy i żywo pod mur się przysunęła szepcząc coś niedosłyszanego. W części tej podwórza nie było nikogo; książę sięgnął do kalety i garść pieniędzy jej wyrzucił.

Słów jej książę nie dosłyszał pewnie, ale się ich domyślił. Mówiła cicho ale żywo, gorąco, natarczywie, rękami przebierając, głową zwracając, postukując kijem, który trzymała w ręku. Książę szybko skinieniem głowy tylko jej odpowiedział i cofnął się do okna.

Właśnie podkomorzy książęcy Prandota, mąż podżyły, rumiany, wesołego, pełnego oblicza wszedł był z pokłonem ręką ku wielkiej izbie wskazując, w której wieczernę podano.

Usmiechnął mu się książę i postąpił zaraz ku

progowi, w izbie Henrykowej przez którą przechodził ledwie czas mając rzucić okiem na drogie pamiątki po bracie, o którym nigdy nie zapominał. Owa stojąca zbroja Henrykowa, zawsze mu jakby żywy obraz jego stawiała przed oczy. Pamięć dopełniała wizerunku; płaszcz biały krzyżowca, który zbroję okrywał powiększał złudzenie. Pokłuty on był strzałami, zapyłony i przypominał wyprawę z Niemcami i Ludwikiem francuzkim, na którą tak gorąco Bernard święty powoływał.

W izbie wielkiej cały dwór męzki był już zgromadzony, na czele stali opat Cystersów Lucysz, miłego oblicza mnich, który z przybyłymi z Francji braćmi właśnie się osiedlał nad Wartą, dalej czarno zarosły a chmurno patrzący scholastyk Lambert, który nauki miał więcej niż zdradzał, bo małowówny był; wreszcie za nimi niewielkiego wzrostu, w sukience czarnej obcisłej, skromny czelczek, na którego twarzy młodzieńczej w oczach mocno wypukłych, na czole szerokiem i wydatnem błyszczał rozum przenikliwy i zapal nadzwyczajny. Był to ów Wincenty cudowny młodzian, który stał nieraz za całe *armarium* przy wieczerni, bo do niego, jak do księgi się powoływano.

Oprócz podkomorzego Prandoty miał książę marszałka dworu Gwidona, cudzoziemca w rycerskich i domowych sprawach biegłego, a jako przyjaciel serca poufały stał najbliższy Goworek i Wichfried z nad Renu, u którego dziada na wygnaniu swem książę przebywał. Liczna družyna, pułkowników, młodzież rycerska, ziemianie Sandomirscy, kapelan, kanclerz izby zapelniali. Choć dzień powszedni był, ludno jakos na zamku się poruszało.

Pacholeta już z misami szli ku stołowi, gdy inni dzbany z wodą, misy i ręczniki nieśli do umywania rąk. Opat Lucysz stanawszy w miejscu wskazanem przy księciu, przeżegnawszy się rozpoczął modlitwę.

Bez niej naówczas nikt nie spożywał. Dopiero gdy stół przeżegnawszy Opat dokończył błogosła-

wieństwa. a goście mu Amen odpowiedzieli i przeżegnali się, każdy na ławie zajął miejsce swoje.

Po dwu i po trzech jadło z jednej misy, bo osobnych mis i półmisek dla biesiadników nie dawano, noże i łyżki wszyscy nosili przy sobie, innych do jedzenia narzędzi nie potrzebowano. Kubki nalewali cześnicy. Strawa choć na książęcym stole, prosta była, składała ją zwierzyna pieczona, kasza, mleko, chleb, a za napój służyła woda, miód, piwo, dla dostojniejszych zaś wino, często korzeniami i miodem zaprawne.

Mnóstwo cudzoziemców, zwłaszcza duchownych z Francji i Włoch do nas przybywających, a do napoju tego nawykłych w domu, wcześniej do nas wino wprowadziło, na lepszych stołach było ono zwyczajnem. Ziemianie jednak długo jeszcze potem miodem i piwem po wsiach się raczyli. Od wieków umiano warzyć je doskonale. a na Pomorzu sławiły się gęste, czarne piwa, które długie lata w beczkach wytrzymywały. Gdańsk słynął niemi.

U księcia Kaźmierza choć dostatek był we wszystkim, nikt napoju nie nadużywał, a książę sam po smutnych doświadczeniach młodości bardzo z nim był ostrożnym. U stołu natychmiast rozmowa się zawiązała żywa bardzo o tem co podróżni przybywający z zagranic do Krakowa, przynosili z sobą.

Opowiadano o pokucie jaką król Henryk miał u grobu kanonizowanego przez papieża Aleksandra, Tomasza świętego odbywać, o wyprawach do Włoch Rudobrodego i jak mu się tam niezawsze powodziło szczęśliwie, o powrocie czeskiego księcia, który Cesarza opuściwszy na szwank go miał narazić, o wielkiej potędze kraju Wenetów, wypadkach na wschodzie i w Hiszpanii.

Więści ztamtąd choć nierychło przychodziły do Polski, z ust do ust przez Niemcy tu płynąc, wyszpcone i przesadzone, wszakże coś zawsze prawdy w sobie mające. Książę Kaźmierz, który długo u Rudo-

brodego przebywał a miał czas mu się przypatrywać zbliska, sławił rozum jego, potęgę i miłość sprawiedliwości, choć nie zaprzeczał, iż niekiedy srogim był i okrutnym, prawa przebaczenia odmawiając sobie i ściśle przestrzegając, aby się zakon spełniał.

W tych wiekach surowość nie dziwiła nikogo, bo łagodnością nie począć nie było podobna z ludźmi jeszcze twardymi, gwałtownych i nieobudzanych namiętności.

Wkrótce w pośród rozmów tych, misy się wypróżniły i pacholeta je ze stołu zbierać poczęły, podano znowu wodę i ręczniki, odmówił Opat dziękczynną modlitwę, ale nikt nie wstał od stołu. Teraz dopiero zwawsza się zawiązała rozmowa o przedmiotach różnych, której książę Kaźmierz z ciekawością i upodobaniem przysłuchiwać się zaczął.

— Przewielebny ojcze — ozwał się czarno zarosły scholastyk Lambert do Opata Cystersów, z ukosa na księcia spojrzawszy, i jakby w zмовie z francuzem głos podnosząc — obiecywałem mi jakąś przedziwnej piękności rzecz odczytać, którejby pewnie i dostojny pan nasz rad posłuchał. Jeżeli mnie pamięć nie zwodzi, Claudjusza Maryusa Wiktora starego pisarza rozmowę z Opatem Salmonem o obyczajach owych wieków!

Opat nieco się zmieszał, a książę podchwycił z natarczywością.

— A! czytajcie, proszę!

— Rzecz to zadługa — odparł Opat — a i wieki dla których pisana była (V wiek) od nas odległe, choć to zawsze prawdą jest, bo się człowiek nie zmienia.

Słyszac o czytaniu młody Wincenty, na którego Opat spojrzął, miał się jakby do powstania z miejsca, Lucyusz mu dał znak, aby pozostał.

— Prawda, że list ów długi jest — przerwał Scholastyk — a no dajcie nam choć ono miejsce z niego, które na pamięć umiecie. Radzi byśmy je poysłszeli.

W pogańskich pisarzach, których u nas wielu dla pięknego ich wielbi języka, tak zdrowych myśli nie znaleźć.

— Przewielebny ojciec—nagił Kaźmierz—nieodmawiajcie nam, powiedziecie, co zapamiętaliście. Choćbyśmy nie wszystko lub nie wszyscy zrozumieć mogli, coś zawsze na nasz pożytek zostanie.

Opat wahał się jeszcze.

— Uczynicie nam tę łaskę — dodał Scholastyk — książe nakarmił ciało, wy duchowi dajcie posiłek.

Z natężoną uwagą, wśród powszechnego milczenia słuchali wszyscy, a Opat zmuszony tak rozpoczął.

— Opuszczę wstęp, idę do rzeczy; gdy Wiktor obyczaje ludzi swojego czasu malować poczynił. Były to czasy wojen, niepokoju, głodu a klęsk wielkich, ale nie tyle one ludziom, co ludzie sobie sami szkody przyczyniali. Więc Wiktor się odzywa:

„Ani wróg, ani głód srogi, ani choroby nie zmogły nas; czemeśmy byli, tem jesteśmy, a choć nas nie-szczęścia wypróbowały, lepszemiśmy się nie stali. Pielęgnujemy występki nasze a grzeszyć nie przestajemy. Nic dla nas świętego oprócz zysku, pocziwe to tylko, co korzystne, złemu imię dajemy dobrego, a skąpcę mianujemy oszczędnym“.

Tu Scholastyk ręce podniósł do góry wołając:

— O święta prawda i dzisiaj! — Opat ciągnął dalej:

„Ci co wpośród jawnych występków, oczywistych zbrodni, nie potrafili ukryć szalbierstw swoich pod płaszczkiem cnoty, karmia rany swe mimo wiedzy, porwani, uniesieni, osłepieni światową mądrością, która nie zna prawdy. Oblęd zgubny wiedzie niektórych biedotę do poszukiwania przyczyn rzeczy, uczy się gwiazd biegu, chce znać niebios kształty, przyczyny, dlaczego rzeki nie wysychają w długim biegu i gdzie się kończą nieskończone morza. Radziłyby wiedzieć co Bóg wie jeden, a co dla wszystkich zakryte, w zaślepieniu swem mniemają, że to wiedzą“.

Tu Scholastyk przerwał Opatowi.

— Ale to miejsce, to, gdzie o niewiastach mowa!

Książe zarumienił się mimowoli, Lucyusz spuścił oczy i mówił dalej z pewnem wahaniem i jakby obawą.

— „Noc rosą zwilżona, dzień i światłość przedziejby cieniami oblokła, o Salmonie, nimby potrafił rozpatrzyć się w obyczajach płci tej, która z rozkazu Bożego żyje, pod mężczyzny prawem, a nie grzeszy, o sromoto! nigdy bez winy naszej.“

„Bo gdybyśmy tak skłonni nie byli, do podzielaniania jej zdrożności, nie dopuścilibyśmy, aby żyły występkami naszymi, nie kupowałyby kosztem kilku ziemskich posiadłości sukni wyszywanych złotem, ani tkanin Serskich, ani kamieni drogich, które kupcy z zamorskich krain przynoszą, a za którymi tyle smutnych westchnień leci. My do tego jeszcze łączym lekkomyślne troski. Jeżeli Lesbija chodzi obwieszana kamieniami przywoźnemi a drogiemi, jeżeli Passina cała promienieje pod świeżą purpurą, wnet inne tychże upominają się strojów. A że się uczą i starają one w coraz nową postać, okazując mężczyznom oblicza co chwila ułożone inaczej, toż nie mężczyźni winą? Czystemu ciału po co się zdały bielidła, barwiczki i tysiące trucizn barwy różnej? Piękna dusza, obyczaje święte czynią stadła szczęśliwemi. Jeżeli tylko piękność nas ciągnie, lata nadchodzą, miłość ucieka, a pocziwość jedna nie starzeje...“

„Jeżeli niewiasty czas na przechadzkach tracą, wydają uczty, tysiące szaleństw popełniają, plotą nie do rzeczy, a też nie nasza wina?“

Opat się zatrzymał, panowało milczenie.

Książe który z uwagą się przysłuchiwał — rzekł łagodnie.

— Nie spełnia to obyczaje wieku i kraju naszego, myśmy może nie lepsi, ale niewiasty nasze do owych rzymskich nie są podobne.

Scholastyk zlekka ręką po stole uderzył.

— Miłościwy książę—zawołał—chybaście Krakowa zapomnieli, a po dworach bogatych żupanów nie przypatrywali się ich obyczajom. Juści może w szatach nie ma zbytku tyle, bo go u nas zaspokoić trudno, a co zepsucie i płochość większe jeszcze, choć się lada strzępkami i sprzążką ustroi.

Książę Kaźmierz jakby przedmiotu tego dotykać się wahał, zamilkł przysłuchując się tylko a nie mieszając do rozpraw. Opat też nieco skłopotany, rad był w inną stronę odwrócić uwagę. Scholastyk tylko uparcie trzymał się założenia swojego.

— Mało powiedział Wiktor ów—dodał gorąco—ba i zgrzeszył tem, że wszystko na mężczyznę składa. Wszakci upadku Adamowego winną była niewiasta, a znana jest pewnie wszystkim historia świętego, którego imię Wiktora mi przywodzi na pamięć, Wiktoryna neapolitańczyka. Ten pędził żywot świętobliwy na puszczy, w postach surowych, na modlitwie nieustającej. Stary zaprzysięgły wróg rodzaju ludzkiego, wedle natury swej złością ku niemu został zdjęty. Wziął więc na się postać młodej dziewczyny i szedł do pieczary pustelnika, udając jakoby zbłądziła. Poczęła jęczeć u drzwi. — A! ja nieszczęśliwa, otom wśród lasu zabłąkała się w ciemnościach! Ratuj mnie, ktokolwiek tu mieszkasz! gdzie niema jeno puszcza i niebo. Oto nachodzą dziki warczące! puść mnie przez litość, odejdę o brzasku! Zlituj się, bądź miłościw, daj mi na noc schronienie. Niedźwiedzie ryczą koło mnie, wilków wycie słyszę. Ratuj, dopóki czas! Jeżeli ocaleję życie ci będę winna, a zginę toć przez ciebie!

Wiktoryn ulitowawszy się jęczeniu temu nareszcie drzwi jej otworzył, wprowadził dziewczynę posadził ją z jednej strony, a sam usiadł z drugiej opodal w kącie.

Nie upłynęła godzina, gdy owa dziewczyna ko-

łyszając się i poruszając nogą dotknęła nią świętego — i zapaliła w nim żądzę straszną! *).

Niektórzy z dworzan siedzących za stołem pokryjomu z powieści tej śmieszki stroić zaczęli, młody Wincenty spuścił oczy, książę Kaźmierz nie rzekł nic.

Zdaje się iż w końcu sam książę Scholastyk postrzedz musiał iż tą budującą rozmową nie wielce się podobał księciu, który, przeciw zwyczajowi swemu, milczał.

Spytał więc Opata Lucyusza, czy ze sobą też nie przywiózł z Francji pięknego poematu, o którym zasłyszał, opisującego czyściec S. Patryka.

— I jam też o nim coś słyszał, — odezwał się książę, przerywając milczenie — nie znam go jeszcze.

— We Francji czytałem go, — odparł Opat — powtórzyć jednak nie potrafię jak go Trubadurowie nasi ułożyli, chyba samą treść zapamiętam.

— Historia wiarogodna — dodał Scholastyk żywo — boć nie ulega wątpliwości iż kilku już świętobliwym ludziom danem było oglądać czyściec i Raj nawet — i piekło samo, dla zbudowania i nawrócenia młodzińnych.

— Tak też był szczęśliwym i ów rycerskiego zawołania mąż, anglik, o którym pieśń opiewa, imieniem Oweins, — rzekł Opat. — Ten dla oczyszczenia się z grzechów swoich, pielgrzymkę do Czyśca przedsięwziął. Wiadomo jest iż na jeziorze Dungal, znajduje się pieczara, którą Patryk Święty, po długich postach i gorącej modlitwie, skinieniem ręki otworzył. Tu Oweinsowi pobożni zakonnicy wnijscie do Czyśca wskazali.

Wszedłszy Oweins a kawał drogi przebywszy w ciemnościach, natrafił w istocie na miejsce w którym cierpieli ci co się oczyszczali i ci co na kaźń wiekuistą skazani byli. Ale u wnijscia poczał go straszyć

*) Bolland 8 Stycznia.

i odganiać Szatan, którego on nie uląkszy się, potrącany, wypychany, ciśnięty przez diabłów. przeszedł przez te straszliwe miejsca męczarni. Tam widział winowajców ukrzyżowanych na ziemi, których węże opasywały i pożerały, innych nagich wystawionych na wicher północny, a nogami zanurzonych w nieugaszonych płomieniach; wplecionych w koła obracające się wiecznie, jęczących w jamach pełnych kruszeu roztopionego, miotanych burzą, tonących w rzekach w których szatani rozpalonemi widły ich trzymali.

W głębi tych przepaści widział studnią płomienistą, która dusze pochłaniała i wyrzucała.

Poznawał tu Oweins wielu swych towarzyszków broni. Odwaga go opuszczała gdy cały drżący dopadł wąskiej kładki zawieszanej nad przepaścią. Ale za ledwie dotknął jej nogą aliści deska się rozszerzyła i powiodła go aż do wrót, które gdy się przed nim rozwarły, znalazł się w ogrodzie rozkosznym. Był to Eden, któryśmy przez grzechy pierwszych rodziców utracili, dzisiaj mieszkanie sprawiedliwych, nim się ztąd do niebios dostaną. Wszyscy oni wyszli na jego spotkanie i zawiedli na miejsce, z którego mógł dojrzeć niebios a Chwałę Pańską. Duch Święty zstąpił na nich z wysokości i Oweins powrócił na ziemię, aby opowiadał widzenie swoje.

— I Święty Alberek miał podobne — nieśmiało wtrącił młody Wincenty. — Zdarzyło mi się czytać o tem u ojców Benedyktynów, którzy to przywieźli do nas z Monte Cassino.

Opat głową potwierdził, a książę uśmiechnął mu się, rad z uczoności wychowanka swojego.

Zaczęła się rozprawa żywsza o życiu doczesnem i świecie przyszłym; poparta urywkami starożytnych i chrześcijańskich pisarzy, do której oba duchowni przyczyniali opowieści, jakie naówczas sobie z ust do ust podawano.

Opat Lucyusz, gdy o nagrodach za dobre uczynki mowa była, przywiódł legendę o Ś. Marcinie, który

plaszcz ubogiemu oddawszy, ujrzał we śnie Chrystusa weń przyodzianego

Książę słuchając dopiero się ożywiać począł, lubując w powieściach tych, i dziękował wielce Opatowi a Scholastykowi, iż tyle pięknych rzeczy od nich się mógł nauczyć.

— Miły Boże—odezwał się wzdychając—jakżeście wy szczęśliwi, wy, którzy macie życie całe na napawanie się mądrością, gdy my jej kradzione tylko od płochych zajęć chwile, oddać możemy.

Wieczór późny już był, nikomu jednak na sen się nie brało, a sam książę najmniej o nim myślał.

Z tych opowiadań gdy do historii dawnej przyszło, a Opat o Francji mówić począł kroniki swe stare przywołując, westchnął Kaźmierz i bolał nad tem że nie spisywano ich w kraju jego, który też miał starożytne swe dzieje, ale na ustach ludzi, w podaniach się tylko błakające.

— Oto dla was zadanie—odezwał się do skromnego kleryka—gdy da Bóg, czas po temu mieć będziecie, abyście nam też dzieje nasze spisali.

Oczy spuścił skromnie Wincenty.

— Nie na moje to siły—rzekł cicho.

— Zatem sił przybierajcie!—przerwał książę—bo ja to kiedyś na wasze włożę ramiona i będziecie musieli spisać co nie ujęte piśmem marnieby przepadać musiało.

Duchowni oba skłonili głowami potakując, gdy we drzwiach ukazał się Prandota, który na chwilę się był oddalił. Dał znak jakimś księciu, a ten wyrozumiawszy wstał Kaźmierz i choć nie nadeszła była zwykła roztania godzina, niespokojnie począł żegnać swych gości.

W tejże chwili we zbroi rycerskiej i płaszczu, hełm zdejmując z głowy, w progu się ukazał średnich lat męczyzna.

II.

Przybyły był Jaksą z Miechowa, miłym niegdyś towarzyszem księcia Henryka na wyprawie krzyżowej do Jerozolimy, Kaźmierz go i sam i przez się miłował wielce, i dla miłości brata, któremu on ukochany był, przywiązał bardziej jeszcze do niego. Jaksą też na miłość zasługiwał rycerskimi przymioty, pobożnością i przywiązaniem a wiernością niezłomną dla księcia obu,

Ten to był Jaksą, który jeszcze za żywota Kędzierzawego, wraz ze Światosławem i innemi ziemianami chciał księcia Kaźmierz na Kraków prowadzić, czemu się on naówczas oparł, nie chcąc władzy okupionej przemieszczeniem przeciw bratu. Napróżno nalegali władcy, na siebie biorąc winę, gwałt mu zadać chcąc, Kaźmierz odepchnął pokuszenie.

Jaksą od początku panowania stronił od Mieszka, stojąc na czele tych, którzy marzyli zawsze iż sprawiedliwego, rozumnego, dobrego pana swojego na stolicy głównej osadzą.

Zjeżdżał on często do Sandomierza, chociaż mu o sprawie tej mówić nie było wolno, przez cześć i miłość wielką dla księcia, chętnie mu dworując.

Ujrzawszy go o tak późnej godzinie, zdziwił się nieco Kaźmierz. Wiedział dobrze, iż po nocy nie przybyłby nadaremnie na zamek i rozmowy się nie dopominał.

— Jaksą mój, — odezwał się gdy się sami znaleźli w komnacie księcia — z czem że ty do mnie tak późno, złem czy dobrem, boć nie z próżnemi rękami? Widzę to z ciebie. Mów śmiało, wiesz iż złe w pokoju przyjmę z ręki pańskiej, a dobre sercem wdzięcznem.

Spojrzał mu bystro w oczy, ale ze wzroku Jakso nic nie mógł wyczytać.

Nie stary jeszcze, Jaksą był już życiem dobrze skolatany. Po śmierci żony wielce ukochanej, córki Petrika wrocławskiego, puścił się był do ziemi świętej, gdzie przy księciu Henryku wiele złego zażył i ze smutkiem wrócili oba, bo krzyżowa wyprawa z winy Ludwika francuzkiego się nie powiodła. Wojny, smutki, tęsknoty uczyniły z żywego niegdyś, niepomowanej ruchliwości rycerza, powolnego dziś i zaszępiętego męża, na którego czole wiecznie czarne jakieś błędziły chmury.

Zahartowany, twardy Jaksą mało mówny był, a mniej jeszcze po sobie okazywał twarz, która zawsze jedną się wydawała i jakby zastygłą.

— Nie mylisz się miłościwy księże, — odpowiedział przybyły po namyśle niejakim — nie darmo was niepokoję. Musiałem przybyć, gniewajcie się lub przebaczenie, co na sercu mam, wypowiedzieć muszę.

Księżę Kaźmierz cały się obrócił ku niemu.

— Stara to piosenka, — mówił Jaksą — Krakowianie wszyscy wołają ku wam... ratunku! Mieszek ze swym Kietliczem do rozpaczki ich już przywiedli. Będziecie musieli się tam, gdzie ja was dawno, dawno posadzić chciałem. Wola w tem jest Boża!

Kaźmierz, który był usiadł na chwilę, wstał żywo, ręce składając jak do modlitwy.

— Człowiecze! — zawołał gorąco — i ty się zowiesz przyjacielem moim? ty mówisz że pragniesz dobra mojego? Jakso miły! Tyż to masz mnie wieść ku temu znowu, abym ja brata wyganiał, władzę sobie przywłaszczając, krew przelewał!

— Miłościwy księże, — przerwał Jaksą, — dzisiaj nie o was idzie, ale o ziemię te wszystkie, idzie nawet o żywot brata twego, bo nie spotkali go wygnanie, gorszy los zgotowany mu być może. Nie — nie o was już idzie.

— A mnie chcecie dać na stracenie — odparł

Kaźmierz — tak jako mnie już raz dano zakładnikiem Cesarzowi, dla ocalenia ziem tych. Nie bolałem naówczas, dziś ofiary tej nie mogę uczynić. Chcecie mi odebrać jedyny skarb, sumienie czyste, spokój najdroższy, szczęście moje, Jakso!

— Miłościwy książę, — odezwał się Jakso — powtórzę iż wola w tem Boża. Będziecie nie Sandomierzowi i Lublinowi, ale Krakowu, Szląskowi, a dali Bóg całym, wszystkim ziemiom ojca waszego panować. Królem będziecie potężnym i wielkim.

— A! na Boga! — przerwał Kaźmierz, — alboż myślisz iż wielkość ta jest czem, za czemby się ubiegać warto było? Cóż ona? Pochłonęli tu ziemie wszystkie, zawsze od Rudobrodęgo słabszym będę a i nad niego silniejszy są. Co mi po wielkości tej, gdy na małym ziemi kawałku mogę być szczęśliwszym i lepszym.

Jaksa zaciął usta trochę.

— Miłościwy panie, — rzekł — nie wątpicie iż kocham was, a no dzisiaj powiem szczerze, iż ziemie te, której ojczykami oba jesteście, jeszcze mocniej niż was miłuję i ich szczęścia pragnę, a wy dla nich, wy jesteście potrzebni. Wy! tylko wy!

— Jakso! — zawołał Kaźmierz z wybuchem wielkim — przypomnij sobie nalegania wasze dawne. Czem mnie naówczas znaleźliście, tem i dziś będę, nie zmieniłem się.

— Ale czasy się zmieniły — odparł Jakso. — Naówczas myśmy wytrwać mogli, dziś już nie. Nie zechcecie wy, wezmą innego księcia, Mieszka nie zniosą.

Kaźmierz pobałdł.

— Jakso mój, — rzekł z wyrazem głębokiego smutku — nie upłynąłby rok po wyniesieniu mojem, a ten sam los co dziś jego, mnie by spotkał. Powiedzą mi, gdy się im sprzeciwię i uprzykrzę, żebym precz szedł. Ziemianie sami chcą panować, słuchać nie radzi nikogo. Wygnali Władysława, burzyli się prze-

ciw Bolesławowi, teraz Mieszka się radzi pozbyć, jakąż nadzieją dla mnie?

To mówiąc załamał ręce.

— Miłościwy książę, — przerwał zbliżając się Jakso. — Ty nam panować będziesz spokojnie, my cię jak ojca strzedz, bronić, szanować będziemy i nietylko tobie, ale krwi twojej wierni być przysiegamy, boś ty innym od braci twej, miłujesz sprawiedliwość! nie pragniesz władzy tylko dla dobra, gdy inni chcą dla krzywdy i ucisku.

My tylko praw waszych bronimy, które nam odbierają, karząc bez sądu, chwytając bez winy. Ziemianie zresztą nie sami burzą się i narzekają, spytajcie się ojców duchownych, którzy w tem królestwie i na całej ziemi stróżami są praw bożkich i ludzkich, azali oni radzi są z Mieszka? który własności ich ani klasztornej nie szanuje, wydając ją na łup swoim urzędnikom.

Książę w czasie gdy Jakso mówił, stał zamyśloni i smutni, przystąpił potem doń i kładąc ręce na ramionach, począł głosem łagodnym.

— Jakso mój! nie bądź kusicielem dla mnie. Słodkie są słowa twe, ale serce moje odepchnąć je musi. Jam rad z tego co mam, przestaję na tej dzielnicy, więcej nie chcę nic, ani panowania, ani potęgi i blasku. Mam was kilku wiernych druhów moich, mam chleb z łaski Bożej, którym się jeszcze z biedniejszymi podzielić mogę, mam czem granice obronić od napaści; lubię tę moją ciszę i życie swobodne, dajcie mi je spędzić tu, gdzie mam wspomnienie matki i kochanego brata!

Nie! niechcę waszego Krakowa, któryby mi przyniósł tylko troski i niepokoje. Oblała go krew biskupa Stanisława, drugiego Tomasza Kantuaryjskiego, tkwi na nim wspomnienie Szczodrego. Ziemianie krakowscy niechętnie znoszą książąt, Mieszko silniejszy jest. Idźcie doń, jego proście, oddali tych co wam ciążą.

Mnie zostawcie, proszę, na Sandomirzu moim, Jakso mój, nie żądam tego po mnie.

Jaksa spuścił głowę smutnie.

— Raz już prośbę odrzuciliście, odrzucacie ją powtórnie, ale przyjdą do was tacy, których naleganiom się nie oprzecie.

Książę począł się przechadzać niespokojny.

— O drubu mój, — zawołał — zakląłbym cię na miłość dla mnie, gdybyś mi nie powiedział, że dobro tych ziem więcej kochasz nademnie. Ale ja ją też miłuję i przez tę miłość panować nie chcę, bo się nie czuję na siłach.

Wierzaj ty mnie, Bóg stworzył Kaźmierz a nie na władzcę, jakim ty go mieć chcesz. ale na spokojnego sługę twojego, który słucha słowa Bożego, mądrości uczyć się pragnie i żyć w ciszy a na uboczu.

Zostawcie mnie na Sandomirzu chcecie! szczęścia mego!

Jaksa poruszony mocno, stał smutny i milczący. Nie wiedział już co miał dodać aby księcia skłonić do swej myśli, gdy Kaźmierz wyjrzał przez okno dotąd otwarte ku wypogodzonemu niebu, którego gwiazdy późną wskazywały nocy godzinę.

— Idź, spocznij, — odezwał się cicho — patrz, noc już jest, a i mnie czas do spoczynku.

To mówiąc, ujął go za ręce obie i w schyloną głowę pocałował szepcząc.

— Mój Jakso, bądź mi druhem prawdziwym nie wrogiem! Nie wiesz jak mnie boli sama ta myśl, że mógłbym wystąpić przeciw bratu.

Jaksa już nie odpowiedział, skłonił się i powoli przez izbę ks. Henryka wyszedł do wielkiej, która już stała pusta. Dwóch czy trzech sług wynosiło tylko resztę zastawy z wieczerzy, próżne dzbany i kubki. Cisza panowała na zamku. W ostatniej izbie komornicy książęcy zobaczywszy Jakse wychodzącego, ruszyli wnet, aby mu izbę jego pokazać i chłopca do niej dać z pochodnią. Poszedł za nim Jaksa tam, gdzie na-

jego ludzie czekali i nie bawiąc, pomodliwszy się, położył na spoczynek.

Gdy dzwony kościelne zbudziły go na jutrznię się odzywając, a Jaksa co rychłej wstał i odziewać się począł, poranek był dziwnie piękny i pogodny, ale spojrzenie na niebo, tych co się na niem znali, na dzień trwałej pogody nie zapowiadało. Zbyt wcześnie się rozjaśniło, słońce weszło bez chmurki. ciepło było wielkie, wiatr wiał z zachodu.

Wahał się jeszcze Jaksa, czy iść do kościoła na mszę ranną, czy do księcia, aby mu towarzyszyć na nabożeństwo, którego Kaźmierz codziennie słuchał, gdy pacholę mu z nienacka oznajmiło, że księcia na zamku już nie było.

Zdziwiony wielce Jaksa, podniósł oczy pytając:

— A gdzie jest książę!

— Jak świt ruszył z zamku, z małą garstką ludzi, mówią że pewnie na łowy.

Chłopak się jakoś uśmiechnął dwuznacznie.

Jakse to tem mocniej dotknęło, że książę mu wczoraj nic nie wspominał o łowach, a wyjazd ten nagły był jakby ucieczką przed nowymi naleganiami. Słudze jednak nie chcąc okazać iż go ta wiadomość obeszła, nie rzekłszy nic, wyszedł Jaksa w podwórze, nie pewien co pocznie.

Wiedział on jak inni, że książę na tych łowach, które żadnej nie przynosiły zdobyczy, bawił czasem tygodnie całe. Miał li czekać na powrót czy jechać precz? Znaczyłoż to, że książę chciał się go pozbyć i uniknąć?

Tak dumał, gdy na przeciw siebie ujrzał idącego powiernika i najbliższego przyjaciela Kaźmierzowego, którego wczoraj na dworze nie spotkał.

Dawny ten druh i wierny sługa księcia, który najtajniejszych myśli jego był powiernikiem, latami mu prawie równy, zwał się Goworkiem, a był Mazurem z pod Płocka, kędy posiadłości znaczne trzymał.

Nie opuszczał on nigdy osoby i dworu Kaźmie-

rza, którego w Sandomirzu w rządach i sądach zastępował, wszystko niemal mając w rękach swych, skarbiec, ludzi i żołnierza.

Powiernik księcia, ukochany mu nie mógł być tylko po sercu jego mężem sprawiedliwym i dobrym. Takim też był Goworek, oprócz innych wielu przymiotów mając i ten, że niespracowanym był, rozumu bystrego a obyczajów ludzi przywiązujących.

Mężczyzna był średniego wzrostu, rumiany, hoży, już nieco otyły, z bródką płową i wąsem do góry podkreśnionym, z wyrazem twarzy i oczów niebieskich, miłym a pociągającym.

Będąc zmuszonym od rana za księcia gości przyjmować, słuchać przychodzących z żałobą, porządek na zamku i w załodze utrzymywać, odziany już był jak przystało, przy mieczu, w kołpaku, jakby w gotowości być musiał do wyjazdu każdego czasu.

Jak księżę sam, lubili Goworka wszyscy, nawet księżna Helena, która Rusinów swych nad tutejszych ludzi przekładała, miała w nim ufność wielką.

Goworek, gdy księcia nie było, namiestnikiem się jego stawał, a co on rzekł to się spełniało.

Z Jaksą byli zdawna dobrze i poufale, więc gdy go zobaczył, ręce wyciągnął ku niemu i na spotkanie pośpieszył.

Zeszli się sam na sam w podsieni.

— Cóż to? księcia już niema? — spytał Jaks. — Wczoraj widziałem go późną porą, słowa mi nie rzekł o żadnym wyjeździe? ni o łowach? Cóż się stało?

Goworek dawszy mu się wygadać, odparł zwolna głosem spokojnym.

— Nic się nie stało! księżę zapragnął lasów i rozrywki, kazał sobie do dnia konia podać.

— Widzieliście się z nim na wyjeździe?

— Księżę mnie kazał wołać, jużem nie spał — rzekł namiestnik.

— Nie wspomniał wam nic o mnie, przykazania jakiego nie dał?

— Sądzę że was miał na myśli, — odparł Goworek — gdy mi mówił że zapewne łowy długo nie potrwać, ale kresu im zamierzyć trudno. Bywa różnie.

Zasepił się Jaks. trochę, Goworek śledził wyraz jego twarzy.

— Nie uciekajcie dla tego do Miechowa — rzekł — tu wam przecie nudno nie będzie. Jest ludzi dużo, pomogą wam czas przepędzić. Księżę może rychlej powrócić niż się spodziewamy.

— Albo później niż sądzimy — dodał Jaks. ze smutną żartobliwością jakąś — Przybyłem nie z pokłonem, ale z prośbą, odprawym nie dostał — i —

Ręce niecierpliwie rozwarł, okazując niepokój i frasunek.

Goworek czy nie mógł czy nie chciał mówić, uśmiechnął się tylko łagodnie i miał Jaksę pociągnąć z sobą do dworu, gdy z dziedzińca ujrzał zbliżającą się postać obcą, która oczy ich zwróciła na siebie.

Był to suchy, kościsty, chudy, trochę na jedną stronę przegięty mężczyzna, blady, lat średnich, z głową spiczastą, z twarzą wygoloną, w sukni jakby kleszej, w czapce czarnej wysokiej na kształt zawoju, dziwnego kształtu, pasem skórzanym nisko podpasany. Twarz z małemi oczętymi biegającymi, roztropna ale odstręczająca, krzywiła mu się, marszczyła, wyglądał ją też ręką nieustannie i jakby osłonić pragnął.

Jaks. poznał w nim zaraz sędziego czyli podse-dziego głównego krakowskiego, Gabryela Mierzwę, a i Goworek domysleć się musiał co zaczął być, i że z Krakowa przybywał, bo natychmiast jako ku gościowi, wyszedł przeciw niemu.

Mierzwa szedł bacznie się po zamku rozglądając, z twarzą posępną, zwolna krocząc, a zobaczywszy Goworka, zdala już witać go począł, zmuszając się do jakiegoś niezdarne-go uśmiechu.

— Wasza miłość jesteście tu na zamku—począł Mierzwa głosem słodkim.

— Jestem sługą księcia Kaźmierza, — przerwał Goworek — i podczas tu gospodarzę, gdy miłościwego pana niema.

— A! a! — mruknął Mierzwa, gładząc się po brodzie, — a ja jestem podsędzią krakowskim, służę czką księcia Mieszka, od którego przynoszę pokłon i posłanie do brata.

— Książę właśnie dziś do dnia wyruszył na łowy—rzekł Goworek zimno.

Jaksa nieodchodząc stał nieco z boku, przysłuchując się rozmowie.

— To mi już we wrotach zwiastowano—odezwał się Mierzwa wzdykając. — Prawdziwe nieszczęście dla mnie, bo poselstwo pilne, a jam też człecze od roboty wzięte, czas mój drogi, służba nagli.

— Wszak ci by poselstwo albo księżnie Helenie lub mnie zwierzyć można—odezwał się namiestnik.

Mierzwa z twarzy uczynił osobliwie wykrzywioną maskę—zmilczał.

— A kiedyż książę powróci?—zapytał.

— O tem wiedzieć trudno — odezwał się namiestnik. — Czasem powraca tegoż wieczora, niekiedy ledwie po tygodniu.

Usłyszawszy to podsędzia, wykrzywił się okropniej jeszcze i spuściwszy ręce, długie kościste palce wyłamywać począł z niecierpliwości.

— A nie posłać że by za księciem? — przebaknął — boć poselstwo od pana mojego najwyższego książęcia nie lada czem jest, a choćby dla niego i z łowów powracać przyszło? he?

— Któż wie dokąd się udał książę? — odparł Goworek obojętnie.

— Po lesie bo szukać trudno — dołożył Jaksa, którego głos posłyszawszy Mierzwa, począł mu się pilno przypatrywać.

Znać że go sobie musiał przypomnieć, gdyż

czapką mu się skłonił pięknie i dla niego nawet twarz pochmurzył trochę.

Jaksa mało co na to powitanie odpowiedział.

— Jeżeli mnie oczy moje nie zwodzą — odezwał się nadzwyczaj osłodzonym głosem, pokornie Mierzwa — wszak szczęście mam oglądać rycerza, którego stopy ziemi świętej dotykały, miłościwego pana Jakse z Miechowa.

Jaksa spokojnie głową potwierdził, a Mierzwa raz jeszcze pokłon mu oddał.

— I wy też, miłościwy panie, nie zastaliście księcia Kaźmierza! Co to za nieszczęście! Pan mój, który go tak kocha stęskniony jest za nim, radby go u siebie gościem miał. Zamek nasz krakowski rzadko go ogląda. Rzekł więc do mnie, nie doczekam się najmilszego brata mojego, jedźcie wy, powiedzcie mu że mi tu pożądany jest i potrzebny, niechaj mnie rychło nawiedzi.

Jaksa nieznacznie ramionami poruszył, a Goworek wnet dodał.

— Jeśli to wasze poselstwo całe, my je wiernie do uszu pańskich podamy. Wam z obowiązku sędziowskiego gdyby pilno było, może byście też chcieli księżnie Helenie się stawić i jej to zlecić!

Mierzwa zakłopotany wciąż ręką twarz wygładzał, jakby się namyślał co ma poczynąć.

— Pewnie, pewnie—zamruczał, — uderzę czołem przed księżną, lecz nie godzi się bym choć dzień jeden nie czekał na księcia. Sam też do konia nie nawykły, rad spocznę.

— Na obiad więc do stołowej izby proszę—odezwał się Goworek, bo oto czas obiedni przychodzi a nasz dwór cały ciągnie.

Jakoż w podwórzu okazali się Opat Lucjusz, Scholastyk Lambert, młody Wincenty, a z innych stron starszyzna dworowa, urzędnicy, komornicy i służba.

Goworek ręką wskazywał drogę, ale Mierzwa

duchownych zobaczywszy, natychmiast się ku nim zwrócił z pokorą i jak do swoich przybliżył, Opatu witając łaciną i uśmiechem.

O. Lucjusz, który go nie znał i za duchownego poczytał, powitanie oddał uprzejmie, gdy Scholastyk zbył go dosyć sucho i krótko.

Mierzwa ożywił się natychmiast, stał nad wyraz miłym, pokornym, zalecającym, poczynając od tego, że Cysterską suknię zobaczywszy, wnet w pochwały zakonu Św. Bernarda uderzył.

— Szczęśliwym się nazwać mogę — rzekł, — iż jednego z dostojnych synów czczonego przezemnie najwyżej ojca Bernharda, oglądać i poznać mogę. Dzień to *albo notanda lapillo*. Niesiecie na naszą ziemię przykład świętobliwości, światło, opiekę Bożą, które za sobą cnoty wasze ciągną.

To mówiąc z przesadzonym zapalem, złożył ręce i oczy podniósł ku niebu, Opat popatrzył na nieznane sobie czleka i przyjął z pewną oględnością ten objaw uwielbienia dla zakonu.

— Daj Boże, — odezwał się skromnie, — abyśmy w ślady ojca naszego iść potrafili i gościnność tej ziemi wypłacili modlitwą i pracą.

Rozmawiając tak szli ku izbie zamkowej, do której i Goworek z Jaksą podążali.

Tu Opat odmówił modlitwę zwyczajną i wszyscy około stołu zasiadać zaczęli. Mierzwie jako posłańcowi księcia Mieczysława poczystne dano miejsce przy Opacie, co miłem mu było, bo głos zaraz zabrawszy, nader uczenie, wytwornie, z pokorą i słodyczą popisywać się zaczął przed sąsiadem z prawniczą i biblijną erudycją swoją.

Scholastyk Lambert, znając go dobrze z Krakowa milczał, spoglądając nań z ukosa, przybierając wyraz twarzy pogardliwy i niechętny. Nie odzywał się, ale milczenie jego było pełne znaczenia.

Mierzwa po kilkakroć próbował go wyzywać na

słowo, za każdą razą Scholastyk poruszał ramionami i do misy się zwracał, lekceważąc te zaloty.

Ktobykolwiek nie znał podsędziego krakowskiego, a właśnie Opat Lucjusz był w tem położeniu, każdego by zwiódł postawą pełną dobroduszości i pokory. Cysters słuchał go z zajęciem, dziwując się wielkiej uczoności, łatwości mowy i bystrej logice.

Rozmowa zwróciła się do kraju, obyczajów jego, duchowieństwa w ogóle, a Mierzwa wiedząc po troszę, iż Cysterski zakon, który powstał z lędźwi Benedyktyńskiego, choć był jego dziecięciem, w zapasach o lepszą z Benedyktynami walczył, zręcznie czarnym synom Świętego Benedykta łatki przypinać począł, sławiąc reformę Ś. Bernarda i cnoty uczniów jego.

Opat Lucjusz uczuł niewłaściwość tego pochlebstwa, wziąć się nie dał na nie i odparł skromnie, pochwał nie przyjmując kosztem współzawodników okupionych.

Prawdą było, że nowy zakon Cystersów z nadzwyczajną rozszerzającą się szybkością po wszystkich krajach, odznaczał się ściślejszą regułą, ostreimi przepisami i obawiając rozprężenia węzłów karności, wiązał wszystkie nowo powstające klasztory z pierwotnymi nicią nierozzerwaną w jedną spójną całość, tak aby wszystkie nad sobą czuwały.

Mierzwa nadzwyczajne uwielbienie dla nowego wyznając zakonu (którego i ks. Mieczysław był opiekunem) nieustannie potraçał o Benedyktynów z przekąsem, aż w końcu Opat Lucjusz, aby temu koniec położyć, odezwał się.

— Miły bracie, jednakże gdyby nie Benedykt i Bernharda by nie było.

Tak trochę zbity z tropu zbytich pochlebstw, zwłaszcza gdy inni goście gorący temu słowu poklask dali; Mierzwa stał się ostrożniejszym. Zwrócił się ku pismom założyciela zakonu, dla których z nadzwyczaj-

nym się oświadczył uwielbieniem, w czym mu nikt nie przeczył.

Chcąc jednak odplacić Opatowi jego przycinek przebaknął złośliwie, że Ś. Bernhard nim się stał poetą religijnym, pono też światowe piosenki miłosne, w mowie pospolitej pisywał.

— Mój bracie, — odparł Opat — tem większa mu należy cześć iż się może nazwać owieczką ową zbłąkaną, którą Chrystus jako najdroższą opowiada.

Młody Wincenty, chcąc też zatrzeć wrażenie przycinka podsędziego, w uniesieniu począł odmawiać półgłosem sekwencję o Narodzeniu pańskim Ś. Bernarda. Wnet uciszyło się do koła stołu, a młody ksiądz śpiewnym głosem zadeklamował.

— „Radujcie się wiernych chóry, alleluja.

Z czystej dziewicy łoża, o cudo, król królów wychodzi.

Anioł Rady z dziewicy się narodził. Słońce z gwiazdy wystąpiło.

Słońce co nie zachodzi, gwiazda wiecznie jasna, zawsze błyszcząca.

Jak gwiazda promień wydaje, tak dziewica syna, jak ona wdzięcznego.

Promień nie zaciemnił gwiazdy, syn nie pokalał matki.

Cedr wzniosły Libanu w dolinie naszej stał się hyzopem i t. d.“

W tej chwili stół jakby kościołem się stał. Opat ręce złożył słuchając i lży miał na oczach, Mierzwa też źrenice wywracał ku niebu, dając znaki przejęcia i zachwyty.

A że obiadowanie ranne się skończyło, wstał zaraz Lucjusz, gdy Wincenty dokończył, i dziękczynną odmówił modlitwę.

Mierzwa byłby może Lucjuszowi towarzyszył, chcąc mu dworować i zamiar mając z niezaajomego wyciągnąć coś, gdy Goworek odwołał go, zapraszając z sobą do księżnej Heleny.

Wezwaniu temu odmówić nie było można, szli więc podsieniami, które wiodły do drugiej zamku połowy, zajmowanej przez księżną i niewiasty.

Tu dojrzeć już było można nieco rusińskiego obyczaju i w stroju służebnic Bełżanek i w urządzeniu izb, które księżna zajmowała. Wspaniałe były a zamczysto od reszty dworu, jakby klasztor oddzielone. W komnacie księżnej Heleny pełno było obrazów złocistych z surowymi obliczami, przed którymi lampy gorzały; kobierce wschodnie okrywały podłogi i ściany.

Sama ona z pierworodnym swym synkiem, siedmioletnim Bolesławem, który stał przy matce, siedziała oczekując, nie mając przy sobie nikogo oprócz starszej niewiasty dla posługi, która zdala u drzwi się trzymała.

Była księżna Helena, choć młodą jeszcze nieco już zbytnej tuszy, białej pici, oczu jasnych, twarzy choć nie pięknej, miłej i rysów regularnych. Tylko wyraz jej niespokojny i jakby strwożony ciągle, wdzięk jej odbierał. Zdawała się czegoś ciągle obawiać, a tego co czynić miała niepewną.

Zresztą powagę w niej wielką i w obejściu się majestat pański czuć było. Strój księżęcy, któremu łańcuchów, naszyjników, pierścieni i ozdób z drogich kamieni nie brakło, dodawał pani świetności. Nie dla zalotności żadnej, bo tej w licu i wyrazie twarzy skromnym a wstydliwym śladu nie było żadnego, przybierała się tak bogato księżna Helena, ale panu swemu i dostojeństwu chcąc cześć uczynić.

Gdy Goworek Mierzwę w pół zgiętego pokornie wprowadził do komnaty, księżna mu się przybliżyć kazała i białą rączkę okrytą pierścieniami dała do pocałowania.

Począł podsędzia poselstwo swe od tego, iż książę Mieszko z miłości nadzwyczajnej ku bratu, którego był niegdy opiekunem i jakby ojcem przybranym, po-

zadął go widzieć w Krakowie, słał mu pozdrowienia i prośby, aby go co najrychlej odwiedził.

Księżna Helena słuchała z dobrą wiarą, dosyć rada i dziękując odpowiedziała że gdy pan a małżonek jej powróci, pewnie na to wezwanie pośpieszy.

Bolał tedy Mierzwa iż go nie zastał, na co księżna odpowiedziała tylko głowy skinieniem.

Dalej już i mówić nie było o czem, Mierzwa jeszcze do synka książęcego słodką mowę obrócił, życząc mu wszelkiego od Boga błogosławieństwa, a za gościnę dziękując.

Księżna Helena była małomówną, zbywała go już pół słowy, będąc synkiem więcej zajęta, i w końcu Goworek dał znak, iż czas wychodzić było, a Mierzwa znowu rękę księżny ucałowawszy miał się wycofać. Chciał jednak spróbować, ażali nieopatrzną niewiaستę na słówko nie wyciągnie i wyrwał się z tem, czy by mu radziła oczekiwać na księcia i jak on prędko mógł powrócić??

Księżna zarumieniała się, zakłopotana, spojrzała na Goworka i przebaknęła nieśmiało, że o powrocie nic wiedzieć nie może, a jeżeli czekać zechce, rada mu będzie. — Tak tedy i tu Mierzwa odszedł z niczem, a że dnia dużo zostawało, nie bardzo wiedział jak i gdzie się obrócić.

W niepewności był wielkiej co pocnie, polecono mu bowiem Kaźmierza przywieść z sobą, a tu składało się tak wszystko, iż czasu przychodziło zmarnować wiele, a skutku mało się było można spodziewać. Chciał siedzieć. Mierzwa ażeby wymową swą księcia do podróży skłonić, a niecierpliwił się jak długo trwać może pobyt na zamku, gdzie ani w kosci grać, ani się upić wypadało, ani było do kogo zalecać. Szpiegostwem chyba mógł czas zająć.

W milczeniu wyszli z Goworkiem w dziedzińce, namiestnika wnet gdzieindziej odwołano, powłókł się więc skwaszony i frasobliwy Mierzwa do izby, która dlań była przeznaczona.

Szczęściem okna jej wychodziły w podwórcę zamkowe i ztąd cały ruch ich widać było. Mierzwa zasiadł przypatrując się tem pilniej, iż nadzwyczajne jakieś spostrzegł krzątanie się.

W istocie ludzi było różnych wiele, a ci na podróżnych i zdala przybywających wyglądali.

Kilku poważnych ziemian wjechało z pocztami na zamek, zdawało się rozpytywać, naradzać, jedni z nich zostawali, drudzy precz pośpiesznie odjeżdżali. Goworek z jednemi rozmawiał żywo, z drugimi Jakśa tajemniczo się naradzał.

Nie zdawało się podsędzemu, aby to miał być zwykły stan zamku Sandomirskiego, znanego ze spokoju i ciszy.

Wydało mu się też, iż między przybyłemi gośćmi widział jakieś krakowskie, znane twarze. Zdziwiło go i to, że po rozmowie z Goworkiem, kilku niespokojnie ku oknu jego spojrzało, od którego się cofnął — wszyscy zaś rychło rozjeżdżać się zaczęli.

Rozmowy w podwórce choć tuż u okien, tak były cicho prowadzone, że Mierzwa słowa z nich pochwycić nie mógł. Sam tedy z ruchu tego nic nie mogąc pewnego wywnioskować, musiał do pomocy wezwać sługę, którego na obraz i podobieństwo swe wykształcił. Chłopak, czysto krakowskie dziecko uliczne, zwał się Pawek, a wybrany był z tych żaków, co od domu do domu chodząc i żywiąc się o łaskawym chlebie do szkoły biskupiej chodzili. Sprytny był jak ogień, a że go pan do różnych posług używał, zepsuty i przebiegły był jak on. Nie wzbudzał podejrzenia, bo niepočetně wyglądał, wszędzie go więc bezpiecznie posłać było można z uszami po język.

W Krakowie samym już był Pawek zaprawiony do tych posług, umiał się podkraść zręcznie, gdy było potrzeba, udawać głuptaszką, a pochwycić zawsze słówko jakie.

Mrugnął nań Mierzwa, poszeptał mu coś i Pawek wnet się znalazł w podwórce, wsunął pomiędzy

konie, nie obawiając się aby go który poczęstował nogą, wśliznął się między ludzi, tu przysiadł, tam podlażył, przerzynał dziedziniec w różnych kierunkach i w niespełną godzinę powrócił do pana.

Wiedział on już, iż ziemianie przybywający niektórzy byli z krakowskiej ziemi, że przyjechali ze sprawami bardzo pilnemi, niektórzy na księcia czekać się obiecywali, inni bodaj za nim gonić chcieli. Zmiarkował i to Pawek, że przybycie ich na zamku pewien niepokój zbudziło, a Goworek strażę postawił i ludzi do wrót posłał, by tam czegoś pilnowali.

Wszystko to razem mocno Mierzwę zaniepokoiło.

Przyszło mu na myśl, że się coś wydać mogło, że księcia ostrzedz pośpieszano, że i jego tu gotowi byli przytrzymać.

Strach go ogarnął. Sam wyszedł na zwiady, ale gdy się ukazał w podwórzu, obcy ludzie zniknąć poczęli, gromadki się porozpierzchły, większa część na miasto wyruszyła. Goworka tylko zastał, którego badać począł z kąd tyle gości na Sandomierzu.

— A! to ziemianie nasi, od Lublina — odpowiedział namiestnik — sprawy nasze domowe. Księżę ma miłość u wszystkich, inni go też i bez spraw żadnych nawiedzają z pokłonami.

— Mnie bo się zdało — przebaknął Mierzwa — że ja tu pomiędzy przybyłemi i pana Mikołaja, brata księdza dziekana Pelki dojrzałem.

Goworek popatrzał nań i rozśmiał się.

— Gdzie zaś! A co by tu u nas krakowianie robili — odpowiedział, — przecie swego pana mają.

Z Krakowian my tu tylko czasami Kietlicza jednego widzimy, bo ten się aż tu zapędza na Sandomirską dzielnicę, inni rzadko. Za pana Mikołaja wzięliście pewnie naszego Bułala Srokę, który do niego bardzo jest podobny.

Wyraził się jeszcze ze swą za księciem tęsknotą

Mierzwa, Goworek go pocieszyć nie umiał bo o księciu słuchu nie było i żadnej nowej wieści.

— A ja tu tak bez miary i końca siedzieć nie mogę! — westchnął Mierzwa.

— A no, — odparł żartobliwie Goworek, — najdalej jeżeli do siedmiu dni poczekacie, za to ręczę, bo księżę nigdy dłużej na łowach nie bawi.

Zakrzyknął podsędzia na to.

— Być jednak może, iż albo nocą lub jutro raniem powróci, — pocieszał namiestnik. — Zabiera się na burzę srogą, ława na zachodzie stoi okrutna, coraz czarniejsza, grzmi w niej i błyska, może go nawałnica do domu przypędzi.

Mierzwa tedy na noc pozostał, zabawiając znowu Opata u wieczerzy. Nocą w istocie sroga burza nadciągnęła, ale księżę nie przybył, nazajutrz pogoda znowu była piękna i już się go tak rychło nie spodziewano. Mierzwa wygoloną brodę gładził a włosy tarzał, sam nie wiedząc siedzieć czy jechać. Coraz mu tu było goręcej i niespokojniej, coraz nudniej bez zwykłych rozrywek, któremi sobie twardą pracę wyngażał.

III.

Na brzask się brało gdy książę Kaźmierz z zamku wyjechał w sześć koni tylko. Przygotowanie wczesne być musiało do tej wycieczki, bo gdy z pacholęciem co u drzwi sypiało wyszedł rano, konie już stały pogotowiu, na ludzi czekać nie potrzebował.

Stępią po cichu ruszono za wrota ku miastu, potem dróżyną nad wodą wierzbami ostawioną, która

ku borom i lasom wiodła. Psów najlepszych wzięto nie więcej nad cztery, a ludzie księciu towarzyszyli ci co z nim zwykłe w lasy jeździli. Na czele ich Smok, podżyły człek, którego Łowczym nazywano, wierny i najulubieńszy Kaźmierzowi, któremu on mówić nawet nie potrzebował co chciał, bo się oczyma rozumieli.

Smok ten od dzieciństwa mu służył, dwa razy życie ocalił, raz gdy się nań dzik rzucił, którego, już przypadającego na włócznię wziął i przebił, drugi raz gdy w bitwie na Rusi opadło go kilku wojów z maczugami, którymi nie uszedł był, gdyby Smok w pomoc nie naskoczył. Smok żony ani dzieci nie miał, brata ni swata, a gdyby księcia nie pilnował, z nim nie jeździł, umarłby z tęsknoty. Zwali go, jak mówiliśmy, Łowczym, bo do łowów pokierowania miał pierwsze prawo, ale naprawdę nie opuszczał Kaźmierza nigdy. Niewidzialny często, stał zawsze niedaleko. Gdy nic innego do roboty nie było, około zamku się włóczył, w podsieniach gdzieś siedział, robił coś około osoby pańskiej, czyścił broje, ostrzył miecze, łuki naprawiał, psy układał. Prawda że mu się tu dobrze działo, że nie zbywało na niczem, że książę Kaźmierz chciał mu dawno nadać wielki szmat ziemi z karczmą, z młynem, z lasem aby sobie ludzi osadził i stał się panem—Smok odmówił.

— A mnie co potem? — odparł kłaniając się — żony nie mam ni dzieci, ani ich mieć myślę, jakem tu na zamku życie począł, tak je i skończę.

Smok wyglądał bardzo brzydko, ale człek był dobry z kośćcami, cudze dzieci bardzo lubił, szczenięta chował, ptaki karmił, a jeżeli się komu krzywda działa, nie pytając co zaczął był, stawał w obronie.

Ale spojrzeć było na niego, rzekłby kto że na innej ziemi się rodził, gdzie słońce gorętsze na czarno opala, tak był ogorzały. Przy tem chudy. Włosa kręconego miał mało co, brody nic, wása żadnego, nosa niewiele, gęby dużo, a w niej zęby żelazne. Gdy się

rozśmiał z paszczęki mu jak wilkowi kły białe rzędem patrzyły. Chudy, długi, zdawał się jak połamany, był niezgrabny, ale na koniu nikt tak jak on nie jeździł, byle się go uczeplił najdzielniejszego zmógł. Na łowach choć żubra za rogi gotów był pochwycić.

Paskudna jego twarz, gdy się śmiał tak się robiła pocziwą, że się nawet mniej brzydką zdawała.

Ludzie się go obawiali i lubili.

Mógł co komu dobrego to czynił, dla siebie nie potrzebował wiele, surową rzepą gotów był żyć, głód znosił jak nikt, bez wody tylko jak koń, żyć nie mógł.

Ten Smok i pod nim kilku młodzieży składali cały orszak książęcy. Gdy wyjeżdżali w wierzby słońce jeszcze nie schodziło—mrok był. Smok po niebie popatrzawszy na wieczór lub na jutro najdalej wróżył burzę. Rosy nie było nic, niebo wypogodzone jakoś strasznie i jak z ołowiu odlane. Już do lasów dojeżdżali gdy się słonko pokazało i zaraz poczęło robić gorąco strasznie, choć lasem, cieniem jechać było znosić.

Psy nie mogły nic zwietrzyć tak w lesie było sucho. Dzień do łowów, żal się Boże.

Smok za księciem tuż jadąc parę razy o tem zagadał, ale książę ni zważał ni odpowiadał.

Wjechali w las, a tuż już Smok po jakimś znaku zmiarkował dokąd zawróca, bo psy zwołał i z ludźmi powoli przyzostawać zaczął.

Książę coraz ich więcej wyprzedzał, konia pędził—nareszcie z oczu zupełnie zniknął.

Smok, jakby to rzecz była zwyczajna, wcale nie zważał na to, ludzi zagadywał i dopiero po jakimś czasie puścił się wrzekomo w pogoń za panem, ale go już śladu nie było.

Trąbkę choć miał na sobie, nie uderzył w nią i gromadka pod dowództwem Łowczego pojechała zwolna w las hukając tylko, szukając niby, błędząc tam i sam do południa. Nareszcie na wzgórkach pod

dębami, gdzie była i trawa i woda zatrzymali się dla spoczynku. Nikt się nie zdawał troszczyć zbytnio o to że księcia nie było.

Smok ludzi swych poustawiał, zarządził strawę, kociołek na ogień dano i popasano nie spiesząc wcale. Widać to było we zwyczaju.

Książę tym czasem w puszcze zajeżdżał głębiej coraz, krokiem tak pewnym, jakby i on i koń jego nie po raz pierwszy tę drogę przebywali. Musiało mu być pilno, bo konia ścisnął a zazywał, na niebo patrzył, a popędzał.

Powietrze stawało się coraz skwarniejsze, czuć było przedburzę; koń cały okrył się pianą, czas było odpocząć, a Kaźmierz jechał ciągle.

Już było dobrze z południa gdy zdala w lesie, cicho trąbka się ozwała, książę schwycił swoją wiszącą na sznurze i odpowiedział rażno.

Tak z jednej i z drugiej strony pytano i odpowiadano coraz bliżej, aż zaszeleściło w krzakach i na koniu karym, ukazał się jeździec, piękny chłopak młody, — można go było wziąć za przebraną dziewczynę, taki był zręczny i urodziwy. Ale ubiór miał męzki a koniem władał też śmiało. Zobaczywszy Kaźmierza przyskoczył ku niemu, oba konie ku sobie zarżały, chłopak biegł, zwiesił się ze swojego i rękami za szyję objął Kaźmierza.

Stanęły oba wierzchowce nozdrza wyciągając ku sobie, a Kaźmierz i Sciborzanka (bo ona to była) ścisnęli się w mileczeniu.

Twarcyczka Jagny rumiana od gorąca i wzruszenia, świeciła radością, Kaźmierza oblicze stało się dziwnie wesole i promieniste.

Rozśmieli się ku sobie — szczęśliwi. Dziewczę chwyciło cugle puszczane na chwilę dla uścisku i wnet oboje, jakby się wyścigać chcieli, w cwał puścili łaskę ku gajowi, wśród którego dym górą widać było.

Lecieli cwałem, ale ich konie tak były nawykłe dotrzymywać sobie kroku że szły głowa z głową

i jedźcy mówić z sobą mogli, a śmiać się do siebie, nie troszcząc się i nie kierując niemi.

Widok był osobliwy tych dwojga koni i ludzi tak jakoś dobranych jakby ich czworo stanowiło jedną, skrzydlatą, wesolą istotę.

Śmiały się im twarze i drgały usta, oddechu brakło na mowę, oczyma tylko wiodła się rozmowa. Z dwojga jednak twarzy tych równie pięknych, Jagny była weselszą i szczęśliwszą, w Kaźmirzowej z poza szczęścia patrzyła ukryta troska, jak z poza przejrzystej zasłony druga suknia przegląda. W oczach blasku pełnych zdawała się połyskiwać łza ukryta, na ustach w uśmiechu była boleść, czoło wypogodzone przebiegały chmurki, które wejrzenie Jagny rozpuściło.

Na jej obliczu było tylko uczucie chwili bez pamięci przyszłości, bez frasunku o jutro, gdy na mężkiem ciążyło i to co przeszło i to co przyjsie miało.

Walczył z sobą aby się upoić jej wzrokiem, jej uśmiechem, i być jak ona szczęśliwym bez pamięci.

Rzucali ku sobie pół słowami tylko im zrozumiałemi, które dla nich zawierały wiele, bo były przypominieniami nieraz długo wypowiedzanych myśli.

Biegli tak, nie patrząc na konie, które same drogę sobie znajdowały, omijały trzęsawiska, zdawały się po niewidzialnej dla oczów a znanej sobie lecieć ścieżynie, aż dobiegły do gaju w którym brzozy pochylone stojące na skraju, pokłon się zdały przybywającym oddawać. Przez pnie ich białe, gdzieniegdzie wysoko rozrosłemi sosnami poprzedzielane, w dali przeglądało domostwo; coś jak kmieca osada, jak obejście wieśniaka, ale od obojga schludniejsze, — jakby dom ziemianina na nowinach.

Dokoła ogradzał dziedziniec ostrokół wysoki, wśród którego brama wielka, z dachem słomą krytym, stała szeroko otworem. Po za nią widać było niski obszerne dwór i zabudowania gospodarskie, studnię z żórawiem wysokim, szopy i na słupach nieociosa-

ných sparte odryny. W podwórku kilku z prosta odzianych ludzi się kręciło, jakby na przybywających oczekiwali, kilku schludnie przybranych niewiast wyglądało ze drzwi jednych.

Tentent zbliżających się koni wywołał parobków, którzy już stali do przyjęcia pogotowiu.

— Tyś tu już nie żaden książę, nie pan, ale gość mój! — zawołała Jagna — mój miły, wybrany, którego nikt nie zna i znać nie powinien. Pamiętajże o tem, byś mi się z wielmożnością swą słowem ni ruchem nie zdradził.

— A! tu ja twoim sługą — odparł wesoło książę — a Bóg widzi że nie pożałowałbym księztwa mojego gdybym z tobą — — —

— Cicho! dość! — przerwała Jagna. — Już nas posłyszec mogą.

Zmęczone konie stały pod słupiąstą podsienią, parobcy po prostu ale czysto odziani, do stóp się skłoniwszy, chwycili konie za uzdy, ale tego nie było potrzeby, bo one same stanęły oba, a gdy Kaźmierz i Jagna zsiadli — razem się ku stajni zwróciły.

Na przyjęcie gościa od progu izby były wysypane świeżym kosaćcem wonnym, drzwi stały otworem i okna. Wesoło było na dworku, którego izby i komory, jakby w nich nikt nie zamieszkiwał świeże były i czystociuchne. Nie zbywało w nich na niczem ale co było sprzętu i dostatku, proste i wiejskie.

W drugiej izbie, już umyślnie zgotowany był stół pokryty białym czerwono wyszywany obrusem. Widać na nim było dzbanki i kubki, świeży chleb pozłocisty, od którego się woń rozchodziła, podplomyki, kołaczki. W misach stało mleko, masło, ser, poziomki i grzyby wiosenne.

Nie zważając na ludzi, którzy na wskrós przez drzwi otwarte patrzeć mogli, Jagna rzuciła się na szyję księciu i w długim zatrzymała go uścisku, oddanym namiętnie — książę podniósł ją w silnych rękach, zamiast pochylić ku niej. Postawił ją potem lekko na

ziemi, zobaczywszy że niewieści dwór już z kuchni szedł niosąc misy parujące wyziewem mięsiwa, który się rozchodził dokoła.

— Siadajże, gościu mój miły, — zawołała Jagna stojąc przed nim i nadając sobie mężką postawę — ja ci posłużę sama. Jedz i pij!

Książę padł na stołek przygotowany.

— Ty gospodarzu, — odezwał się — siadajże na przeciw mnie i jedzmy razem, inaczej i ja nie zechcę.

— Mnie jeść się nie żąda — odparła Jagna — będę cię zjadać oczyma... to mnie nasyci.

Kaźmierz się uśmiechnął.

— I mnieby tej strawy było dosyć — odpowiedział.

Oboje tak gwarząc ręce wyciągali do misy, a Jagna starała się księcia rozweselić, bo czuła, mimo uśmiechów, że przybył smutniejszy niż zwykle.

Nalała mu wina które umyślnie dlań przygotowane we flaszy stało, sama podała kubek. Sprzeczała się kto pierwszy pić będzie, chwytała za ręce, pochyłali ku sobie, Jagna ciągle białe ząbki pokazywała — każąc mu być wesołym.

Tak zbiegła krótka u stołu chwila — książę wprędce chlebem i winem był syty — jeść nie mógł. Jagna powoli z trzpiotowatego wesela, jakby zarażona skrytym jego smutkiem, zachmurzyła się.

— W izbach siedzieć zaducha — zawołała — ino nie widać jak nadciągnie burza. Ja ją już czuję, chodźmy do pasieki, siądziemy pod lipą.

Książę wstał i jak dwaj dobrzy towarzysze, bo Jagna mężkiego nie zrzuciła stroju, wzięwszy się pod ręce, przeszli dziedziniec ku blizkiej pasiece. Mały płot dzielił ją od niego.

W głębi widać było ule, z przodu stało kilka lip starych, którym się właśnie na wczesny kwiat zbierało. Trawa pod niemi była zielona i miękka, świeża jak kobierzec tylko co utkany.

Siedli pod pnem oboje. Tu nikogo nie było, ci-

sza błoga, szelest drzew które czasem jakby drzenie jakieś poruszało i usypiało znowu. W dali świergotały ptaszęta, brzęczały pszczoły.

Coś mi gość przybył z chmurą na czole—zawołała Jagna — a to, do Gaju nie godzi się z miasta przynosić troski. Co wam?

— Nic ni — burzę tylko czuję i ciężko na pierśsiach a głowie—rzekł Kaźmierz uśmiechając się.

— Jabym burzy rada była—mówiła Jagna—potem się lżej oddycha. Niedługo czekać a zaszumi i zahuczy!

Książę westchnął i dłonią potarł czoło.

— Tak, — ciągnęła dalej Jagna — musi burza przyjść i przejść, aby nam potem dobre zaświeciło słońce.—Moje słońce—to wy!

Uśmiechnął się.

— Niewiecie wy nic, jakie my tu mieliśmy odwiedziny, jakby wróg dobywał zamku.

— Napad jaki?—spytał trwożnie książę.

— A tak!—kończyła Jagna—Mieszkowy ulubieniec, Kietlicz, któremu wszystko widać wolno, zabłądził do nas, choć to przecie Sandomirska własność czyjaś inna. Chciał aż wrota wylamywać, że mu nasi ludzie przewodu nie dawali. Wdarł się do chorego ojca i gościa co u nas był, który starego bronić chciał, związanego uprowadził.

Zachmurzyło się mocniej jeszcze czoło Kaźmierza.

— O! ten Kietlicz—zawołał—brat Mieszko, ręczę, nic o tem niewie, a on mu wrogów przyczynia.

— Nie czynił przecie tego bez rozkazu — szepnęła Jagna.

— Jam pewny że bez niego,—odparł Kaźmierz—brat posłuchu chce i ładu, ale krzywdy i ucisku chce nie może!

— Władzy mu się chce! władzy! — zawołała dziewczę — coraz większej, a tej mieć nie będzie, nie będzie! nie!

I widząc że Kaźmierz się marszczy, dodała żywo.

— My wszyscy jednego zwierchniego pana mieć chcemy i mieć będziemy i musimy! Mój pan będzie wszystkich panem!

I namiętnie rzuciła mu się na szyję. Kaźmierz z lekka ją od siebie odtrącił.

— Jagno!—zawołał—nie mówże tego! abys mi nie psowała serca! Czy ci moje szczęście, mój spokój nie miły? Znasz ty mnie czy nie? Ja nie pragnę nic! Sandomirza bym się prędzej rzekł dla tej chaty—tyś nie pocziwa!

— Ja chcę byś miał pańskie serce i pragnął więcej! — zawołała nieposłuszna Jagna, nie dając się odepchnąć.—Chcę żebyś był wielkim, królem, wojownikiem, bohaterem—bym sobie mówić mogła, ten wielki jest mój!

— Tak! I ten wielki a nieszczęśliwy naówczas już twoimby być nie mógł, ani przyjeżdżać do Gaju, ani tak z tobą usiąść na trawie pod lipą i Jagnę swą ścisnąć. To mówiąc pochwycił ją w ramiona, ona pochyliła się ku niemu, na piersi jego położyła głowę i zadumała smutno.

Łzy się pokazały na powiekach.

— A! niewiedzieć czego chcesz — odezwała się.— To szczęście co jest, ktoś mi je odbierze, niechby choć drugie zostało—duma w sercu.

— Dlaczegoż ma ci kto mnie odbierać? — rzekł Kaźmierz — byleby mi spokojnie dali zostać w Sandomirzu.

Dziewczę mu się wyrwało i siadło.

— Nie! nie! Na Sandomirzu mojemu panu siedzieć mało, wart on Krakowa i korony. Nie ja to mówię ale świat cały. Ziemianie wołają jednym głosem, zmuszą cię!

Kaźmierz prawie gniewnie usta jej dłonią zacisnął, którą ona całować zaczęła.

— Aż tu mnie przesładuje ta nieszczęśliwa dola

moja — zawołał — nigdzie od niej spokoju, nawet tu! Nawet ty mówisz o tem, gdzie jabym rad zapomnieć co mnie przygniata. A! nigdzie spokoju!

Wymówił to z taką boleścią, że Jagna się nią poruszyła i poczęła go ręką białą głaskać po czole i twarzy.

— A! dość! dość! — rzekła. — Ja milczę. — Cóż to pomoże? Co przeznaczone ziścić się musi. Ludzie powiadają że ojciec Wasz, gdy umierał, dziecku bezdomnemu przepowiedział koronę. — Wiedzą o tem wszyscy, Bóg tak chce! ty musisz!

Wzdrygnął się książę.

— Mieszko stokroć jest godniejszy odemnie — zawołał — on ma moc i smak w panowaniu, gdy dla mnie ono brzemieniem i odrazą. On ma rozum królewski.

— Ale miłości niema ani on dla ludzi, ni ludzie dla niego. Nie — o — nie! Co przeznaczone to się ziści... Jagna zobaczy cię na stolicy a potem — choćby umarła!

Szeptali cicho.

W tem słońce które pałało i doskwierało — nagle, jakby się gdzieś skryło, cień jakiś padł na pasiekę, na dwór, na las. Pół nieba jeszcze było jasnego, za drzewami chmury nadciągające się kryły, zasłaniając już słońce. Powietrze było ciężkie, cisza grobowa.

Las przebiegł nagle jakby pęd lecącego wichru, drzewa się zakolysały, zaszumiały, gałęzie zatrzęszczały i ucichło znowu. Jagna podniosła głowę.

Nad niemi jeszcze niebo stało jasne.

— Chodźmy do izby — rzekła powstając — burza nadciąga.

Każmierz wstał leniwo, milczący. Po rozmowie ciężej na sercu stało się jeszcze. Jagna próżno go się go starała rozweselić. Pobrawszy się pod ręce znowu poszli do dworku, którego izby stały puste otworem, i nie zatrzymując się w pierwszych, pociągnęli do malej komory o jednym oknie.

Tu na posłaniu leżały zrzucone niewieście szaty Jagny. Pod oknem ława stała z poduszkami, a z okna w głąb lasu widać było daleko, przez dęby stare łąki zielone, które smaragdowo przeglądały.

Choć w dworku nic jeszcze słyhać nie było, w lesie już drzewa gięły się gwałtownie, gałęzie wily, liście z nich oberwane leciały, robiło się coraz ciemniej, coraz nocniej, choć do wieczora dość było daleko, mrok jakby dnia schyłku zalegał okolicę.

I pierwszy grzmot głuchy rozszedł się po lesie, a pierwszy błysk przedarł ciemności szumem straszonym odezwwały się bory. Ludzie przerażeni kryli się pod dachy.

Jagna i Kaźmierz z rozkoszą prawie patrzyli na to nagle zawichrzenie, dziewczyna wyglądała z dzieciinną ciekawością. Burza nadciągała z pośpiechem wielkim, pędem i gwałtownością niesłychaną, grzmot nie ustawał, jeden zlewał się z drugim, błysk następował po błysku, pioruny biły w lesie. Ulewa z gładem szły od niego, zbliżyły się, zakryły widok, szarą oponą zasłoniły drzewa.

Grad kamienny bił po dachu dranicowym. Jagna nie zasłaniała okna, owszem wychyliła głowę jakby ochłodzić i obmyć ją chciała.

Tak siedząc u okna przy oslepiających błyskach i szumie burzy, mieniając zaledwie słowa, dosiedzieli aż do nocy.

Wicher zaczynał ustawać powoli, powietrze ostygło nagle, ale deszcz lał jeszcze ulewny i blade błyski oświecały podwórze i izbę.

Jagna wyszła, aby kazać podać wieszak i światło.

Wszystkich ludzi znalazła w przedsieni oczekujących i przypatrujących się odchodzącej nawałnicy, która w bliskości kilka drzew obaliła i strzaskała.

Właśnie się miało zakrzatnąć około światła, gdy Jagna, która wyszła pod słup, usłyszała wołanie od zamkniętej bramy.

Dobijano się do niej, krzykami coraz silniejszymi, domagano się wpuszczenia wewnątrz. Rozpoznać było można kilka męskich głosów różnych, powtarzających ciągle:

— Wrota! otwierać wrota!

Najście to było całe niespodziane, bo do chaty w Gaju chyba zbłąkany mógł zajrzeć podróżny. Stała na uboczu i nikt tu nigdy nie widział gości. Jagnie krew uderzyła do twarzy. Ani sama się kryć nie chciała, ani księcia na poznanie go narazić. Zresztą wiedzieć nie było można, kto się wpuszczenia domagał, i czy nie jaka szajka zbójców leśnych, chwilę tę upatrzyła sobie do napadu.

Parobcy chwycili zaraz oszczepy, a chłopca wysłano, aby się podkraść do bramy i obejrzał przyjezdnych.

Posłany powrócił oznajmując z przestrachem, że koni ze dwadzieścia u wrót stało, a widać było ludzi rycerskich, zbrojnych, którzy na statecznych ziemiach wyglądali. Tymczasem grożąc i łajając, na czym świat stoi, dobijano się ciągle do bramy.

Wydawszy rozkaz, aby zwolna wpuszczano przyjezdnych, Jagna pobiegła przelekła i gniewna razem do Kaźmierza, aby mu oznajmić o przybyłych i kazać się ukryć przed niemi. Sama chciała wdziać suknie niewieście i obmyśleć czy się ma ukazać czy nie nocnym gościom.

Starszy sługa miał ich tymczasem wpuścić do pierwszej izby, od której drzwi do dalszych sama Jagna zasunęła.

Kaźmierz na wieść o przybyszach, rzucił się do miecza naprzód, ale przeciwko dwudziestu zbrojnym oporu stawić nie było można. Chciał potem z Jagną razem uchodzić w lasy, lecz trzeba było zaczekać i widzieć, a wiedzieć co byli za ludzie, którzy się tu nocą na bezdrożu znaleźli kupą taką.

Z za drzwi słyszeć było można, gdy nadchodzili.

Gdy stary sługa pobiegł im otwierać wrota, sta-

nał przed nim cały zastęp jezdnych, którzy natychmiast złorzecząc na podwórze się wtłoczyli, z naleganiem czyja chata była, kto w niej gospodarzył.

— Pod czas gospodarza nie ma — odparł sługa — a panem naszym jest Scibor ze Sciborzyc. My tu służymy, a już i tak goście mamy zajezdnych (tak mówić mu kazano), nocą nam nikogo puszczać nie wolno.

Starszych trzech jadących na dzielnych koniach z pięknym oreżem, poczęli wołać.

— A toć nie zbójce jesteście, w burzę i sloty nikt dachu zbłąkanym nie odmawia. Licho w drodze obłęd i burzę nadało!

Nie pytając więcej poczęli zsiadać z koni, otręsali się z wody i pytali zaraz o najbliższą drogę do Sandomirza, którą po nocy zgubili.

We dwadzieścia jechali koni, ale rycerzy trzech tylko, reszta służba i dwór, żołnierze i czeladź. Wtoczyli się zaraz do izby. A że i tu się nikogo nie spodziewali zastać, poczęli kląć strasznie i tak puszczać języki, jakby sami byli.

Jeden stary z siwą brodą wszystkim im przodował, pańskiej był i rycerskiej postawy, dumny i butny, mówił głośno i wrzaskliwie.

Dwu towarzyszącym mu młodszym, nawykłym widać także do rozkazywania, rozgaszczali się nie hamując głosów. A że się pod strzechę dostali z ulewą, już im szpary odchodziły, gwarzyli wesoło, stukali i hukali, całe się nie troszcząc, czyj dom był.

— Dali się gdzie schronić — zawołał jeden z młodszych — niechżeby i pokarmili. Już się coś znajdzie choćby chleb, ser i woda.

— Albo i piwo! — dodał drugi.

W tem trzeci, co izbę opatrywał, namacał flaszkę z winem porzuconą na stole, do nosa ją przyłożył, potem do ust.

— Hej! hej! Cud! — krzyknął — a toć wino na stole! Nie już się to u tego Scibora parobkowie nim raczą?

Skoczyli wszyscy do flasz.

Zdumienie było wielkie. Jeszcze większe, gdy srebrny kubek przy niej się znalazł.

— O! o! toć kłamią, że pana nie ma, psim swędem nas zbyć chcąc. Jest ci, ale się ze strachu skrył musimy go z jamy wykurzyć.

Poczęli się śmiać i hałasować, wołając wrzaskliwie starego sługę, który przybiegł wylekły.

Siwy ów starszy wskazał mu na flaszę i kubek.

— He! cóż to, pana u was nie ma w domu, a wino stoi na stole? — zawołał — dla kogóż one było?

Sługa oniemiały odpowiedzieć nie umiał, stał osłupiony, gdy drzwi od izby sąsiedniej otwarły się nagle i Kaźmierz wszedł.

Chłopak był wprzód jeszcze nadbiegł z drzazgami, więc w izbie widno już było. Goście odwrócili się do wchodzącego. Żaden z nich Kaźmierza i żadnego z nich on nie znał, postrzegłszy jednak tę piękną, urodziwą i wspaniałą postać, dorozumieli się, że nielada człeka mają przed sobą. Strój też, acz skromny, zdradzał pana, a wiszący na piersi różek myśliwski rzeźbiony z kości słoniowej, sam już jako rzecz droga i osobliwa, oznaczał, że mieli do czynienia z kimś majętnym i dostojnym.

Zobaczywszy go niespodzianie wszyscy trzej, nim się zebrali przemówić, długo mierzyli go oczyma.

— Niech Bóg będzie pochwalony — odezwał się książę głosem jasnym — witam gości! Jam tu nie gospodarz, ale Scibora ze Sciborzyc krewny, na łowy zjechałem do niego. Burza mnie tu, jak was zaskoczyła. Z biedy gospodarza muszę zastępować.

Starszy się skłonił nieco.

— Jestem Lassota ze Steblowa — rzekł — a choć na Szlaku mam mienie i w Krakowskim też ojczycem jestem. Oto mój towarzysz Jaśko Bogorja, a to Leszczyc młody.

Skinął Kaźmierz na sługę, aby wieczerzę dawano.

— Radem, że was tu widzę — rzekł — a nie kogo innego, bo gdy do wrót wołano, myślałem, że lesni włóczędzy.

Uśmiechnął się. — Jam tu sam, ludzi nie mam, wybierałem się już uchodzić chyba.

— A no, miłościwy panie, nie wiemy jeszcze kto jesteście? — przerwał Jaśko Bogorja.

Kaźmierz się zawahał trochę, ale poznać się im dać nie mógł, i odparł po krótkim namyśle.

— Sandomierzanin jestem, Busław z pod Sulejowa.

Wymówił to jakoś głosem niepewnym, ciężko mu było.

— Cośmy to o was nigdy nie zasłyszeli — odparł stary Lasota — ja niemal wszystkich ziemian sandomirskich znam.

— Długom się włóczył za granicą, po Niemczech — rzekł Kaźmierz raźnie — niedziw żeście o mnie nie słyszeli. A was tu jaki traf przyniósł? Droga tedy nie wiedzie żadna?

— Prawe lichy! — zawołał Bogorja — zbiliśmy się szkaradnie z gościńca, jedziemy bardzo pilno do Sandomirza.

— Gościniec ztąd daleko! — rzekł książę.

— Myśmy też dawno go zgubić musieli, a wszystkimu winien Zbożek, sługa Lassoty, który przewodu zaniechał brać, ufając, że wszędzie trafi, i ot, w jaką nas zapchał dziurę.

Gdy tak rozmawiali, nad wszelkie ich spodziewanie dostatnią wieczerzę poczęli nieść ludzie, aż się zdumieli. Książę Kaźmierz zapraszał. Siadł więc stary Lassota na pierwszym miejscu, młodzież dalej, a gospodarz w końcu stoła.

— Pożywajcie i posilajcie się zdrowi — rzekł do nich — jam już syt.

Dostatkowi, który znaleźli w lichym dworku, nie mogąc się wydziwić, głodni łapczywie się raczyć zaczęli, aż Lassota popatrzywszy na księcia — zapisał.

— Wściecie też Sandomierzanin, miłościwy Buślawie?

— A tak — odparł książę.

— Swojego pana znacie pewno i miłujecie? — dodał stary.

Książę się zarumienił.

— Małom go widział — rzekł — bo jako mówiłem, nie siedziałem doma.

— Z nas też go żaden w oczy nie oglądał nigdy — mówił Lassota — oprócz mnie, ale on wówczas jeszcze małym dzieckiem był. Dobry pan, wszyscy go chwala.

— Tyle wiem, że radby dobrym być — odpowiedział Kaźmierz — ale ja o nim z posłuchu tylko mówić mogę.

Spuścił głowę, Lassota napiwszy się trochę, począł być szerszy i dodał po chwili.

— Co mamy tać przed wami, toć swoich nie zdradzicie. My do niego do Sandomierza ciągniemy.

— Do niego? — zapytał nieśmiało książę.

— Tak jest — ciągnął dalej Lassota. Cała ziemia krakowska do niego wzdycha! Musi nam panem być! Nie pomoże nic. Słaliśmy byli do niego naprzód jednego zaufanego czelczka, aby mu doniósł o tem. Kietlicz go pochwycił i uwięził. Wybrało się nas więcej różnemi drogami, musimy go mieć.

Pomieszany słuchał książę.

— Ja tyle wiem — odparł po namyśle — że on rad spokojnie na Sandomirzu siedzieć, a o panowaniu na Krakowie słyszeć nie chce. Znam Goworka, mówili mi inni przybocznicy. Wiecie, że za Kędzierzawego już nalegano nań, a przeciwko bratu iść nie chciał.

— Wszystko my to wiemy — zawołał Bogorja — ale kiedy go ziemianie wołają, musi iść!

— A cóż przeciw Mieszkowi macie? — zapytał książę.

Tu wybuchli wszyscy razem.

— Kat jest, a nie pan! precz bo z nim! ziemianie sobie na karki jarzma nakładać nie dadzą!

— Pójdzie precz! pójdzie!

Gwałtownością tych wykrzyków Kaźmierz tak na chwilę zdał się pomieszany, iż wcale odpowiedzieć nie umiał; dopiero odzyskawszy przytomność, począł spokojnie a smutnie.

— Pozwolicie mi słowo rzec. Jam się dużo po obcych ziemiach włóczył, naszych mało znam; to co tu widzę i słyszę, bardzo mnie zdumiewa.

Jako się tu z naprawy ziemian nieustannie panowie mienią, czy dobrem jest? nie wiem. W innych ziemiach radzi słuchają ziemianie, aby ład był w domu i siła przeciw nieprzyjaciela — a u nas. —

— A u nas — przerwał Lassota — na nieprzyjaciela się siła i kupa znajdzie, ale my swe prawa mamy i znamy i naruszać ich nie damy. Ze skóry nas drze Mieszek i odgraża się, biskupów, ojców naszych radby w kajdany pookuwał, my tego nie dopuścimy.

— A nie! nie dopuścimy! — zawtórowali inni, my tu ojczyce, my gospodarze.

— My z biskupami sobie panów wybieramy, jako chcemy z książęcego rodu — rzekł Lassota. — Duchownym i sobie krzywdy nie damy robić.

— Mieczysław duchownych nie tyka — przerwał książę.

— Jako? a toć już pewna rzecz jest, że Gedkę biskupa naszego skazał na wygnanie.

— Nie może to być! — wykrzyknął Kaźmierz przelekły. — Siła, z jaką im zaprzeczył, na czas mowę zamknęła przybyłym. Umilkli, Kaźmierz porozumiawszy, iż gwałtownością zdradzić się może, na tem poprzestał.

Patrzali nań, gdy chleb łamał i wino zwolna popijał.

— Jam bliżej tych dzisiejszych spraw nieświadom—dodał książę— wiem tylko, że na miejscu Kaźmierza nie przyjąłbym stolicy, na której i najlepszemu usiedzieć trudno. Wszystkim nigdy nie dogodzi, a byle garść się znalazła niechętnych, to go obalą.

— Nie garść nas jest — krzyknął z oburzeniem Lassota. — Wy nie znacie, ani wiecie, co się u nas dzieje! Nie garść niechętnych idzie na Mieszka ale do nogi wszyscy! Z nim nie ma nikogo.

Drażliwa rozmowa na tem się przerwała nieco. Lassota począł oknami wyglądać.

— Pilno nam strasznie do Sandomirza—dodał.— Gdyby nocą, jak księżyc zejdzie, można ruszyć, gotowiśmy jechać, ale kto poprowadzi?

Księciu Kaźmierzowi jedziemy oznajmić, aby wezwaniu brata, który posłał po niego, zadość nie uczynił. Woła go do Krakowa, a gdy tam przybędzie, kto wie, jaki go los spotkać może! Szkoda pana!

Zbladł Kaźmierz.

— Wiecie, że posłano po niego? — spytał zmienionym nieco głosem.

— Wiemy na pewno, iż podłego służkę, podse-dziego Mierzwę, wyprawiono z rozkazem, aby Kaźmierza z sobą zabrał i przywiózł — rzekł Lassota — wiemy wszystko co się na zamku dzieje, bo tam już trupa czują ci, co go otaczają i służą nam nie jemu.

— A i to prawda—dodał Jasko — że nasza czeladź tak samo nas zdradza, bo przez nią Zaborą straciliśmy.

Poczęli się śmiać.

— Tych łotrów co Kietliczowi służą na palcach zliczyć—dodał stary—a my wszystkich mamy z sobą.

Mieszek ani wie, ani czuje, jak się ziemia rozstępuje pod nim. Dni jego policzone. Biskup Gedko, wojewoda Szczepan, wszyscy z nami!

Kaźmierz zafrasowany nic nie odpowiedział na to.

Wieczera się dawno skończyła.

Niebo było wypogodzone, księżyc się z za lasów wydobywał. Lassota z za stoła wstawszy, gdy postrzegł, że jaśniej się zrobiło, pilno o przewodnika się jął upominać. Książę Kaźmierz sam wyszedł, aby słudze dać rozkazy i polecić milczenie, gdyby go rozpytywano.

Z północy niespokojna gromadka wypiwszy co było, podochocona, może nie zbyt rada z gospodarza smutnego i milczącego, poczęła na gwałt wyrwać się z Gaju. Nie zatrzymywano ich.

I tak, jak burza druga tu zaszumiawszy, wyjechała nazad z okrzykami, dziękując za gospodę, jadło i napój..

Książę Kaźmierz stał jeszcze u wnijscia patrząc za odjeżdżającymi, gdy z tyłu nadbiegła Jagna i rzuciła mu się na szyję. Twarz miała jasniejącą, co dowodziło, że podsłuchiwała rozmowę. Nie dając się opamiętać księciu pociągnęła go za sobą.

— Będiesz królował na Krakowie—wołała—bo tak Bóg chce—i ja!

IV.

Gdy Stacha wrzucono do ciemnicy, po pierwszej osłupienia chwili, mężny człek cokolwiek przyszedłszy do siebie, nie tracąc czasu izbę swą opatrywać, albo raczej obmacywać począł, bo światła w niej mało było.

Oprócz wnijscia i okienka zakratowanego gęsto, nie było w niej nigdzie szpary, otworu, któryby do wydobywania się na zewnątrz mógł posłużyć.

Ze szmerów i głosów, które go dochodziły, nie

nie mógł zmiarkować. Myśli różne roily mu się, nadziei nie tracił.

Żałował tylko zmarnowanego czasu który tu przesiedzieć musiał.

Czuł że się tam właśnie na świecie losy księcia Kaźmierza i Mieszka rozstrzygać będą, jemu dostało się siedzieć bezczynnym, zapartym, nie wiedzieć o niczem i nie móc nic robić!

Przeklinał siebie iż Żegcia, który go ostrzegał, nie posłuchał, a z gościńca nie zjechał, obwiniał nieopatrność swoją i trapił się tem bardziej że pokutował za własną winę.

Szczęściem gdy Bereza go brał, z wielkiej radości i pośpiechu zapomniano go obedrzeć. Miał więc i trochę srebra w kieszeni i ów łańcuch złoty, który mu zwrócił Juchim.

Rachował że się to na coś przydać może.

W tych myślach usnąwszy nie obudził się aż drzwi odemknawszy, pacholek milczący przyniósł chleb i wodę. Chciał z nim jaką taką rozmowę zawiazać Staszek, ale głową pokiwawszy, stróż mu nawet nie odpowiedział.

Przez cały dzień następny nie oglądał ludzkiej twarzy, słyszał tylko niedaleko rzenie koni, wrzawę, rozmowy, hałasy ludzi swobodnych — ale do niego nie zajrzał nikt.

Pod wieczór z gniewu i zmartwienia Stach chorym się uczuł.

Gdy znowu nocą uspokoiło się wszystko, wrócił do swego zajęcia, począł po izbie macać, rozglądać się, drzwi próbować. Ogarniał go niepokój coraz większy. Nie mogąc zasnąć dotrwał tak do białego dnia i przyjścia stróża, z którym już rozmowy nie próbując, począł od tego że mu dał kilka piątek.

Pacholek popatrzał na nie zdziwiony, potem na Stacha, mruknął coś do siebie, drzwi zarygłował i poszedł. Wieczorem w dowód wdzięczności przyniósł świeżej wody.

— Znasz Juchima Skarbnego? — zapytał Stach.

Stróż milczący począł trząść głową, nie odpowiadał nic, i po długiem namysle i wahanu, wyrwało mu się.

— A—he!

— Powiedz mu aby tu przyszedł do mnie. Powiedz że tu siedzi ten co mu winien siedemdziesiąt grzywien — i chce je oddać. Rozumiesz! On ci da coś za to!

Wcisnął mu znowu piątek kilka. Stróż stał długo skrobiąc się, jak osłupiały. Nie łatwo mu przychodziło myśli zebrać, nazwiska spamiętać; nie rychło też dopiero rozważywszy wszystko, skinął głową i rzekł.

— A—he! Z tem poszedł.

Następnego dnia Stach skutku wyglądał, słuchał, czekał, zdawało mu się, że albo go wezmą na spytki lub Juchim przyjdzie do niego. Zapomniano o nim.

Gdy stróż nadszedł a Stach go zapytał o żyda, nie odpowiedział mu na pytanie, tylko namyśliwszy się, zbył go swoim —

— A—he!

Ale głową tak trząsał jakby chciał dać do zrozumienia iż poselstwo swe sprawił. Gdy się obudził następnego poranku Stach i drzwi otworzyły postrzegł w nich chudego w wysokiej czapce Juchima, który z obawą do więzienia zaglądał, nie chcąc przestąpić progu.

— Na miłość Boga, — zawołał biegnąc ku niemu Stach, któremu na drodze stróż stanął — uwolnij mnie ztąd, bo inaczej grzywiny twoje ze mną przepadną. Nie wiem za co mnie pochwycono, nie jestem nic winien.

Juchim czesząc rzadką brodę palcami usta podniósł do góry.

— Nie winien! — począł mruczeć. — A ha! nie

winien! Was teraz ani modlić ani wykupić, choćby za dwieście grzy wien!

— A za trzysta—przerwał Stach.

— Hm! kiedy wy i jednej nie macie — rzekł Skarbny chłodno.

— Ale ziemię mam, sprzedam ją, zastawię a zapłacę! wołał Stach.

Juchim ręką zamachnął w powietrzu, w tem stróż szelest jakiś posłyszawszy, rozepchnąwszy ich coprędzej, drzwi zaryglował.

Znowu tedy dzień cały zszedł na próżnem dręczeniu się myślami. Pod wieczór, dosięgnąwszy okna począł więzień próbować, czy go nie potrafi wyłamać, ale gdyby się to nawet udało przekonał się że przez ciasny otwór wydobyć się nie potrafi.

Padł tedy zrozpaczony na słomę.

Późno już, gdy w około ucichło wszystko, drzwi się bardzo ostrożnie i bez szmeru odryglowywać zaczęły, z ciemności posłyszał Stach głos Juchima. Pobiegł do drzwi, które mu stróż ręką zapierał jak żelazo twardą, aby się za próg nie wydobył, ale mówić nie bronił. Rozmawiać przy nim można było śmiało, gdyż rozumiał mało, albo nic.

Juchim szeptać począł.

— Chcecie być wolni, mało przysiądz na trzysta grzywien, trzeba też przysiądz że panu naszemu wier nie służyć odtąd będziecie.

Stach chwilę nie odpowiadał.

— Albożem ja go zdradził?—zapytał.

Skarbny zamruczał coś. Sprawa była trudna. Do przysięgi naówczas większą niż dziś wagę przywiązywano, była obrzędem świętym, składano ją przed Bogiem. Popelnić krzywoprzysięstwo nie w namietności i uniesieniu, ale z rozmysłem, było grzechem śmiertelnym. Stach nie mógł się ważyć na to, nawet dla odzyskania swobody i milczał.

Chwilę jeszcze stał Skarbny pomrukując i jakby

oczekując odpowiedzi, potem stróż począł naglić aby odchodził i drzwi się zamknęły.

Nie było więc ratunku.

Nocą Stach powrócił do okna. Zabite było łatami zewnątrz, ale wyrwać je nie zdawało mu się niepodobieństwem. Cóż, gdy otwór ciasny ledwie by był dziesięcioletnie dziecko przepuścił. Napróżno się około niego znużywszy Stach leżał znowu na barłogu, przeklinając swą dolę. Żadnej już nie miał nadziei oswobodzenia; chyba porywając się na stróża i zamykając go na swem miejscu. Było li to możliwe?!

Kilka dni przeszło na chorobliwym śnie i próżnych rozmysłach.

Jednego ranka, gdy się ruch wielki dał słyszeć na podwórzu, zdało mu się że podniesiony bardzo, jakby naumyślnie, głos Żegcia posłyszał. Spierał się o coś z drugim. Stach dowiedział się że wolnym był, i że około koni jakichś pełnił służbę.

Nadzieja wstąpiła w serce, bo Żegciec uwolniony, (Stach był pewien) musiał się starać aby go wyswobodzić.

W istocie tejże nocy zaskrobało coś do okna, Stach podlaźł prędko. Na drabince od siana ze stajni pochwyconej, stał Żegciec. Stach począł doń wołać natarczywie.

— Człecz, jeżeli ty Boga masz w sercu, ratuj mnie, albo zdechnę rychło! Nie wytrwam!

Żegciec szepnął aby był spokojny. Dodał że o oknie nie było co myśleć. Drugiej nocy miał się sługa pod ścianę podkopać, we dwu mogli tę robotę dokończyć przed rankiem. Stała o to umowa.

Nie śpiąc już, nie jedząc i nie pijąc, Stach czekał zapukania do ściany, aby wiedzieć gdzie ze swej strony ma się wziąć do roboty. Gdy się wszystko uspiło, szmer i drapanie słyszeć się dało, Stach który był gotów ze wnętrza też zacząć kopać, natychmiast rękami ziemię się jął odgrzebywać.

Nie była to robota łatwa. nie mając ani dese-

czki, ni kija do pomocy, ale pragnienie oswobodzenia sił dodawało.

Żegiec ze swojej strony pracował pilnie i żwawo, chociaż przeszkadzali mu jacyś przechodzący których to tem to owem zbywał. Po północy doły z obu stron wygrzebane, nie wielka już od siebie przestrzeń dzieliła. Ściankę tę udało się obalić nareszcie. Stach bodaj z największą męką postanowił wydobyć się ciasnym otworem. Rozszerzono go nieco. czasu nie było do stracenia i więzień dał się wyciągnąć zgnieciony i pokaleczony. Wydobywszy się z jamy, Stach naprzód pocziwego sługę uściskał, zdało mu się iż wykradzenie się z zamku było już rzeczą stosunkowo łatwą. W podwórcach panowała jeszcze cisza głęboka, około wrót tylko słyszeli zdala ciężko stąpające straża.

Ale Żegiec wszystko był naprzód obmyślił, powiódł więc pana swego do upatrzonego miejsca na wałach, zkąd jedną deskę wyjawszy w zagrodzie, mogli się na dół spuścić, bo tu pilności nie było. Po nocy, w miejscu nieznanem zejście z okopu było trudnem, ale ówczesni ludzie mieli instynktą które ich w złych razach ratowały. Przeczuwali czego widzieć nie mogli.

Stach i Żegiec obsunęli się chwytając za krzewy i trawy, aby zbyt gwałtownie nie spaść na dół i znaleźli się z wielką radością swą u stóp góry od strony rzeki. Tu jednak popadali znużeni długi czas tchnąć nie mogąc, a na spoczynek czasu nie było. Uchodźć dalej musieli co rychlej dopóki by dzień, którego już brzaski widać było, nie zdradził ich ucieczki i nie wywołał pogoni. Żegiec przypominał sobie, że wyjętej deski z tyłu zatknąć zabył, a ta drogę ich wykazywała.

Wstali więc biegnąc ku rzece. Szczęściem znalazł się u brzegu stary czółen do kołka przymocowany, choć bez wiosła. Żegiec oderwał go, wskoczyli

oba i puscili się z biegiem rzeki, byle tylko od zamku oddalić.

Dniało już dobrze, gdy Wisła ich unosić zaczęła. Stach położył się na dnie czółna, a Żegiec rękami obnażonemi w wodzie robiąc, wiosło i ster musiał zastępować niemi.

Prąd rzeki dosyć bystry, bo wody jeszcze szły wiosenne, prędko ich uniósł po za miasto i osady otaczające.

W pierwszym kątku trochę osłonionym wierzbami i łożyną, Żegiec przybił do lądu i oba wyskoczyli, aby się skryć w zaroślach a obmyśleć co mieli poczynać dalej. W biały dzień po okolicy się snuć nie było bezpiecznie... Stach też tak był znużony więzieniem, kopaniem, wygrzebywaniem się, ucieczką, iż potrzebował spoczynku. Jakkolwiek silny i zahartowany, omdlewał. Żegiec czując się silniejszym, miał tym czasem szukać jakiegoś sposobu do dalszej ucieczki, sukien, koni, drogi.

Dostarczyłby pewnie wszystkiego pierwszy lepszy z ziemian krakowskich, ale kędy ich szukać było? Wschodzące słońce zastało ich głodnych, znękanych, zaszytych w gęste łozy, rozmyślających jeszcze o ratunku. Żegiec radził, aby Stach tu pozostał, ofiarując się ruszać na zwiady. Nie był tak bardzo znanym, aby mu groziło niebezpieczeństwo, a zręcznym wielce i ze wszystkim obytym. Jeszcze się naradzali, gdy na łęgach nad Wisłą tu i owdzie ukazały się trzody i pastuszkowie.

Żegiec ku pierwszemu z nich po chleba kawałek pośpieszył. Dostawszy go kromkę dla głodnego pana, odzież swą wyróciwszy na nice, umazawszy twarz błotem, odważny chłopak puścił się nazad do miasta. Miał myśl naprzód przekraść się do dworu Leszczyca i tam szukać pomocy.

Przez ogrody, ciasne uliczki i opłotki pomijając ludzi, czyniąc się starym i udając żebraka, Żegiec dotarł do dworku, ale tu wrota został zaparte, ciszę

w nim i pustkę. Przelazłszy zagrodę, wewnątrz nie znalazł też nikogo, oprócz starego wrotnego, który na przyzbie drzemał.

Wiedział jak u Leszczyca zawsze ludno bywało, nie mógł więc opuszczenia tego zrozumieć. Gdy się starego stróża dobudził i pytać począł, odpowiedzieć mu nie chciał, nieufnie jakoś patrzył, zaklinał się, że o niczem nie wiedział; ale iść mu dalej nie bronił szukać i patrzeć. Dworek stał pozamykany, w stajniach, w kuchni, po izbach czeladnych nie było żywej duszy.

Po długim śledzeniu we wszystkich kątach, Żegieć nareszcie w sianie znalazł parobczaka, którego widział, gdy tu z panem stali. I ten niebardzo chciał być rozmownym, mało co też wiedział, mówił tylko, że panowie jakąś wiadomość otrzymawszy nocą, bardzo gniewnie odgrażając i krzycząc na konie siedli natychmiast i w różne się strony rozbiegli. O brzasku tegoż dnia przybył potem oddział żołnierzy z zamku, opasał dwór, wtargnął do środka, przetrząsając wszędzie, szukając i pytając, gdzie się Leszczyc podział. Parobczak jeszcze był wystraszony, bo go osmagano, chcąc z niego dobyć wiadomości, co się z panami stało...

Tu więc już pomocy żadnej nie mógł się Żegieć spodziewać, trochę jadła tylko wyprosił sobie do torby i wyszedł wielce zafrasowany.

Puścił się potem na miasto, sznurkując, czy gdzie znajomych ziemian nie spotka, których zawsze w Krakowie pełno bywało, ale miasto puściesze było niż zwykle, a ziemianina nigdzie ani śladu.

Okolo dworu biskupiego przechodząc znalazł go też zamkniętym i jakby pustym, z ludzi zbrojnych, którzy zawsze w dziedzińcach stali—nie zostało i jednego. Ożywiony rynek, wśród którego okoliczne rycerstwo z pocztami, nieraz z tłumami dwory, trąbiąc i hałasując się przewijało, stał teraz martwym. Mieszczanie i kupcy z trwogą jakąś od progów do-

mostw rozglądali się w ulicach, w których bardzo było cicho. Mniej też duchownych widać było niż zwyczajnie i złowrogie milczenie zalegało gród cały.

Ludzie, z którymi się spotykał nie mieli wielkiej ochoty do rozmowy, nieufnie uchodząc po kątach. Żegięciowi, widząc, że tu nic nie robi, na pamięć przyszło, iż z panem swym gościł na Panińskich Skalach u wdowy Doroty, i że tam ich uprzejmie przyjęto. Z tego, co między ludźmi słyszał, wymiarkował, iż tamby się albo ukryć można, albo prosić o pomoc jakąś.

Niewiele myśląc, choć odarty i niepozorny, w nadziei, że mu tam zaufają, puścił się do dworu na Panińskim. Na pieszą przechadzkę był to kawał drogi, ale wozy włosciańskie szły w tamtą stronę, Żegięć się przysiadł, wpraszał i tak się dostał do dworu Doroty.

Tu także pozamykane było, i puściej niż dawniej. Ostrożnie rozpatrując się dokoła Żegięć, znalazł sposób przemknąć się do drzwi i śmiało a natarczywie począł domagać do pani samej, opowiadając, że posłany jest w bardzo pilnej sprawie.

Czekać musiał czas jakiś nim do niego wyszedł. Przegala i jął go rozpytywać od kogo i z czem przybywał; Żegięć śmiało mu oświadczył, iż tylko z samą wdową mówić może. Zbywano go tem, że jej doma nie ma, rozpatrywano się w nim, badano, wreszcie wyszła sama pani do niego z niespokojnym twarzy wyrazem, nadąsana i gniewna.

— Miłościwa pani—począł śmiało do nóg się jej skłaniając Żegięć -- jestem sługą tego, który tu u was niedawno gościł z Jaskiem Bogorją, zwie się on Zabor z Przegaju. Stał się z nami przypadek straszny, chwycili nas ludzie księcia Mieszkowi, nie wiedzieć za co, na gościńcu, posadzili do ciemnicy, ledwieśmy się zdołali z wielką biedą podkopawszy uwolnić.

Wdowa poczęła ciekawie rozpytywać, bo i owe-go Zabora pamiętała mało i niewiele on ją obchodził,

Żegieć jak mógł i umiał litość się w niej starał obudzić. Napomknął jej cicho, że do ks. Kazimierza w drodze byli. Dorota baczniej się przysłuchiwać zaczęła.

— Miłościwa pani — mówił Żegieć — jak ty nas nie poratujesz, zginiemy. Pan w podartej odzieży kryje się w łożach, ani konia ni broni nie mamy, nie wiedzieć dokąd iść i o czym. Zlituj się, ratuj!

Po krótkim namyśle wdowa, która była zawsze hojną do zbytku, rozkazała Żegocie dać koni parę i przyodziewek dla Stacha.

— Nocą, gdy się zciemni, niechaj przyjeżdża tu, a dalej co robić, zobaczemy.

Opatrzony szczęśliwie w to, co najpotrzebniejszym było, Żegieć siadłszy na konia i prowadząc drugiego, pobiegł nazad z wielkim pośpiechem. Jednak cała ta włóczęga tyle mu czasu zabrała, że gdy się znów na brzeg Wisły dostał w zarośle, już dobrze zmierzchało. W łożach też ukrytego Stacha nierychło mógł znaleźć, a na nizinach konie mu grzęzły.

Huknąwszy parę razy ostrożnie miał tę pociechę, iż pana odkrył, i przypadł doń sądząc, że się bardzo wiadomością rozraduje. Ale Stach o Dorocie posłyszawszy, namarszczył się strasznie, ledwie nie łajał i w początku się nawet oparł wracaniu do niej, chciał wprost ruszać do Sandomirza. Dopiero po namyśle i z niechęcią wielką, aby dostać języka, zgodził się wracać na Skąły... Nie cierpiał Stach wdowy i od niej pomoc przyjąć było dlań wstrętliwem, lecz rady innej nie miał.

Późnym wieczorem przemknęli się około miasta, a noc się poczyniała, gdy stanęli na górze i opowiedzieli się u wrót na skałach, gdzie straż znaleźli czujną i ludzi pozbrojonych jak do pochodu.

We dworze świeciło się jeszcze. Stach musiał iść doń. Przegala go zaraz do wielkiej izby wprowadził. Niedługo czekał i piękna wdowa wyszła doń, przyodziana niedbale, z włosami ledwie przewiązane-

mi, niewiele pono troszcząc się o to, jak się wyda, z brwią namarszczoną, z oczyma jakby troską wygorzałemi. Wpatrzyła się pilno w Stacha, którego, że raz tylko widziała krótko, zdawała się chcieć go sobie przypomnieć, gdzie i jak się spotkali.

— Kietlicz was znowu pochwylił? — odezwała się namyśliwszy — gdzie? jak!

Stach tać się przed nią z tem nie potrzebował.

— Posłany byłem do księcia Kazimierza — rzekł krótko — zdradzono widać nas i wzięto na gościńcu przemocą. Żem się wykopał z ich kuny, łaska to Boża.

— Strzeż się raz jeszcze wpaść w ręce tego oprawcy — odezwała się Dorota. Widać po niej było rozgorączkowanie i niepokój, przechadzała się po izbie wzdychając.

— Nie ma dziwu — dodała — że was schwyciono, na Wojewodę też pono uczyniono zasadzkę, szczęściem był zawczasu zawiadomiony, Biskupa ująć chciano, i ten im uszedł, ziemian jak dzikie zwierzęta ścigają, nikt życia a zdrowia niepewny. Mieszek wie, co go czeka, broni się jak borsuk osaczony w jamie.

Zwróciła się żywo do Stacha.

— I mnie ztąd przyjdzie uchodzić — rzekła — lada godziny. Moi bracia korzystać z tego będą, iż bronić mnie nie ma komu, bo wojewoda o czem innem myśleć musi. Gotowi mnie ubić, gotowi zamknąć, a dla Doroty niewola — gorzej śmierci! Zechcą napasać, ja się im tu z garścią ludzi nie obronię. Łzy gniewu stały jej w oczach, pomieszana była i rozdrażniona.

— Radźcie wy mnie teraz, gdym ja wam radziła — rzekła — co robić z sobą? Nie mam teraz nikogo. Gachów zawsze pełno dawniej bywało, a przyjaciela nie mam ani jednego. Pustki u mnie, ja sama, choć głowę o mur rozbijać.

Stach się zadumał, mało ona w nim obudzała li-

tości, czuł wstręt do zuchwałej niewiasty, mimo to w niebezpieczeństwie radzić czuł się obowiązany.

— Miłościwa pani—odparł rada tu krótka. Jeżeli się napaści na dwór obawiacie, trzeba uchodzić ztąd i to nie mieszkając. Po lasach się tulać niewiele pomoże. Macieli jaki dwór obcy, do którego by się schronić można?

Dorota ruszyła ramionami.

— Ani domu ani łomu—odparła — a człowieka jednego, któremubym zaufała, krom starego grzyba wojewody.

— Nie już do niego do obozu? — zapytał Stach.

— No? a czemu by nie? — zawołała Dorota...

Stach ramionami ruszył.

— Do niego czy do lasu — rzekł — juści gdy się obronić nie można, trzeba ucieczką się ratować.

Dorocie oczy zabłyśły, drgnęła.

— Więc ruszym, gdzie oczy poniosą, ale i wy ze mną! — zawołała.

— Doprowadzę was — odezwał się Stach — do pana Wojewody, gdy Bóg pozwoli, dalej ja muszę jechać, gdzie mi polecono.

Dorota namyslać się zdawała...

— Dobrze tak — rzekła — wiedźcie mnie do obozu, tam ja będę bezpieczna. Sami ruszajcie do ks. Kazimierza. Wojna wypowiedziana, w domu siedzieć nie czas nikomu, na koń potrzeba wszystkim! na koń!

Poruszona wielce chodziła włosy rozwijające się zgarniając coraz niecierpliwie.

— Do jutra rana! — odezwała się — potem i ja z wami na koń, do obozu. Prowadźcie mnie do Wojewody, z sobą potem czynicie co chcecie.

Stach możeby był do ranka niebardzo chciał czekać, ale znużony przystał i na to.

Już miał odejść, aby sobie szukać miejsca do spoczynku, gdy Przegała wpadł cały drżący, z oczami osowiałymi, dając po sobie poznać, iż niósł wieść

groźną. Dyszał tak, że mówić nie mógł. Dorota nogą tupnęła.

— A mów, stary tchórze! — krzyknęła — co ci jest?

— Kurek powrócił z Tęczyna — zawołał Przegała — tam już pogotowiu wszystko do najścia na nasz dwór do dnia, aby was pochwycić. Panowie bracia jadą oba, sto koni z sobą mają.

Wdowa rzuciła się z wściekłością niemal, uderzając go po ramieniu i popychając do drzwi.

— Ludzie na koń — zawołała — ja będę zaraz gotowa. Na koń kto żyw.

Skinęła na Stacha.

— Ty z nami!

Stach, który się ledwie z jednego wyrwał niebezpieczeństwa, wpadł tu w drugie nie mniejsze. Nie było wątpliwości, że panowie z Tęczyna za siostrą pogonią i ślad jej wytropią. Czekala walka nierówna, śmierć, rany lub niewola znowu... Lecz, wyboru nie było; odstąpić niewiasty, choć wstrętliwej i winnej, nie godziło się.

Piorunem gotowano się do podróży, cały dwór ruszył się, wśród płaczu i zawodzenia dziewczek, które zbiegły się do swej pani, narzekając na los i na to, co je spotkać miało. Izby się od wrzawy i jęków rozlegały. Dorota już wdziewała odzież, sposobiła oręż, zagarniała kosztowniejsze sprzęty na wozy, które z nią iść miały, pędząc ludzi do pośpiechu.

We dworze nie miał pozostać tylko stary Przegała, dziewczęta i niedołężna służba, reszta jechać z panią musiała.

Stach nim się opatrzył, znowu konia dosiadać musiał, ale już był zbrojnym, bo mu dano kaftan, łuk, helm jakiś i miecz niezgorszy. Wszystkich koni i ludzi orężnych nie było więcej dwudziestu. Przystojny młody koniuszy dowodził niemi, jak pan sobie poczynając, bo był w łaskach u wdowy i ta mu wolę dawała wielką.

Po ciemku jeszcze wyciągnęli ze dworu, puszczając się w dolinę, by jak najprędzej od Tęczyna się oddalić. Dorota jechała posępna i milcząca, niekiedy głowę zwracając w stronę dworu swojego, jakby przeżuwała, że jej do niego powrócić będzie trudno.

Jechać miano do obozu Wojewody Szczepana, ale gdzieby się on znajdował, nie wiedział nikt z pełna, pytać się oń i szukać go było trzeba, ku Sandomirskiej kędyś granicy.

Zrazu bładzono bezdrożnie, a młody koniuszy, który siedząc we dworze, nie wiele wiedział, pokierować nie umiał; Stach dopiero, któremu śpieszno było dostać się do księcia, w pomoc przyjść musiał, ludzi badać i najprostszych dróg szukać.

W pierwszym popłochu kupka ludzi otaczających wdowę, przedarłszy się po cichu przez dolinę, lasów szukała, aby w nich bezpieczniejszą się czując o dalszym pochodzie myśleć. Dorota nalegała o pospiech tylko, resztę zdając na Stacha i Koniuszego. Gdy na wytchnienie stanęli w lesie, nie rozmyślając się długo, odziała się całkiem po męzku, wzięła zbroję, głowę okryła hełmem, który jej twarz okrywał, a że do konia dosyć była nawykła, wzrostem zaś mężczyźnie równała, poci jej trudno w przebranej poznać było. Ludziom pod najsurowszą karą zakazano mówić o pani, jako rycerz i ziemianin przybyć chciała do obozu Wojewody, do którego się wszyscy garnęli.

Gdy ją tak przebraną Stach zobaczył a zbroję, ledwie i onby był Doroty się w rycerzu mógł domyślać. Z odzieżą tą i orężem przypasanym nowe w nią wstąpiło męztwo, odzyskała śmiałość i butę a lekceważenie wszystkiego. Po drodze pytano języka u ludzi, po chatach, od przejezdnych, nie umiając pogodzić sprzecznych wieści, które co krok się mieniły.

Wiedzieli tylko wszyscy i na to się godzili, że w Krakowie już ani Biskupa, ani Wojewody, ani ziemian nie było żadnych, nikogo prócz dworu i ludzi

książęcych. Po zamkach i dworach wszyscy siadali na konie i sposobili się do obozu.

Lud prosty, krom tego, że wszelkiej wojny i zawichrzenia się obawiał, niewiele zresztą troszczył się o to, co się w górze działo, od niego języka dostać było trudno. Po lasach i dalszych osadach wiadano zaledwie kto w kraju panował i rządził. Duchowieństwo i ziemianie sami dawali hasło i kierowali wszystkim. Dziś ono po całej ziemi Krakowskiej jedno było — Mieszka obalić. — Biskup, wytrzymawszy do ostatka, zwątpiwszy o nawróceniu, zagrożony wygnaniem, obrócił się stanowczo przeciw niemu. Inni Pastarze zgodnie szli za nim, a ziemian wszystkich miał za sobą.

Tym pochlebiało wielce, iż mogli powoływać i odwoływać panów swych, choć w istocie szli nie za własną wolą, ale za wskazaniem Biskupa, a bez niego nieby począć ni mogli, ni śmieli. Były to czasy, gdy tak samo Papież walczyli o władzę z Cesarzami, gdy Biskupi w innych też krajach dobijali się niezależności, gdy Tomasza Kantuaryjskiego kanonizowano, a Rudobrody nawet oprzeć się potędze Rzymu nie był zdolnym. Rzym i duchowieństwo ówczesne przedstawiało w sobie myśl wyższą nad tę, którą władza świecka Cesarza uosabiała; — ono stało na straży prawa Bożego, szło w imię Ewangelii i nauki Chrystusa przeciwko pogańskiemu mieczowi i pięści.

Że w imię Chrystusowe, po ludzku, czyniono też i bezprawia, że się dobijano władzy często dla panowania, nie dla oświecenia i naprawy, prawdą jest; ale na chorągwi stało godło znaczenia pełne, ofiara, krzyż obłany krwią niewinną na Ewangelii oparty. — *In hoc signo vinces.*

Samowola ludzka musiała się tu ugiąć przed prawem, choć samowolnie też tłumaczonem i wykładanem różnie; — zakreślano jej granice. Zbaczać mogli ludzie, lecz źródło niewyczerpane, naprawą błędu, obmycie z niego czyniło możliwem.

Na chorągwi Rudobrodego stało pragnienie potęgi dla niej samej, na rzymskiej krzyż ów, który stał na ziemi, a ramionami niebios sięgał.

Tak samo tu, Gedko stawał w obronie praw ludzkich przeciw samowoli, a za nim duchowieństwo szło całe z owieczkami swoimi. Po drodze więc najpewniejszą wieść znajdowali po probostwach, gdzie już hasło dane się rozległo.

Stach ze wstętem włókł się za swoim dowódcą, który pozbywszy się strachu, i widząc się na swobodzie, w położeniu nowem, niezwyčajnem, nabrał już rzeźwości i wesołości lekkomyślnej. Rycerska zbroja bawiła wdowę, na koniu w orszaku orężnych ludzi, którym rozkazywała rażno jej było. Stacha już gotowa mianować swym pułkowską i zapowiadała, że jeśli jej do dworu na Skałach wrócić nie dadzą, puścić się chciała ze swą garścią bodaj na rozbój po gościńcach. Śmiały się jej przygody, jakie ją spotkać mogły. Płocha niewiasta znowu była we swym żywiole. Ciągniono tak swawolnie dosyć dni parę, Stach się zżymał trzymając na uboczu, gdy nad wieczorem drugiego dnia, u granicy Sandomirskiej kilku ziemian spotkanych oznajmiło, że Wojewoda Szczepan z obozem i ludźmi swymi leżał już tylko w pół mili. Natychmiast Dorota kazała pośpieszać i radowała się niezmierznie tej myśli, że starca oczaruje na nowo, stawiając się przed nim po rycersku.

Na zmierzch się brało, gdy się namioty wojewodzińskie rozbite w dolinie ukazały, pod małym gródkiem i wioską. Wprost na obóz puściła się wdowa.

Na wzgórku widać było już namiot wielki i chorągiew powiewającą. Nikt drogi szczupłej garstce nie tamował, mogła się dostać niemal pod opłatki ogromnego szarego namiociska, pod którym Szczepan Pobozanin odpoczywał. Ale tu zuchwałą niewiastę czekała niespodzianka. O kilkanaście kroków już usłyszała wrzawę ogromną; namiot otoczony był rycerstwem,

którego konie i ludzie szeroko do koła się rozlegały. Gwar i ruch panował niezmierny.

Zdawało się, jakby z całej ziemi krakowskiej zebrało się tu co było najprzedniejszego, najburzliwszego, najśmielszego; i tak było w istocie. Ponieważ namiot Wojewody już był przepełniony, skupili się ziemianie do koła niego głośno nawołując i rozprawiając. Gromadki stały, snuły się, łączyły, rozchodziły z niepokojem wielkim. Wybiegali do nich jedni z pod namiotu, drudzy do niego się cisnęli.

Dorota aż tu się zapędziwszy, nie wiedziała co począć, ale nie straciła przytomności, zatrzymała się opodal trochę obrawszy sobie miejsce i jak inni rozgościła się na łące, stawiając wozy i ludzi. Namiocik kazała rozstawić. Ten i ów popatrzył na przybywającego towarzysza, lecz że było ludzi różnych mnóstwo, a coraz ciągnęli nowi, nie bardzo na jednego więcej zwracano uwagę.

Obóz Wojewody przedstawiał ciekawe widowisko. Jedna część jego z prostego żołnierza złożona, obojętna spoczywała przy ogniskach, sprawując się cicho i nie poruszając zbyt żywo. Za to około namiotu Szczepana, jakby wiec się wrzawliwy odbywał. Coraz to się głos jakiś krzykliwy i ręce podnosiły do góry; czasem dwu usiłowało się nawzajem przekrzyzczeć, niekiedy dziesięciu naraz wołało, a zamęt mnożyło. Poruszenie umysłów i rąk widać było niezmierne. Do tych co spokojniej stali na uboczu, podbiegali czynni nie dając im gnuśnieć, ciągnęli z sobą. Rzucono słowy ciężkimi, ostrymi jak kamienie, kłócili się jedni, ściskali drudzy. Namiot Szczepana stanowił jakby ognisko tego wrzasku. Gdy się zawichrzyło mocniej wewnątrz, wypadali z niego ludzie z krzykiem do otaczających i na odwrót z tłumu niektórzy parli się do namiotu, który tak był pełen, że ściany jego poruszały się gdyby żywe, a ogromne koły, na których był zawieszony drgały, jakby powywracać się miały.

Stach poznał tu swoich, Leszczyców, Cholewę, Bogorjów i kilku z najgorętszych przewodzców. Wielu, co świeżo przybywali, rozsluchiwali się dopiero i powoli w sprawę gorącą wtajemniczali.

Pod namiotem Wojewody Szczepana, główni naczelnicy, władcykowie, żupany, starszyzna wybrana obradowała, a raczej wtórowała sobie tylko i zagrzewała się, bo rzecz już była postanowiona.

Wojewoda sam, dawno nawrócony, słuchał milczący, potakując głową.

Jednym co jeszcze nie zdawał się z drugimi w zgodzie, był stary Grezek z Potoka. Można pan wyglądał jak kmieć prosty, bo nie dbał o to, znano go, że mienie miał książęce a obyczaj starodawny, surowy. Gdy inni stali, stary siedział trochę przygarbiony, ręce obie w kablak zgięte trzymając sparte na kolanach.

Usta mu się uśmiechały jakby drwił, a co myślał, Bóg go wiedział.

— Cóż wy, Grezek, nie pochwalacie — ozwał się doń Cholewa — nie w smak wam to, co się poczyna.

— A no! a no! — mówił stary — ja się wprzódę chcę rozsluchać. W smak czy nie za kupą iść muszę, sam nie zostanę.

— Cóż mówicie o Mieszku? — pytano.

— Co wy chcecie? tęgi pan — mówił Grezek — gdybym takiego włodarza miał na majątności, tobym go na rękach nosił.

— Inna włodarz, inna książę!

— A juści — rzekł Grezek. — I to ja jednak widzę, iż gdy co u nas przydługo w miejscu siedzi, łatwo się nam zbrzydza. Więc już innego chcecie?

— Ten nas do jarzma wprzega! — wolano.

— Hę? a wybyście chcieli takiego dobrego, któregobyście mogli zaprzadź? A to, baczcie, trudno, który się tam na górę dostanie zaraz wierzga!

— Kaźmierza my znamy — poczęto z tłumu — to

pan jak stworzony dla nas, ten nam da Salomonowe czasy.

— Hm — mruknął Grezek — a wszystko to pono z tego, że Biskupa w rękę nie całował? Nieprawdaż?

— Albo nie powinien! — ofuknął Cholewa.

— Czyż ja mówię inaczej? — odezwał się stary — trzeba całować, na to rady nie ma, bo to u nas tylko gadanie, że my książąt mamy, my mamy ino Biskupów nad sobą, a książąt, aby ich słuchali.

— I tak być winno! — dodał Cholewa.

— Albo ja mówię, że nie? — odparł Grezek — a już gdy tak jest, widać, że być musi. A prawda to — dodał — że Biskup Gedko na sądach go tego połażał?

— Bo zasłużył! — wyrwało się kilku.

— Ja nie przeczę! pytam czy lażał! — spokojnie ciągnął stary.

— A jużci! a jużci!

— Patrzajże Lutek — mówił Grezek do jednego z bliżej stojących — jak cię proboszcz twój zeżga od ostatnich, abys go w rękę pocałował, to z tobą będzie jak z Mieszkiem.

— Niedoczekanie klechy! — zawołał Lutek.

— Cichoż! — przerwał Grezek — a to cię wyklnie.

Zamilkli nieco, żarty Greżkowe nie w smak szły. Zaczęto wymyślać na Kietlicza i wszelakie jego sprawy.

— Ta to u nas nie nowina — odezwał się stary — drugi Sieciech, drugi Dobek. Nasi panowie przepadają przez sługi. Czemuż Mieszkowi nie zapowiedzieć, aby go na Łużyce wyprawił.

— Bo nie posłucha!

Cholewa się zniecierpliwiony przybliżył do Greżka.

— E! stary — poczał — co bo wy się spieracie, maciecie, przeciwko wszystkiemu się buntujecie?

— Ja? a daj ty mi spokój, człecz — rozśmiał się Grezek — ja pytam i słucham. Więc na Kaźmierza

kolej, a to mi go żal, choć płacz, bo go w jarzmo wprzągacie.

— Dla czegoż się tak litujecie nad nim?

— Albo nie ma czego? — mówił stary. — Ta to biedny pan! Albo on może wiedzieć, jak go długo cierpieć będziecie? Nuż się wam jego Jaksa, Goworek albo Wichfried niepodoba, przepędzicie jako i tamtych.

Poczęli wszyscy wołać i krzyczeć na Greżka, ten się śmiał.

— Ja bo Kazimierza lepiej kocham od was—ciągnął dalej — kiedy mu tej cierniowej czapki a bodaj i korony nie życzę. Na Sandomierzu siedzi jak u Boga za piecem, a w Krakowie wszystkim nam służyć będzie musiał. Sroga to rzecz. Patrzcie ino, że każdy z nas czego innego od niego zechce, ja, Leszczyc, Cholewa, nawet ten stróż co bramę na Wawelu omiata; dopieroż się zwijać będzie musiał, aby wszystkich obsłużyć!

Rozśmiał się, a po drugich chłodem powiało.

— E! e! — zamruczał sam Wojewoda—co bo ty Greżek psujesz nam dobrą myśl?

— Patrzcie? jam myślał, że wam jej dosypuję—zawołał stary.—Frasować ani siebie ani was nie mam ochoty, a co mi tam? To się na nic nie zdało!

A i to wiem jeszcze, o czem wartałoby pomyśleć, że Kazimierz rozumny pan, jak wiecie, bo mu tego nie zaprzeczyć, gotów nie przyjąć kota w worku, którego mu dajecie.

— Musi! musi! — krzyknął zamaszysto Leszczyc. — Między nami ziemianami a Mieszkim wszystko skończone! Gdyby dziesięć razy do Krakowa wchodził, to go wygonimy. Ha! odgrażał się, że naz obuzda! twardziśmy w pysku! My tu gospodarze, a on włodarzem, jakoś rzekł. On nas nie my jego słuchać mamy.

— To dopiero będzie doskonale—rzekł Greżek —

gdy mu stu będzie rozkazywało każdy co innego! No i lepiej chyba nie może być.

Znowu zakrzyczano starego, który zamilkł przygarbiwszy się, i słuchał. Było czego, krzyczano okrutnie, wywłóczono stare sprawy, każdy coś miał, prawdę czy nie, do żaloby.

— Tak—powtarzano — między nami skończono! Nie zechce ustąpić po dobrej woli, mamy ludzi, pójdziemy i wymieciemy go z gniazda. Ruszaj do Niemców na piwo! Zięciów ma dosyć, chleba mu nie zabraknie.

— Patrzajcie tylko, aby z zięciami wielu i żelaza nie miał wiele!—szepnął Greżek.

Toczyła się tak rozmowa coraz hałaśliwiej, a bezczułki wypróżniały.

V.

Gdy z rozkazu księcia, nazajutrz po widzeniu się z Kietliczem, do dnia obścapił ludzie zbrojni pod jego dowództwem dworzec biskupi, a on sam do bramy dobijać się zaczął — milczało z razu wszystko. Wyjrzał potem stróż, zawołano odźwiernego, odźwierny poszedł do ochmistrza i w końcu, nie rychło, otworzyła się furta Kietliczowi.

Nie łatwa to była naówczas rzecz Biskupa ująć, musiano mieć baczenie jak to uczynić, bo Pasterz każdy miał i zbrojnych ludzi dosyć koło siebie i we dzwony mógł kazać na gwałt uderzyć. Nie każdy też z książęcych ludzi chciał się targnąć na niego.

Kietlicz jeden ważył się na to, a i on szedł nie bez trwogi. Ale panu swojemu oddany będąc, posłu-

szny rozkazom jego w sumieniu się czuł zwolnionym. Zawczasu, nim na dwór biskupi obmyślano najście obliczono się z siłami. Księciu zdawało się że Gedko zbrojnych ludzi miał mało. Zażyć też miano fortelu, wyciągnąć go na zamek do pana; zkąd pokryjomu na wozie okrytym wysłać go chciano.

Była godzina ranna bardzo, ale naówczas dzień się dla ludzi wcześniej poczynął. Na Prymę już wydzwoniono, nie spał nikt.

Gdy się ochmistrz ukazał, Kietlicz zapytał o Biskupa.

— Księżę go pilno dla rozmowy na zamek prosi i mnie przysyła—odezwał się.

— Dla rozmowy?—powtórzył urzędnik biskupi, poprawując na sobie odzieży — ale księdza Biskupa niema.

Kietlicz się cofnął.

— Jakto, niema?—krzyknął.

— A niema?

— Gdzie jest? w kościele?

— Nie w kościele — odparł ochmistrz ruszając ramionami.—Jego miłość nie tłumaczy się przedemną, dokąd idzie lub jedzie.

— Pojechał? poszedł? — wołał Kietlicz rozpaczliwie.

Na to pytanie urzędnik zwłókł odpowiedź, gdy tuż ukazał się w sukni duchownej mężczyzna poważny i przystąpił do Kietlicza.

— Biskupa niema?—powtórzył pytanie Kietlicz.

— Niema!

— Kiedyż, jak, dokąd wyruszył?

— Przecie się ojciec dzieciom opowiadać nie ma obo wiązku, gdy z domu jedzie—odparł ksiądz.

Kietlicz pobałdł.

— To nie może być,—zawołał w uniesieniu — to nie może być. Kłamstwo jest! On się ukrywa!

Duchowny nic nie odpowiedział nawet, zwrócił

się tylko, jakby rozmowa była skończona, pogardliwie.

Kietlicz wszedł w podwórze i porywczco wprost pobiegł do dworca. Gniew go uczynił zapamiętałym, drzwi poczał otwierać gwałtownie, komnaty przebiegał i nieopamiętał się, aż gdy nikogo nigdzie nie znalazłszy, wszedł do pustej kaplicy.

Widok miejsca poświęconego zmieszał go, drzwi natychmiast zatrzasnął, odwrócił się. W dali stanął ksiądz i patrzył.

— Dokądże zbiegl?—zakrzyczał.

— Kto *zbiegl*?—zapytał duchowny.

Kietlicz zmuszony był go poprawić, sam czując nieopatrznie wyrzeczone słowo.

— Dokąd wyjechał?

— Nie wiem—rzekł ksiądz spokojnie.

— Dawno?

— Jeszcze wczoraj,—odparł tak samo zapytany.

— Wczoraj! wczoraj! — krzyknął wysłaniec ksiązęcy, rzucając się gniewny.—Wczoraj?

Nie możecie niewiedzieć dokąd!

— Nic wiem,—stanowczo odezwał się kapłan.

Tak się skończyła napaść próżna na dwór Biskupi.

Gdy Kietlicz na zamek powrócił i do księcia pobiegł z doniesieniem, żaden muskuł nie drgnął na twarzy Mieszka.—Rzekł spokojnie.

— Rozumny ksiądz! czuł że zgrzeszył i że ja mu tego przebaczyć nie mogę. Ale, zwolna, nie potrzeba zrobić wrzawy, znajdziemy go.

Zamysliwszy się nieco, nakazał natychmiast wysłać ludzi aby się potajemnie dowiadywali dokąd Biskup się udał.

— Potem, zobaczymy co czynić wypadnie.

Twardy charakter Mieszka nie łatwo złamać się dawał przeciwnościami, które znosił cierpliwie. Nie zbacał przez to z drogi, iż mu się nie powiodło, rzecz dlań była odłożona, nie stracona. Kietliczowi dał

rozkazy. Wysłano natychmiast na gościńce różne. Niepojętą zdawało się rzeczą, jak Biskup z miasta, z pod zamku, w biały dzień ujechać mógł tak, by nikt o tem nie wiedział. Zwykłą każdemu poruszeniu jego towarzyszyła pewna obrzędowa wystawność, występował dwór, szło z nim duchowieństwo. Tym razem Biskup, którego zawczasu ostrzeżono, w kilka koni wrotami tylnymi, bez orszaku, krucyfery, konno, płaszczem okryty, otoczony gromadką niepokazną, wymknął się tak, iż go wcale nie postrzeżono. Ci nawet co go widzieli, nie poznali. W samym dworze nikt nie mówił o wycieczce, wielu o niej nie wiedziało.

Gedko wprost ztąd podążył do Tyńca. Tu mógł być czas jakiś bezpiecznym, a w razie zamachu, łatwą była ucieczka i schronienie pewniejsze jeszcze.

Położenie Tyńca na wysokim Wistym brzegu, panującym okolicy, czyniło doń przystęp niespodziany trudnym. Klasztor od pierwszych czasów po swem założeniu urósł już był, rozwieliśniał, otoczył się murami, rozszerzył, choć—jak mówiono, ostrość reguły znacznie zwolniła. Benedyktyni tutejsi mieli w kraju poszanowanie, powagę wielką, targnięcie się na nich gwałtowne nie tylko tu — odbić się mogło w Europie.

Zakon Ś. Benedykta, z którym o lepsze walczyć zaczęli Cystersi, dzieci Ś. Bernarda, spoglądał na nich jak na młodą latorośl, której przyszłość była niepewną. Po klasztorach benedyktyńskich z przekąsem mówiono o współzawodnikach, którzy ilekroć byli wyzвани do boju, ostro się bronili.

W istocie reguła Ś. Benedykta, szczególnie w zachodniej Europie uległa zmianom niezmiernym. Opaci i starszyzna wiedli życie zbyt kowne, okazałe, gorszące; szły na to mnogie skargi do Rzymu a z Rzymu napomnienia, posły, badania, wszystko to nie pomagało. Bogactwa, które się coraz nowymi zapisami pomnażały, na ciężką próbę wystawiały słabych ludzi.

W Tyńcu Opat Kaźmierz oczekiwał już na Biskupa. Jak imię jego zwiastuje, był on Polakiem; Tyńiec, którego opaci i duchowni w ścisłych byli stosunkach z kapitułą krakowską, najlepszym schronieniem tymczasowem mógł być dla Gedki.

Na tę wycieczkę wziął z sobą Biskup jednego tylko duchownego, mistrza Amiljusza, ale rozkazy wydane były, aby dwór, lud zbrojny i wszystka siła jaką miał Gedko przy sobie, różnemi za nim podążała drogami.

Gedko nie z przeczucia i obawy że go ścigać i uwięzić mogą, opuścił Kraków; tego się bowiem zrazu nawet po surowym Mieszkę nie spodziewał, ale po stanowczem doniesieniu iż go skazano na wygnanie i zamach się nań gotował — wyruszył natychmiast do Tyńca.

Krok to był, na który Biskup się ważył niechętnie, upokarzający go w oczach własnych. W początku też chciał, wyzywając księcia, pozostać w miejscu. Nie wierzył doniesieniu, dla powagi swej trwać chciał nieporuszony na dworcu, czekać gwałtu — ale przybocznicy tak go zaklinali i prosili, że wreszcie uległ ich namowom.

Dumny, nieugiętego ducha Gedko, gdy raz zgodził się na to ustąpienie przed księciem, wyrzekł zarazem wyjeżdżając z miasta, iż nie powróci tu chyba z Kaźmierzem, wygnawszy tego, który się nań śmiał porwać.

Precz całą do Tyńca drogę Biskup musiał odmawiać pacierze, aby pohamować w sobie oburzenie. Nie szło mu tyle o siebie, bo gotów był na męczeństwo nawet, ale myśl sama iż się na władzę mu powierzona targnąć śmiano, zdawała się świętokradztwem.

— Niech więc zejdzie z oblicza ziemi, który śmiał podnieść myśl, jeśli nie rękę na służbę ołtarza pańskiego—wołał w duszy. — Czyn, choć niepopołniony, myśl grzeszna już jest występkiem. Nie mnie ale jego wygnanie czeka!

Gdy u drzwi Opactwa ukazała się gromadka towarzysząca Biskupowi, stał już tu Opat z całym duchowieństwem swem, — z eichem ale uroczystem powitaniem Pasterza.

Gedko na chwilę wszedł z niemi do kościoła, aby się pomodlić u ołtarza i z Opatem razem udał się do przeznaczonego mu mieszkania.

Opactwo Tynieckie od skromnych swych początków wzrosło było teraz w mury, w majątności, dochody i dostatki wielkie. Klasztor się rozprzestrzenił znacznie, zwiększyły budowy gospodarskie i cały gród benedyktyński na warowny zamek wyglądał.

Ogromne przestrzenie ziemi już naówczas należały do niego, a lasy, barcie, rybołówstwo, dziesięciny z pól, służba z osad, dozwalały mnichom życie prowadzić wygodne. Zwolna też przepisy zmuszające do pracy ręcznej zaniedbane zostały. Mnisi zadawalniali się pilnowaniem ludzi służebnych, zakładaniem ogrodów, a większa ich część wołała przesiadywać w bibliotece niż kopać w polu.

Życie też, pod pozorem ostrego klimatu, który nie dozwalał trzymać się ściśle przepisów dla innego kraju postanowionych, stawało się coraz miększym i zbyt kowniejszym. Warzono miody i piwo dla gości, ale dla mnichów z za granicy sprowadzanych zakupowano wino i stół się bez niego nie obchodził.

Jak we wszystkich naówczas klasztorach w Polsce i tu cudzoziemcy liczbą przeważali, rej wiedli. Na Tyńcu może mniej ich było niż gdzieindziej, ale i tu język, obyczaj, życie cudzoziemskie było raczej niż domowe.

Opat Kaźmierz, sam Polak, wywdzięczając się za to iż go obrano, tem pilniej dogadzał starszyźnie z włochów, francuzów i niemców złożonej. Ta przynosiła tu zwyczaj obcych krajów, tak że wielu braci brodatych spędzało całe dnie na koniu, ze psy, w lesie, a trąbki się odzywały w podwórzach na równi ze dzwoukami.

Biskupi się mało w dozór karności klasztornej wdawali, zostawując rzędy Opatom i naczelnikom zakonu, zresztą ilekroć oni sami wyjeżdżali do klasztorów, życie mnisze w ściślejsze karby wchodziło.

Gedko wspanialej był tu przyjętym niż zwykły żyć we własnym domu. Prawdziwe gody zgotował dlań Opat z przepychem i wystawnością pańską. Biskup zasiadłszy do stołu mógł się przy książęcym sądzie. Srebra, złożone kubki, szkła weneckie, wino stare, misy kute misternie, opony, któremi stołowa izba gościnną okryta była, godne były zamku pańskiego.

Sami zasiedli do stołu z Opatem i mistrzem Amiljusem, który był Gedki ulubieńcem, człowiekiem nauki wielkiej, do pióra szczególniejszym zdolnym. Gdy pismo do Rzymu lub jeden z tych pięknych wstępów do jakiego aktu stylizować było potrzeba, na które się wówczas sadzono, by myślą i formą się odznaczały — bez niego się żaden nie obszedł pergamin. Mistrz Amiljus był do tego jedynym, bez namysłu płynęły mu najpiękniejsze zwroty o znikomości rzeczy ludzkich i t. p. Zresztą był i z tego miłym Biskupowi, że nigdy własnego nie objawiając zdania, gorąco zawsze popierał co Gedko wypowiedział.

Już z twarzy Pasterza i obejścia się jego, Opat Kaźmierz, człek bardzo bystry, przebiegły i zręczny, obyczaju uprzejmości pełnego i postawy nader milej — domyślał się iż Pasterz przybywał z brzemieniem jakimś na piersi.

Dano mu znać wcześniej, że do Tyńca przyjedzie, ale nie tłumacząc podróży.

Gedko siadłszy za stół, ukończywszy modlitwy, długo pozostał zadumany i milczącym. Gdy misy postawiono a braciszki się oddalili. Biskup dopiero puścił swobodnie cugle myśli i z wezbranej piersi potok popłynął.

— Ojcie Kaźmierzu, — zawołał wdychając ciężko — ojcie Kaźmierzu, zaprawdę, twardych dożyliśmy

czasów. Ot znowu chmury ciągną, ot znowu my pasterze duchowni musimy wtargnąć z władzą naszą w świeckie sprawy. A co się gotuje, Bóg jeden wie! Odmówił książę Kaźmierz dwakroć spuścizny po Kędzierzawym, nawet gdyśmy go przy trumnie nieboszczyka prosili, aby ją przyjął. Prawem starszeństwa oddaliśmy Mieszkowi stolicę—na to, aby on nas z niej wyganiał!

— Ha! —dodał—sługom Bożym bez obrazu swego pana nie godzi się dać sobą pomiatać.

Westchnął znowu. Mistrz Amilius rzekł zwracając się do Opatu.

— Wiecie o tem? książę wydał wyrok skazujący Pasterza naszego na wygnanie!

Opat ręce złożył i oczy podniósł ku niebu.

— Jakimże prawem!

Gedko posępną twarz zwócił ku niemu.

— Prawa, nie pyta! — rzekł. — Nie Gedki bronię, ale dostojności Biskupa krakowskiego. Co mnie dziś, jutro mogłoby spotkać brata mojego w Gnieźnie, wszyscyśmy dotknięci. Chcą z nas mieć nie sługi Boże, ale posłuszną czeladź tylko.

Opat zdumiony słuchał, Biskup mówił dalej.

— Ojciec mój, my tu z waszego spokojnego klasztoru na czas musimy uczynić obozowisko i wiecować szopę—nie może być inaczej. Rozkazecie wpuszczać ktokolwiek przybędzie do mnie, bo ja dziś oka nie zmruję nocą. Ludzie moi wszyscy podążyc tu muszą, ziemian pewnie zjedzie kilku — naradzać się trzeba a ratować!

Tych wyrazów domawiał Biskup, gdy jakby na ich potwierdzenie gwar u furty posłyszeli i dzwonięcie. Za Biskupem już przyciągali dworzanie jego i lud zbrojny.

Przynosili wiadomości z Krakowa, że na zamku panował niepokój i gorączkowe, choć tajone przygotowania, wysyłano oddziały na różne strony aby je dnych chwytąć, drugich przed księciem stawić. Czuć

już było z obu stron wydaną wojnę. Donoszono, że z małemi wyjątkami, co było jeszcze ziemian przy dworze, za swojemi idąc, pierzechnęło.

Natychmiast Gedko porozsyłał ztąd gońców do Wojewody i innych ludzi znaczniejszych. Szala widocznie przechylała się na stronę Biskupa, z księciem nie chciał trzymać nikt, burzyło się co żyło.

A że cokolwiek się na zamku działo, zaraz w mieście wiadano, wszyscy jak Biskup wyrokowani na kary różne, wygnanie, stratę oczów, rąk, więzienie — ostrzeżeni w porę, mieli czas ujsć przed książęcemi siepaczami.

Cała noc prawie zeszła na czuwaniu, czynny Gedko albo się modlił lub dawał rozkazy, spocząć nie chcąc na chwilę. Oczekiwano tylko na pewną wiadomość o Wojewodzie Szczepanie i na skupienie oddziałów zbrojnych biskupich, aby wyciągnąć z Tyńca i połączyć się z Wojewodą.

Ranek też następny upłynął na przygotowaniach wojennych.

Klasztor napelniał się jezdnią rycerstwem, re-fektarze zajmował dwór, po za murami niemal obóz się rozkładał, do którego coraz nowe posiłki przybywały, bo się rycerstwo łączyło z Biskupstwem.

Widział już Gedko z pociechą swą, że osamotnionym nie zostanie.

Około południa nadbiegł wysłany z Krakowa przez Archidjakona Arnolda, który na miejscu pozostał, dworzanie z oznajmieniem iż Kietlicz do dnia był na dworcu biskupim, że ludzie jego otoczyli go do koła, że się gwałtownie o Gedkę upominano, wzywając go do księcia. Potwierdziła się więc wieść iż go pochwycić chciano. Biskup dotąd jeszcze nie zupełnie dowierzający, uniósł się gniewem wielkim.

— Niema więc już wątpliwości,—zawołał—i nie powinno być miłosierdzia.

Natychmiast z listami i ustnemi poleceniami wyprawiono zaufanych do Gniezna, Płocka, Wrocławia,

Kruszwicy, dając Biskupom znać o wypadku i hasło, by wszyscy Kaźmierza na stolicę popierali.

Nie czekając już na to, aby książę miał czas się wywieść o miejscu pobytu Biskupa i nasłać może na Tyniec, Gedko natychmiast wyszedł dla obliczenia sił swoich i wydania nowych rozkazów wyjazdu, aby się połączyć z Wojewodą.

Nie miano jeszcze wiadomości pewnej gdzie się on znajdował, ale nie mógł być zbyt oddalonym. Czekając nań w Tyńcu narażając klasztor i siebie, nie chciał Gedko. Obok kapłańskiej powagi miał w sobie coś z rycerskiego ducha krwi swojej i do walki otwartej spieszył ochotnie.

Walki jednak mało się było można spodziewać, gdyż Mieszek do niej sił nie miał. Co było rycerstwa krakowskiego, zamiast stać przynim, zbiegało do obozu Wojewody. Nimby zaś posiłki od zięciów z Czech i Niemiec nadciągnęły, spodziewano się go wyrugować z Krakowa.

Tak stały rzeczy na Tyńcu, gdy na Wawelskim grodzie w istocie zamęt się brał coraz większy i niepewność rodziła już co dalej czynić przeciw powszechnemu zburzeniu.

Kietlicz pomimo zręczności swej i zuchwalstwa, mimo gorliwości, żadnego prawie z odebranych rozkazów spełnić nie mógł. Wszystko mu się z rąk wyślizgało.

Z rana nie znalazłszy Biskupa, gdy tegoż dnia obstąpić kazał dworek Leszczyca, pustki w nim zastał, posłani po innych ziemian nie byli szczęśliwsi. Dorota u której zasadzkę chciano na Wojewodę uczynić, uciekła. Szczepan był w obozie, nikogo z obwinionych ująć nie było podobna.

Mieszek czekał na wiadomości następny dzień cały, przynoszono mu coraz gorsze, ale nie był to mąż, który by się strwożył niepowodzeniem, lub mógł stracić ducha. W przeciwności równo jak w szczęściu umiał zachować zimną krew i wytrwałość żelazną,

stał przy swoim. Myślał co czynić dalej, nad tem co się nie powiodło nie bolejąc na próżno.

Dnia tego jednak, Kietlicza się doczekać nie mogąc, wysłał po niego kilka razy i sam wyszedł w podwórcę, aby swoje siły obliczyć.

Kietlicz wszędzie się znajdując zawiedzionym, nie mogąc dokazać nic, w bezsilnem miotaniu się i złości spędził dzień cały. On i jego siepacze pod dowództwem Berezy mścili się na bezbronnych, za tych, których pochwycić nie mogli.

Noc już była, gdy Mieszek raz jeszcze posławszy po swojego Palatyna (jak go tam nazywano), ujrzał nareszcie przybywającego, z twarzą bladą, drżącego, w sukni potarganej, z piętnem rozpaczliwej złości na czole i wargach drżących.

Mieszkowi dość było spojrzeć nań, aby odgadł wszystko — nie pytał o nic.

Stojący u progu — milczał.

Raz i drugi książę go zmierzył oczyma, chcąc wyczytać ile z sobą złego przynosił. Ucieczka Biskupa już mu była wiadoma.

Gdy Kietlicz ochłonął nieco, posypał się z ust jego cały szereg wyrzutów, przekleństw, skarg na ludzi.

— Miłościwy panie. — wołał, — tu na nikogo nie można liczyć, wierzyć nikomu! Zdrajcy wszyscy. Jednego pocziwego niema między niemi, wszystko już się ciśnie ku Sandomierzowi do Kaźmierza, opuścili nas! Trzeba ślać do Czech i Niemiec o posiłki.

Nie dokończył, książę chodząc nie poruszony prawie, brodę dłonią poddzierał do góry, jak był zwykł gdy rozmyślał nad czem ważnem.

— Wy wszyscy i ty mylicie się patrząc na Kaźmierza, — rzekł ze spokojem. — Ja go znam iż się nie da ująć i przeciw mnie wysadzić. Nadto dobry jest i spokoj miłujący. Miał Kraków w rękę, mnie tu wówczas nie było, prosili go, dawali mu, nie wziął, bo czuł że prawa doń nie miał. Zresztą Mierzwa go tu

z sobą przywieść powinien. Kaźmierz mi nie straszny! — dokończył.

— Nie jego, to innego sobie przybiorą — począł Kietlicz rozpaczliwie, — nie wiem już kogo, małoletniego Leszka chorego, albo z Władysławowiczów którego! Na Waszą Miłość wszyscy się sprzysięgli! Wypowiedzieli nam posłuszeństwo.

Milczał książę, naówczas dopiero Kietlicz, którego do żywego bolało niepowodzenie, począł szeroko opisywać co go na każdym spotykało kroku, jakie wszędzie znalazł pustki i opróżnione gniazda.

Książę słuchał bez widocznego wzruszenia; gniewu nawet nie okazywał przeciw Kietliczowi, który sam na siebie i wszystkich więcej się sierdził niż pan na niego. Ta zimna krew księcia, gorącego Serba tem mocniej rozjątrzyła iż położenie widział groźnem, a pana jakby obojętnym na nie.

Mieszek najmniejszej nie okazując obawy, dał rozkazy chłodno aby zamek opatrzyć i ludzi zebrać co najwięcej. Nieograniczoną ufność zdawał się mieć w siłę własnej i w dobroduszości Kaźmierza.

Gdy Kietlicz potem narzekać jeszcze począł, iż nikogo z winnych nie pochwycił — odparł mu książę.

— Dali się który wziąć, leć mu ucinąć, bo przykładu trzeba.

Późnym wieczorem nadciągnął Mierzwa powracający z Sandomirza. Stawił się naprzód do Kietlicza. Zobaczywszy go samego, zrozpaczony już i tak Kietlicz, rzucił się nań jak na pastwę, chcąc dowiedzieć co przywoził.

Pierwsze co widoczne niósł z sobą na twarzy i w ruchach, podsędzia, to były resztki pijaństwa jeszcze zupełnie nie otrzeźwionego. Sprawiało ono że Mierzwa mimo niepowodzenia, widział wszystko w barwach dosyć jasnych.

Gdy Serb przypadł doń gwałtownie, z pogardą wpatrując się w zataczającego trochę przybysza, Mierzwa słodko bardzo przemawiać doń zaczął.

— Niechno, miłość wasza ma cierpliwość — rzekł, — niema nic tak zrozpaczonego, aby się niepomniernie sierdzić. Niema jeszcze nic.

— Powracasz sam? gdzie książę? odmówił więc przyjazdu? Czemuście go nie przymusili?

Mierzwa nie goloną od dwu dni brodę pocierał z nałogu.

— Niechże no, miłość wasza, posłucha jak to było — odezwał się — rzecz to ciekawa. Przybyłem na zamek do Sandomirza, mogę powiedzieć, przyjęty tam jak słudze pańskiemu przystało. Najśliczniej. Posadzono mnie u stołu przy ks. Opacie.

— Mów do rzeczy! — zawołał Kietlicz. — Książę Kaźmierz?

— Nie było go! nie było! — odparł Mierzwa. — Wyjechał i nikt nie wie kiedy powróci. Wyruszył na łowy, między nami mówią, wszyscy wiedzą na jakie łowy. W lesie ma gdzieś zwierzynę z długimi kosaми i białem liczką. Jak na te łowy pojedzie, gnaj wiatr w polu! nie powraca rychło! Gdym przybył, już go nie zastałem.

— Nie czekaliście?

— Czeakać, dwa tygodnie!! — zawołał Mierzwa, rękami ruchy czyniąc osobliwe. Ludzie wiarogodni zapewniali mnie, że gdy wyruszy w te lasy, na tego dwunożnego zwierza, czasem go dni kilkanaście niema. Com miał robić?

Tu zniżył głos i uśmiechając się a niezważając że się Kietlicz burzył gniewem, ciągnął dalej.

— Książę poniekąd jest uniewinniony, Rusinka z którą go ożenili, nie powabna i nie wesola, choć cnót wielkich pani. Ludzie ludźmi!

Kietlicz się miotał, ochota go brała precz za drzwi wymieść mieszczącego posła.

— Gadajże — zawołał — coście na zamku widzieli? gotuje się tam co??

Tak dalece nic nie słyszałem, oprócz uczonych i mądrych rozpraw, w których udział brałem,

wstydu księciu mojemu nie uczyniwszy, — mówił Mierzwa, śmiejąc się. — Opat Lucjusz a choćby i Scholastyk Lambertus, uczeni mężowie, ale w jurisprudeneyi biegli nie są, co im dowiodłem. Ile razy się puscili w pandenky, dekretalja, zakony, pobilem ich na głowę zawsze. Chodzili jak po gołoledzi, nie wytrzymali ze mną.

Z dumą to rozповідаł Mierzwa — Kietlicz spluwał.

— Widzieliście kogo więcej na zamku? — pytał.

— Przemykających się różnych, dużo — rzekł Mierzwa — podejrzanych, bardzo podejrzanych! Oprócz tego zwykły dwór, Jakse z Miechowa, Goworka, Wichfrieda. Ruch w Sandomirzu wielki, ale co to znaczy, gdy księcia niema.

— Nagliliście aby tu przybywał?

— Toć było poselstwo moje — zawołał niemal urażony podsędzia — jakżebym ja nie spełnił misyi? Sambym się naówczas osadził nietylko na grzywny, ale na chleb i wodę! Prosiłem o naglenie nietylko Jaksy, nietylko Goworka, Opata, i wszystkich, wiążąc ich uroczystymi obietnicami, ale zdałem to na księżnę. Przyrzekła mi pani miłościwa, małżonka wyprawić.

Kietlicz nie chcąc już słuchać więcej, pogardliwie dał znak Mierzwie by się oddalił.

Trochę jeszcze napojem oszołomiony podsędzia, chętnieby był dłużej opowiadał, mając ochotę żywo i dowcipnie się rozgadać — ale mu słuchacza zabrakło — Kietlicz pobiegł do księcia.

Nie pozostało Mierzwie nic, chyba do dworku swojego na podzamczu powracać, w którym wątpliwych słubów żona, kilka młodych służebnic patryarchalnym obyczajem przyjętych i krzykliwe dzieci nań oczekiwały, ale na łono tego szczęścia domowego Mierzwa nie miał ochoty się udać. Dokuczyło mu już one.

Bardzo więc na rękę mu było, gdy w podwórce spotkał Skarbnego Juchima, z którym go była przyjaźń łączyla, idącego powolnym krokiem z zasępioną i zafrasowaną twarzą.

Mierzwa z Juchimem żyli w najściślejszych stosunkach, chociaż Skarbny gardził człowiekiem grosza przy duszy nieumującym utrzymać i życia tylko używającym bez miary.

Ale — potrzebowali się wzajemnie. Mierzwa napędził wlokącego się powoli żyda i uderzył go po ramieniu wesoło witając. Usposobienie to Juchimowi wydało się dziwnem, smutną twarz zwrócił ku niemu.

— No, widzicie, — wołał Sędzia — znowu jestem na miejscu i sądy się rozpoczną! Dużo spraw zalegać musi.

Juchim ruszył ramionami, popatrzył nań z politowaniem, nachylił mu się do ucha i szepnął.

— Czy ty uszów ni oczu nie masz! człowiecze! czy ty nie widzisz co tu się dzieje?

Mówił poruszając się coraz mocniej.

— Oni nas i siebie zgubią! To głupi goj ten Kietlicz! Oni powinni byli zawczasu wszystkich pobrać, dali się im poróżłazić. Gwałt! co to za pilność! Z więzienia u nich uciekają, a kto chce ino, z przed nosa uchodzi. My tu wszyscy niepewni —

— Co ty pleciesz? co pleciesz? — zawołał Mierzwa nastraszony. — Co ci się śni? ty stary!

Tak mówiąc, wyszli za wrota zamkowe. Juchim szedł cały drżący z gniewu i strachu.

— Ty bo oczów nie masz! — wołał przerywanym głosem. — Nie mnie, tobie się śni, że co wczoraj było będzie zawsze! Ty tego nie widzisz, że nam ziemia się pęka pod nogami.

A! a! gdy tak pójdzie, nie stanie nas tu wszystkich prędko.

Mierzwa otrzeźwił się i poczynął chmurnieć.

— Co ty gadasz! cóż się tu stało bezemnie? — spytał.

— Pójdź ze mną na miasto—mówił żyd miotając się gwałtownie coraz.—Miasto puste, Biskupa niema, Wojewody niema. Wiesz gdzie oni są? Wszyscy poszli się sprzysięgać na księcia i Kietlicza. Wszyscy! — ciągnął Juchim unosząc się. — Ha! a co będzie z nami? księcia wypędzą—co z nami? He! Nas powieszają! Tyś sądził, ty męczył, karał, ja dusił za grzywny. — Ha! oni teraz nas zechcą sądzić i dusić! A co my winni? co my winni?

Mierzwa już był odzyskał zupełną przytomność, czuł że rozumny Juchim nie trwożył się darmo.

— Słuchaj, Juchim — odparł kiwając głową — czego się ty boisz! Tobie nic nie może być, bo ty masz pieniądze, a mnie? mnie nie może nic być, bo ja mam rozum (uderzył się palcem w czoło), albo ja nie mogę służyć innemu, jak służyłem temu?

— Ja mam pieniądze! — podchwycił przyskakując do Mierzwy Juchim z gniewem okrutnym, tak że podsędzia się cofnął. — Ty śmiesz gadać że ja mam pieniądze! Ty potwarco jakiś!

I poczał potrzasać suknią swą brudną i wyszarzaną.

— Jakie ja mam pieniądze? z kąda ja mam je mieć? Ja mam ten łachman co na grzbiecie, więcej nic. Co ty będziesz gadał że ja mam pieniądze! Czy to pieniądze moje! Ja na chleb nie będę miał.

Mierzwa głowę to podnosił, to spuszczał.

— Słuchaj, Juchim — rzekł — po co ty to mnie gadasz?

— A na co mówisz że ja mam pieniądze? — krzyknął żyd, — ja jestem żebrak, ja nie mam nic, nic.

— No, jak tak—dodał Mierzwa—to cię powiesić mogą.

Szli dalej, Juchim z głową spuszczoną, Mierzwa gładząc brodę. Tuż pod zamkiem był dworek Juchima, chata oparkaniona tak wysoko, że z za tynu dachu jej prawie nie było widać. Wrota ogromne,

ciężkie, kute, prowadziły do wnętrza. Mierzwa do swego domu zawczasu nie chcąc powracać, towarzyszył Juchimowi, choć ten go nie bardzo zapraszał. Stanęli u wrót.

— Słuchaj ty biedny nędzarzu Juchimie, — odezwał się podsędzia, — mnie w gardle od drogi zaschło, ty masz i wino i miód, jabym się napił i pogadalibyśmy o naszych biedach. Ręka rękę myje.

Tak się napałszy w gościnę Mierzwa, przez otwierającą się furtkę wszedł w podwórko Skarbnego, nad które coś uboższego, brudniejszego, bardziej opuszczonego widzieć było trudno. Chata pokryta słomą, choć spora, najgorszej wieśniaczej na pozór równała.

Juchim siedł przodem nie bardzo zważając na ciągnącego za nim Mierzwę, zajęty tak był obawą o los własny, iż go więcej nic nie obchodziło. Weszli do izby ciemnej i smutnej. Juchim u uszaka drzwi, dotknął ręką jakiegoś znaku, rękę pocałował i nawijającemu się tuż chłopcu, odzianemu lichu coś szepnął. Sam zaś czapki nie zdejmując, poczał ręce myć i ocierać o ręcznik przy drzwiach na kołku wiszący. Mruzczał jakoś modlitwę. Mierzwa siadł i oparł się na stole, jakby mu się na drzemanie zbierało.

— Słuchaj, Juchim — poczał po wypoczynku krótkim—mnie to coś powiedział ani się w głowie pomieścić, ani wyjść chce z głowy. He? Myślicie że już tak źle z nami?

Stanął przed nim Skarbny, ręce za pas wkładając.

— Żle! co to źle! najgorzej! — zawołał. — Trupem już słyhać! Myślałem że Kietlicz rozumny człowiek, a książę mądry pan, oni wszyscy ślepi, oni głupi są! Oni myśleli, że im wszystko wolno, a nie pamiętali o tem, że kto chce bić, musi mieć dwu do trzymania.—Gdzie teraz ci co będą trzymali? Kto im będzie trzymał? Ci co mieli trzymać, pouciekali!

Żyd się żywo przechadzać począł, Mierzwa słuchał i czekał. Niedoczekawszy się, rzekł.

— Wy myślicie że nam co zrobią? Sług za to nie wieszają gdy panowie grzeszą! Ja mam rozum, to się wyłgam, no — a ja taki swoje, ty masz pieniądze, to się wykupisz!

Juchim po raz drugi usłyszawszy o pieniądzach przyskoczył doń z zaciśnionymi pięściami.

— Co ty mi będziesz o pieniądzach gadał, — krzyknął — ty! ty!

— A! między nami! — rozśmiał się Mierzwa — ja tego na rynku wywolywać nie będę! — Juchimowi oczy świeciły strasznie.

— Ja wyjdę o kiju, z torbą! ja będę żebrakiem — wołał jęcząc.

Uspokoił się jednak po troszę, gdy podsędzia dał mu znak ręką, iż więcej mówić o tem nie będzie.

Nierychło Skarbny zbliżył się do siedzącego.

— No co? — spytał — prowadzą oni tu Kaźmierza?

Mierzwa się strząśł.

— Co ci w głowie — rzekł — tak dalece nie zaszło jeszcze. Nasz książę ma siłę.

Juchim ruszył ramionami.

— Jaką? gdzie? — spytał. — Zięciów swoich! Zięciowie mają sprawy swoje, z nich się żaden ani ruszy? A tu!! jaka siła!

Sparł się na stole nad siedzącym.

— A książę Kaźmierz? co to jest za pan?

— Dobry pan — odpowiedział Mierzwa, — tak dobry, iż nie zechce bratu szkodzić! To nie może być!

— Nie może? — więc innego wybiorą i posadzą — mówił Juchim — to u nich już postanowione! A kogo??

Mierzwa zdawał się nie wiedzieć co odpowiadać, ruszył ramionami. W tej chwili stara kobieta w rodzaju zawoju na głowie, z twarzą pomarszczoną, milcząca przyniosła dzbanuszek i kubki, spojrziała z po-

gardą na Mierzwę, nie skinęła mu nawet głową, postawiła przed nim napój i szybko się oddaliła.

Rzucił się podsędzia na ożywiające przyjęcie, nalał kubek i rozkoszując się, cały zatopiony w smakowaniu, pił a cmokał.

— Ja tobie powtarzam, — mówił Juchim zbliżając się do niego znowu, — nam trzeba myśleć o sobie, nie długo już ich panowania!

Mierzwie te przepowiednie mniej od napoju smakowały, krzywił się.

— Ty Juchim, — rzekł — nadto daleko chcesz pa-trzeć. To się na nic nie zdało. A chcesz koniecznie wiedzieć co my robić mamy! A! takich ludzi jak my zawsze im będzie trzeba, temu czy innym! Ja? będę im sądził jak zechcą! Na ścięcie, to na ścięcie, na całowanie, to na całowanie.

Gorzej z tobą panie Skarbny!

Juchim się znowu oburzył.

— Dla czego ze mną gorzej być ma? — A kto im będzie pieniądze bił i zbierał? A kto u nich zadzierżawi mennicę? Kto potrafi co ja?

Ja jestem ubogi, ale około cudzych pieniędzy chodzić umiem. U mnie one nie przepadają, a mnożą się.

Tylko jabym chciał wiedzieć, co to jest ten Kaźmierz?

Mierzwa przynaglony ruszył ramionami.

— Co to jest Kaźmierz! — zawołał — to jest taki książę co o pieniądze nie dba, skarbów zbierać nie będzie, przyjdzie Biskupom ręce całować, a ziemian karmić i poić. Będzie w kościele śpiewał i...

Mierzwa niedokończywszy, ruchem jakimś rąk pokazał, że Skarbny się po nim nie wiele spodziewać może.

Juchim w milczeniu zbierał jego słowa.

— A! a! — jęknął — co to będzie z nami! co będzie z nami!

Mierzwa już znowu podpiwszy, był dobrej myśli.

— E! daremna troska cię gryzie—rzekł—co ma być? My pierwsi pójdziemy się nowemu panu pokłonić, głowy nam nie zdejmie! Dobry pan!

Żyd westchnął.

— Dobry pan—mruknął—z dobrymi panami nie ma dobrej roboty.

Wytrzymawszy tak Skarbego, z miną rozjaśnioną i tryumfującą powstał z siedzenia podsędzia i zbliżył się do ucha jego.

— Ty jesteś—odezwał się rozweselony—wcale nie głupi człek, ale ty patrzysz za daleko a nie widzisz nic. Wypędzą Mieszka? myślisz że spokojnie wytrwa, że nie będzie próbował powracać? zamiast jednego, któremu służymy, będziemy mieli dwu, którym będziemy potrzebni. Albo to od oba braci i dwom służyć nie można, kto ma rozum!

Chrząknął Mierzwa i popił.

Ze wszystkiego co dotąd mówił, ostatnie się wydać najrozumniejszem wydało Juchimowi, głowę skłonił i umilkł.

Poszanował w Mierzwie człowieka wedle myśli i serca swojego, nie mówiąc nic, kubek mu nalał — i spokojniejszy po izbie zaczął się przechadzać.

VI.

W cichej dolinie otoczonej lesistemi wzgórzami, u brzegów wijącej się zielonemi łąkami, pośród wierzb i olch Pilicy, mała osada z kilkunastu chat złożona, kryła się zasłonięta od wielkich gościńców i od ludniejszych okolic. Zwano ją Sulejowem.

W chwili, gdy się nasza powieść poczyną, w za-

katku tym spokojnym, widać było na wznioslejszym nieco brzegu rzeki, szeroką dosyć przestrzeń zajętą, jakby naprędce pokleconemi drewnianemi budowlami, wśród których gdzieś tam ściany rozpoczętych za ledwie murów się wznosiły. Zdawało się coś podobnego do zamczyska, a w istocie niedawno założony klasztor mnichów białych, dzieci Bernarda świętego, których od pierwszego ich gniazda Cystersami, lub od założyciela Bernardynami zwano.

Potężny duch reformatora, ojca zakonu, jednego z najdzielniejszych mężów swojego wieku, zdał się w nową regułę przelewać, i za życia św. Bernarda zakon wzrósł do przeszła półtorasta klasztorów.

Wszędzie, gdziekolwiek chciano wiarę szczepić i pobożność rozkrzewiać, zakładano Cystersów domy.

Sława Benedyktynów zaćmioną została przez wyszlą z łona ich nową milicję Chrystusową. Na chorągwi jej stała znowu, jak za czasów Benedykta świętego „Praca!”

Gdy Benedyktyni już się teraz tylko o mądrość kusili, mnisi biali chcieli dać światu przykład wstrzeźliwości, pokory i pracy.

Pomiędzy starszemi i młodszemi powstało współzawodnictwo. Starsi bracia patrzali z pewną trwogą na rozrastające się z nadzwyczajną szybkością młode pokolenie białych mnichów.

Benedyktynom zarzucano już życie rozpieszczone, a porównywając ich do pierwszych pustelników Antoniusza i Hilarego, Cystersi wołali: „Tamtych starczyła licha skórka zwierzęca, aby tylko nagość ich ciała okryła i od srogości zimna zabezpieczała; a wy nie tak się odziewacie. Tamci głodni pracą rąk własnych, z motyką i widłami szukali dla siebie pożywienia, wy czy tak czynicie? Tamci niedostatek cierpieli, wy opływacie we zbytkach. Tamtych prześladowano i trwożono, wy wieście życie wygodne i dostatnie. Tamci bładzili po puszczech, wy siedzicie wśród swoich na wywyższonych siedzeniach”.

„*Charta charitatis*“ nowa reguła nowego zakonu, który już był wprowadzony do Polski, surową była i nieubłaganą. Wszystkie klasztory św. Bernarda łączyły się w jedną ogromną rodzinę, i wiodły ród swój jak dzieci od matki, od zgromadzeń, z których powstały, wiążąc się z sobą nieustannem czuwaniem wzajemnem.

Jak wszędzie, tak w Sulejowie zakładający się klasztor, przedstawiał już zarys wszystkim innym podobny, z jednych części złożony. Niewolno było zmieniać nic nigdzie w normalnym kształcie cysterskiego klasztoru.

Wprzódym nim do Sulejowa mnichów sprowadzono, nim tę dwudziestą trzecią córę wydał na świat Morimond (jeden z głównych cysterskich klasztorów) byli już zakonnicy tej reguły w Lędzie i w Oliwie. Sulejów dostał biblijne nazwanie: Siloa, zwano go też Silva, bo wśród lasów był położony.

Jak Benedyktyni zwykle się mieścili na górach, tak pokorni Cystersi chętniej zamieszkiwali doliny, i od dolin (*vallis*) najczęściej zwali swe schronienia.

Sulejów właśnie dla nich przypadła dobrze ze swą kotliną lasami osłoniętą. Według praw zakonu wprzódym, nim mnisi tu wciągnęli na dolinę Siloa, już schronienie dla nich tymczasowe było przygotowane. Wedle wskazówek przyszłego opata wystawiono naprzód kapliczkę drewnianą, izbę jadalną, sypialnię, schronienie dla gości i celę dla odźwiernego.

Kościół się dopiero zaczynał budować, gdy pierwsi dwunastu apostołowie weszli na poświęconą siedzibę swoją. Właśnie niedawno Opat Lucjusz z towarzyszami zajął był ubogie jeszcze budynki, na których miejscu miał później stanąć kościół i klasztor wspaniały, osobny dwór Opata, folwarki i ogrody.

Całym wyposażeniem jakie z sobą od matki klasztoru przynosili wszędzie pielgrzymi, było kilka ksiąg niezbędnych, bez których się obejść nie mogli. Psalterz, Hymny, Collectaneum, Antyfonarz, Graduał,

Mszał i ta „*Charta charitatis*“ Karta miłosierdzia, która prawo w sobie zamykała.

Ubogo wylądał Sulejów jeszcze, chociaż obok tymczasowych drewnianych szop, w których mieścili się mnisi, już zwawo rozpoczynała się budowa kościoła pod ich dozorem, wedle ich formy. Mury już z ziemi wyrastały. Około nich rola się gromadka robotnika i białe widać było suknie przewodniczących im mnichów.

Drogą wiodącą ku temu nowemu klasztorowi jechała pięknego poranku wiosennego, mała garstka rycersko a myśliwsko odzianych ludzi. Przodem urodziwy mężczyzna, lat średnich, z twarzą piękną a smętną, z długimi włosami puszczone na ramiona. Za nim z brzydką a pocziwą twarzą, ogorzały, chudy jechał pacholę oczyma ścigając każdy ruch pana, dalej z kilku łowczemi psów było kilka.

Gromadka ta wyjechawszy z lasu, zatrzymała się nieco. Jadący przodem stanął, stanęli i inni. Zdawało się, że chciał się przypatrzeć okolicy. Oczy jego skierowały się ku klasztorowi bielejącemu w dali poczetem mury. Nie pilno mu było, stał długo i patrzył. A gdy potem westchnawszy koniowi dał znak aby szedł dalej, nie popędził go żywiej, owszem chód jego hamował, jakby się spieszyć nie chciał.

Rozglądał się po okolicy, — dumał.

Było, jak się domysleć łatwo, książę Kazmierz spłoszony z Gaju, przez ziemian, którzy go nocą najeżeli. Jagna też musiała powracać do starego ojca, a książę lekając się do Sandomirza jechać, gdzie nań ziemianie krakowscy czekali, od których natrętnych nalegań się spodziewał, wołał zawrócić do cichej tej ustroni w dolinę Siloa, w której jego staraniem stało się gniazdo modlitwy, zapalało ognisko światła.

Na to ręk swoich dzieło książę spoglądał rozrzuconem okiem, z myślą jakąś tęskną, jak by zazdrościł tym, co tu mieli zażywać pokoju przy pracy,

zrzekając się woli własnej, aby mieć spokojne sumienie.

Może i on byłby się teraz zrzekł tej woli, która często wyrwała się rozumowi, obłąkiwała na bezdrożach, aby okupić tą ofiarą pokój duszy.

Życie, jakiego pragnął z tem, które prowadził, nie godziły się.

Świat ciągnął słabego pana w swe objęcia, gdy dusza wyrwała się ku czystym sferom światłości i ciszy.

Przeczł już wiele, odcierpiał niemało, a nie wiedział, co go czekało jeszcze. W Sandomirzu jeżeli nieszczęśliwe życie było znośne, w Krakowie czekała niewola złota, niepokój, niepewność, wrzawa.

Miłość ziemian pchała go tam, z kąd niechęć może wkrótce spychać miała. Wstręt też czuł do rzucańia się na nowe, nieobliczone losy.

Jechał, w myśli tak przebiegając wszystko przeszłe, aż do ostatniej godziny przebytej w Gaju, przy tej szalonej dziewczynie, od której nie mógł się oderwać. Sto razy postanawiał zostać wiernym żonie, spełnić przyrzeczenia duchownym dane, potem przychodziła chwila namietności, żebraczka posłanka zjawiała się pod oknem, Kaźmierz nie miał siły z niczem ją odprawić — i jechał. A wracając potem gryzł się w sumieniu własnem, wstydził sam przed sobą, pokutował na duchu.

Chciał się czulej przywiązać do żony, którą mu narzucano, a niemógł się zwyciężyć.

Pokorna, dobra towarzyszka jego, namietnej miłości w nim obudzić nie umiała. Szanował ją, a dzika żądza jakaś, piastowska krew ciągnęła go ku drugim niewiastom. Jagna była najukochańszą ale może nie jedyną. Nowe liczo, nowe słowo, młodość a krasa świeża, jakiemiś obietnicami nowego szczęścia porwały go ku sobie.

Szukając szczęścia po bezdrożach, w istocie był nieszczęśliwy.

Gdy tak jechał wzdychając, Smok, w którego piersi odbijało się każde pańskie westchnienie, tłumił w sobie do wtórowania mu ochotę. Żał mu było tego pana. Czuł, że był nieszczęśliwym, niemogąc odgadnąć dla czego?

— Czego bo mu braknie? — mówił w duchu — ma, co dusza zapragnąć może, a smutny tak, jakby z głodu marł, odziać się nie miał w co i biedniejszy był odemnie? Żonka młoda, no, i ten wicher co za nim lata i do którego on ucieka — i panowanie i pokłony. — Czego mu brak?

Smok ruszał ramionami. Radby się był tajemnicy dowiedział, ale zapytać o nią pana? nigdyby się nie ważył. A dałby był wiele, żeby odgadnąć co mu tak ciążyło.

Kaźmierz jechał powoli zadumany, rozpatrywał się po okolicy, myślał, jak się tu podźwignie kościół, jak tych dwunastu pierwszych wzrośnie do kopy i jak tej liczby doszedłszy, klasztor jego nowych dwunastu krzewicieli wysła ztąd na jakąś pustą dolinę, aby się rozległa chwała Bożą.

W okolicy życia jeszcze było mało, osada uboga, trochę ludzi kręciło się tam około budowy, kilku pastuszków około trzód na łąkach stało, na polkach u wzgórz widać było białe koszule wieśniaków, którzy coś przy roli robili. Spokój wielki, błogosławiony a uroczysty rozlany był na tym krajobrazie nie szerokim, tęsknym, miłym, dzikim trochę.

Książę jechał nie spiesząc.

Uciekał tu, gdzie go pewno nikt nie miał szukać, gdzie się go nawet domyslać nie mogli. Chciał tu z mnichami pomodlić się, rozmówić, popatrzeć jak rosło *claustrum*, a zapomnieć, że go z Sandomirza wypędzano.

Spodziewał się tu czas jakiś przebyć ukrytym, dopókiby pierwsza gorączka, tych co go na tron powoływali, nie przeszła. Żał mu tylko było, że Opat Lucjusza, którego w Sandomirzu zostawił, nie znaj-

dzie tutaj, pocieszał się przeorem, który go zastępował.

W tych myślach powoli zbliżył się ze swojemi do furty klasztornej, która, jak wszystko tu, tymczasową była. U drewnianych wrot zbitych z desek, na koziej nóżce wisiał prosty sznur od dzwonka, lecz nim go Smok pociągnął, przez okienko wyjrzał furtyan siedzący tam dzień cały i poznawszy księcia, bo go tu znali wszyscy, pospieszył otwierać, dając znać przez braciszka do klasztoru, jaki im wielki gość przybywał.

Gdy Kaźmierz z konia zsiadłszy wchodził, wedle zwyczaju Cystersów, furtjan przyklęknął do powitania.

— Mój ojcze — rzekł książę do niego — o przybyciu mojem nie głoście, nie z urzędu opiekuna dla oglądania, ale schronić się do was przyjechałem.

W klasztorze tymczasem wszystko się już poruszyło i białe habity śpieszyły na powitanie założyciela swojego. Jakież było zdziwienie księcia, gdy przodem idącego ujrzał Ojca Lucjusza Opata, o którym sądził że jeszcze w Sandomirzu przebywa. Za nim szli O. przeor, Kantor, kustosz i cała starszyzna niewielkiej gromadki, która jak zawsze w początkach, z osób się tylko dwudziestu składała. Dwóch młodych polaków, żaczków z Krakowa, do nowicjatu przyjętych, służyli francuzom za tłumaczów i pomocników.

Wszystko tu jeszcze, jak powiedzieliśmy, ubogo i tymczasowo wyglądało, szczególnie klasztor sam drewniany, sklecony na prędcie, aby mniś przybyć mogli, ale już, wedle prawideł zakonu, mający w sobie to wszystko co każde klastrum cysterskie składać musiało.

Opat witając księcia uśmiechał się wesoło i wnet do osobnego dworku swojego poprowadził; Opactwo bowiem stało zawsze oddzielnie od zabudowań klasztornych i było niejako wrotami przez które zgromadzenie ze światem zewnętrznym się łączyło.

Cały plac, który zająć miały obszerne budowy, był jeszcze pełen nawiezonego drzewa, kamieni, cegły, wapna, materiału najrozmaitszego, około którego krzatali się cieśle, murarze, kamieniarze i ich pomocnicy. Z ziemi gdzieniegdzie wyglądały wyrastające fundamenta, zarysowując przyszłe budowy i podniosłejsze już ścian kawałki.

Opodal widać było opasane zagrodami z drzewa i płotów ogrody klasztorne, wirydarze przyszłe, ogród Opata, folwarki i stajnie. To co było dotąd, ledwie obietnicą przyszłości nazywać się mogło.

Część zakonników była przy robotnikach w ogrodzie, część około klasztoru, a wszyscy, mimo niewygód i nieładu, wśród którego dla przyszłości pracować musieli, twarze mieli uśmiechnięte. Nie przerażało ich że tu wszystko stworzyć było potrzeba.

— Ojcze Lucyuszu — odezwał się książę — jakże i czem się to dzieje, że ja tak szczęśliwie was tu znajduję? Sądziłem że poczekacie tam na mnie, dokąd ja teraz jechać nie mam ochoty.

— Niepokój miałem o gniazdo nasze — odpowiedział Opat — nie mogłem tam bezczynny siedzieć dłużej, a w Sandomirzu nie czułem się potrzebnym. Bóg dobry sprawił że ja tu sam Waszą miłość powitać i przyjmować mogę. Lecz jakże nas ta łaska spotkała że książę zamierzyłeś odwiedzić Silwę, mnie nawet o tem nie wspominawszy?

— Bom wyjeżdżając z Sandomirza, nie wiedział wcale że się tu znajduję, — rzekł Kaźmierz smutnie. — Niepokój i mnie zmusił u was szukać trochę pokoju. Chciałbym tu spocząć i przypatrzeć się życiu waszemu.

— A! — odparł Lucyusz — jeszcze ono dziś nie jest takie, jakimby być powinno wedle ścisłej reguły. Staramy się jej nie uchybić, aleśmy na obozowisku i obcy a nieoswojeni z krajem.

Książę nie śmiał, choć pragnął go o Sandomirz pytać, gdy Opat, wprowadzając go do swojego dwor-

ku z drzewa pobudowanego, ale przystojnie przybranego wewnątrz i czystego odezwał się.

W Sandomierzu ludzi tak dużo zostawiłem, żem się tam nie czuł potrzebnym. Wrota i drzwi przez cały dzień stoją otworem, a Goworek nie może spocząć, takie tłumy ziemian płyną ciągle z Krakowa.

Książę spuścił oczy zachmurzony.

— Wołają Waszą Miłość na stolicę — dodał Lucjusz.

I na to Kaźmierz nie odpowiedział. Oczy miał w ziemię wlepione i Opat łatwo mógł poznać iż wiadomość ta nie miłą mu była. Nie pytał nawet o osoby, ani chciał wiedzieć którzy tam byli. Lucjusz zamilkł postrzegłszy to wrażenie na księciu.

Nierychło Kaźmierz się odezwał do niego.

— Otóż masz, ojcze mój tłumaczenie dla czego wolałem tu zbiedz, aby w zaciszu przetrwać burzę. Burza to jest i mam nadzieję że jak nawałnica przeminie. Umysły ludzi gorących uniosły się, serca podrażniły — uspokoją się da Bóg. Jam do wielkiego państwa ani stworzon, ani z prawa powołany.

— Pokora chrześcijańska mówi z was, miłościwy panie—odezwał się Opat—ludzie sądzą inaczej. Nie wiem czy się zdołacie oprzeć naleganiu i czy się mu godzi opierać. Wszyscy Pasterze nasi wołają do was—Umiluj się nad nami.

— A któż zniżyje się nademną!—przerwał Kaźmierz.—Nie tylko sumienie się przeciwi, ale przykład starszej braci zdolniejszej odemnie trwoży. Jeżeli Władysław, Bolko, Mieszek nie zdołali ich zaspokoić czyż ja to potrafię? Nie mój ojcze, nie mówmy nawet o tem.

Wnet zmieniając rozmowę, książę zażądał aby nie jako gość ale jako jeden z braci podzielał życie zakonne. Prosił o to tak mocno iż Opat przystać musiał. Na to tylko zgodzić się nie chciał ale książę razem z innemi sypialnię dzielił. U Cystersów bowiem wszystko wspólnem było i nikt własnej celi nie miał.

Ponieważ już było po tercyi i po Mszy świętej a czas obiadu następował, książę zaś z Opatem na osobności nie chciał zasiąść do stołu, pragnąc się do życia klasztornego stosować. O. Lucjusz poprowadził go do skromnej szopy, w której jadano.

Maleńka kazalnica z desek zbita, na boku stojąca, przeznaczona była dla lektora, czytającego w czasie jedzenia. Rozpoczęto wedle zwyczaju od odmówienia psalmu „*Miserere mei Deus*“ i błogosławieństwa.

Na stole podane były dwie potrawy, wino z wodą miedzianą i chleb czarny. Pożywano w milczeniu. Książę z Opatem usiadłszy do stołu, nic innego nad to co wszyscy jedli mieć nie chciał.

Wkrótce też skończył się krótki obiad, czytaniem reguły i wspomnieniem zmarłych w zakonie macierzystym zamknięty. Tygodniowi dozorca poszli z zakonnikami do pracy, a najważniejsza tu teraz osoba, budowniczy „*Magister Operis*“, który robotami około kościoła zawiadował do swych cieśli i murarzy pośpieszył.

Dwór księcia Kaźmierza jadł osobno i daleko dostatniej nad niego był przyjęty, bo w klasztorze dla obcych na niczem nie zbywało.

Po jedzeniu Opat, który znał upodobanie księcia, a pragnął go czemś rozerwać, skinął na Kantora pod którego kluczem było, *Armarium* (biblioteka) i kalendarz klasztorny, aby komorę otworzył, w której przywiezione z Francyi skarby się znajdowały. Morimundska matka, wiedząc o tem co w Polsce najpożądanejszem było, wyposażyła córkę nie tylko w antyfonarze, hymny i graduały wspaniałe, ale dodała kilka rękopismów drogich, które książę z ciekawością oglądał i tłumaczyć sobie kazał. Znalazły się tam poezye łacińskie chrześcijańskich śpiewaków pierwszych wieków, a nawet trochę świeckich rzeczy, bo i listy Seneki i ułamki Cyserona i historie rzymskie

i coś o Aleksandrze Wielkim i różne świętych legendy.

Niektóre z tych drogocennych pergaminów malowane były i złożone tak cudnie iż podziw a zachwycenie obudzały.

Książę właśnie był niemi zajęty tak iż o wszystkim w świecie zapomniał na chwilę, ciesząc się jak dziecię że skarby te do kraju przyniesiono — gdy natrętne pukanie do drzwi słyszeć się dało.

Z niecierpliwością książę ku nim zwrócił oczy, a Opat sam poszedł zobaczyć, kto się tu dobijać ośmielił. Przez zlekka otwarte drzwi Kaźmierz dostrzegł twarz dobrze mu znaną, wcale tu niespodziewaną — drgnął cały.

W przybyłym łatwo poznać było można cudzoziemca; młody był, przystojny bardzo, wzrostu słusznego, suknia i zbroja Niemca raczej niż Polaka cechowały. Twarz dosyć miła, łagodnego wyrazu, oczy niebieskie. uśmiech swobodny i niewymuszony, usposabiał dobrze dla przybysza.

Opat przyjął go jak znajomego i poufale szeptać coś z nim zaczął, gdy książę, którego odpadła już ochota do oglądania *Armarii*, zaniepokojony, pośpieszył także do stojącego w progu.

Żywo natarł na niego twarz okazując zdziwioną, zafrasowaną ale nie gniewną.

— Wichfried! — zawołał — ty tu?

— Tak jest, miłościwy książę — odparł uśmiechając się przybyły — poszczeniło mi się Was znaleźć.

— Potrzebowałżeś szukać tak pilnie? — zapytał książę trochę niespokojnie.

Opat, widząc że się na poufałą rozmowę zanosi, wskazał na drzwi sąsiedniej sali kapituły, wspaniale nazwanej tej imieniem przedwcześnie, będącej w istocie izbą pustą, w której sprzętu żadnego nie było, a jak teraz i ludzi też. Wedle reguły schodzili się tam w pewnych godzinach zakonnicy.

U drzwi jej O. Lucjusz wytłumaczył się zajęciem

pilnem i odszedł, przybyły gość sam z księciem pozostał. Z obejścia się ich z sobą widać było zażyłość dawną i wielką poufałość.

Wichfried, o którymśmy już wspominali, jako o przyjacielu księcia, niegdyś towarzysz jego, gdy w Niemczech jako zakładnik przebywał, był wnukiem starego Lanfrieda, który u siebie ze szczególną gościnnością młodego sierotę przyjmował. opiekował się nim, a gdy mu na czem zbywało nie żałował swojej majątności.

Pamiętny tych usług Kaźmierz później wziął do siebie jego wnuka, którego wyposażać chciał i w Polsce osiedlić.

Stosunki ściśle dawno ich łączyły, gdy Kaźmierz był wygnańcem opuszczonym; wpłynęły one na późniejszą obu zażyłość. Mieli z sobą niegdyś braterstwo rycerskie, żyli jak równi i druhowie, pozostała i teraz przyjaźń, na którą Wichfried zasługiwał, ale płochy człek nie zawsze na dobre jej użyć umiał. Był to powiernik i pomocnik księcia we wszystkich jego tajemnych miłostkach, od których nie odciągał, ale raczej ośmielał Kaźmierz.

Wichfried lubił życie, pojmował je jako zabawę i rad był ze wszystkiego korzystać, co je mogło uprzyjemnić. Z Kaźmierzem byli niemal jak bracia, choć książę poważniejszego nadeń umysłu, czasem go za płochym i lekkomyślnym znajdował.

Gdy się w kapitularku znaleźli sami, książę ujmując go za rękę, zapytał powtórnie.

— Wichfriedzie, jakżeś ty mnie tu mógł znaleźć, dla czegoś mnie szukał?

— Jak znalazłem! doprawdy sam niewiem — odparł śmiejąc się Niemiec — alem szukał pilno, bo mi potrzeba było widzieć was rychło i mówić z wami. Od kilku dni serce mi bije żywiej, to com przeczuwał i czego pragnąłem ziszcza się. Jadę z Sandomierza — pędzę raczej. Wiedziałem, domyślałem się że jesteście w Gaju, tam już nie zastałem nikogo, śladem, wę-

chem, domysłem, przecuciem jakimś tu się dostałem.

— Mów prawdę! — przerwał Kaźmierz — wskazał ci kto?

— A! miły panie — odparł Wichfried — wam bo się ukryć trudniej niż komu. Poznają was wszędzie i domyslają się ludzie. W istocie po drodze ten i ów dał mi wskazówkę, a raz na gościniec do Sulejowa wpadłszy, reszty się domysliłem.

Ale po co książę tu zbiegłeś? teraz! w tej chwili gdy tam tłumy z niecierpliwością na was czekają, wyglądają, wołają.

— A! — przerwał niecierpliwie książę — właśnie dlatego uciekał że za mną gonią!

Zatrzymał się chwilę i dodał.

— Znasz mnie??

— Tak jest — odparł Wichfried — ale znając was i kochając, boleję nad tem że uciekacie. Czekam was wielką przyszłość, której się odpychać nie godzi.

Książę poglądał po ścianach, usta ścinał.

— Ziemianie krakowscy, duchowieństwo, wszyscy wołają, błagają, ciągną — do Krakowa!

— Wichfried! — przerwał Kaźmierz surowiej — dość tego. Wiem o tem, przestań, nie dopuszczę się bezprawia!

Nie chcę władzy — pragnę spokoju. Nie mogę usłuchać tych głosów, które nie są głosem miłości ale gniewu, nie miłość ku mnie to sprawuje, ale niechęć ku bratu mojemu.

— A! — przerwał Wichfried śmiało — nie wchodzę w przyczyny jakie was ku wielkim ciągną przeznaczeniom, błogosławię Boga który je daje.

Miły panie, spojrzycie na te ziemie wasze wszystkie, ile wy dla nich uczynić możecie. Co tu znaczy brat, co jeden człowiek, gdy do was wszyscy wyciągną ręce, a wy ich z barbarzyństwa wywieść możecie!

— Ja? — odparł żywo Kaźmierz. — Ja! mylisz

się! Czuje się słabym, jestem nim! Chcę dobra ale go uczynić nie potrafię — Mieszek ma siłę i rozum — ja ich nie czuję w sobie! Nie! nie!

Mówiąc to zatrzęsł się cały, przystąpił do Wichfrieda, objął go całując po dawnemu i dodał.

— Wichfriedzie, druhu mój wierny — nie chciejże ty nieszczęścia mojego. — Broń mnie, osłaniaj, ratuj. Ja tego nie chcę!

I ująwszy go pod rękę Kaźmierz wyszedł z nim z kapitulacza przez ganki ku podwórcom.

Tu się wszystko ruszało około budowy, wesóło razem mieszało się z sobą mnisi i robotnicy.

Ciosano kamienie, rozmierzano belki, Magister z pergaminem w ręku, na którym nakreślony był plan kościoła i klasztoru, chodził rozporządzając ludźmi, tłumaczając się na pół znakami, wpół połamaną mową.

Twarcz księcia rozjaśniła się.

— Patrz — odezwał się do Niemca — oto najmilsze zajęcia moje! Zastaleś mnie nad malowaniami ich księgami, które mi daly na czas o wszystkim złem i niedorzecznem zapomnieć! Tu serce mi żywiej bije patrząc jak się na chwałę Bożą w pustyni świat podnosi! To moje najupodobańsze dzieła!

— Tych dzieł, mając tak rozległe ziemie w ręku, będziecie mogli dokonać więcej niż teraz — odezwał się Wichfried. — Odziedziczycie skarby za które nakupicie ksiąg, będziecie mogli ziemiami ogromnemi uposażać klasztory, sprowadzać ludzi z całego świata. Stworzycie wreszcie rycerstwo karne z tych poczytych i warchołowatych ziemian.

Smutnie uśmiechał się Kaźmierz słuchając.

— Ja? ja? — spytał — Wichfriedzie? pochlebeco! mów prawdę! Jeżeli surowy Mieszek nie zdołał ich uspokoić i zaprzędnąć do ładu, ty myślisz że ja co potrafię??

Rozśmiał się i ruszył ramionami.

— Mieszek wszystko chciał robić siłą, wy to dokonacie miłością. Was kochają.

Nie odpowiedział książę a odwróciwszy się i popatrzawszy spytał.

— Cóż się tam dzieje w Sandomirzu?

— Dzień i noc płyną ludzie i szturmują — rzekł Niemiec — ukryć się przed nimi długo nie zdołacie.

— Postanowiłem im zejść z oczów na tak długo jak tylko będę mógł — rzekł Kaźmierz. — Zmuszeni czekać, widząc że ich odpycham upamiętają się.

— Ani myślcie o tem — odparł Wichfried. — Ziemianie sami wreszcie mogliby strwożyć się, osłabnąć, zdanie odmienić, ale Biskup Gedko i Szczepan Wojewoda są z nimi, prowadzą ich, a tym o gardło bodaj idzie.

Piękna twarz Kaźmierza okryła się rumieńcem, który jeżeli nie gniew, to największą niecierpliwość oznaczał.

— Wichfried! dośćże już o tem! — przerwał — dość! Chcę mieć choć parę dni niczem nie zamęczonych!

I nagle zwrócił się doń z pytaniem niespokojnem.

— Sądysz iż się mogą domyślać pobytu mojego w Sulejowie?

— Nie wiem — rzekł Wichfried — ale jestem pewny że prędzej później znajdą was, bo na wszystkie strony rozsyłać mieli.

— A no! później! później! — odezwał się książę weselej. — Tymczasem wiesz co, Wichfried? Jutro sobie łowy sprawimy. Spójrzyno co to za lasy dookoła, ile tam zwierza w nich być musi? W lasach tak cicho! tak spokojnie, tak pięknie! i ani jednego ziemianina krakowskiego!! Tymczasem, wracajmy do Opata, bawmy się rozmową, mówmy o dawnych czasach, o czem chcesz, byle nie o tem co mi wisi jak miecz nad głową!!

Słów tych domawiał książę i szedł już ku dworowi Opata, gdy O. Lucjusz ukazał się idący od wrót, dając znaki iż miał z księciem do mówienia.

Zmieszany był nieco.

— Co mam czynić! — odezwał się cicho. U furty stoi jakiś człek z Sandomirza od księżnej posłany, która was wszędzie szukać kazała.

— Zdradzonóż mnie! — zawołał książę.

— Nie, wrótny, wedle rozkazu waszego, powiedział iż niewie nic — rzekł Lucjusz.

Książę Kaźmierz szybko do dworku pośpieszył.

— Proszę — odezwał się niecierpliwie — odprawić go kaźcie — chcę mieć czas do spoczynku i namysłu. Nie jestem tu księciem ale gościem waszym. Nie wypędzajcie mnie!

Opat się do wrót zawrócił, Wichfried patrzył na Kaźmierza z rodzajem współczucia czy politowania. Znowu się znaleźli sami.

— Uspokójcie się! błagam Was! — zawołał Wichfried.

Kaźmierz wcale jednak nie uspokojony, żywo począł zwracając się ku niemu.

— Ty jeden przynajmniej, powinienes mnie zrozumieć, Wichfriedzie. Znasz mnie od młodu. Nie pragnąłem nigdy ani władzy ni skarbów, trochę pospolitego szczęścia jakie dano na tej ziemi wszystkim prostym ludziskom. Pamiętasz mnie ubogim zakładnikiem, gdy wasz dziad sprawił mi odzież i zbroję, abym mógł z Rudobrodym, bez wstydu, iść na włoską wyprawę. Dano mi żonę, wiesz jak, niemal za warunek objęcia księstwa — dziś mi wydrzeć chcą tę trochę swobody jaka mi została, i każą panować a raczej iść w niewolę! Nie macie litości nademną!

— A! miły panie — rozśmiał się Wichfried. — Wszakże mi do was wolno mówić jeszcze tak jak niegdyś, kiedyśmy się sami przechadzali nad brzegami Renu.

Gdy będziecie panem nikt wam nie zabroni szukać sobie szczęścia i rozrywki, która sama nastęczać się będzie! Wszystkie piękne dziewczuchy uśmiechać

się będą swojemu panu i narzucać mu! Wybierzcie jaką zechcecie!

Kaźmierzowi oczy zabłysły.

— Cicho! — zawołał — a! dość tych niewiast, dość, Biskupi mnie o nie strofują, ja sam klóczę się z sumieniem o nie.

— No — i Sciborzanki byście się wyrzec gotowi! — zaśmiał się Niemiec.

Kaźmierz jak zawstydzony oczy spuścił.

— Ona mnie więcej może kocha niż ja ją — rzekł smutnie. — I ta będzie dla mnie straconą, przepadły moje wycieczki do Gaju!

— Dziewucha poleci za wami! — szepnął Wichfried — o to bądźcie spokojni.

— A Gedko mnie za nią wyklnie i wydzwoni z Krakowa, jak Wojewodę Szczepana za tę wdowę z Tęczyna.

— Szczepan stary, — odparł Wichfried usiłując rozweselić księcia — to zupełnie co innego. Wdowa też bałamutka, i w ludziach nie przebiera.

Chwilka milczenia zmieniła usposobienie księcia.

— A ty ją znasz? — spytał Wichfrieda.

— Z dalekam ją widział kędyś! — rzekł Niemiec — wydała mi się powabną bardzo. Co gorzej że, gdyby nie wzrost większy, do Sciborzanki podobna! A co gorzej jeszcze — dodał — to że za wami pono przepada, i radaby się zbliżyć...

— Cóż znowu! — ofuknął Kaźmierz.

— Naprawdę tak jest — wiedzą ludzie, nie jeden raz mi o tem mówiono — kończył Wichfried. — Ledwie się w Krakowie zjawicie, a będziecie ją mieć! Przyłeci pod opiekę waszą bo ją bracia przesładują a podobno grożą zamknięciem, że się nie po ich myśli prowadzi.

Naprawdę nie o to im idzie, ale pono o ziemię, które ojciec jej przekazał. Niewiasta śmiała, żwawa i wesola!

Uciekając od braci padnie wam w ręce.

Zmarszczył się Kaźmierz.

— Dość bo już — przebaknął kwaśno. — Ale Niemiec wpadłszy raz na ten przedmiot, odciągnąć się od niego nie dawał.

— W Krakowie nie ta jedna czeka na was — mówił uparcie — a mieszczyki krakowskie!

— Nawet niemi mnie do Krakowa nie zaciągacie! — odparł książę i zwrócił się ku pracującym.

— Patrz! — rzekł wskazując na podwórce klasztornej — żadnej niewiasty stopa nie przestąpi nigdy tej zagrody, zakonnicy ani ich widzą, ni słyszą o nich. Spokojni są i szczęśliwi!

Niemiec skłonił głowę.

— Nie wszystkim dano świętymi być! — rzekł z pokorą.

— Ale wszyscy się starać powinni niemi zostać, — kończył książę. — Ja tym ludziom w grube sukno odzianym, poszczającym przez rok cały, śpiącym na twardych deskach, dobrowolnie trapiącym ciało, zazdroszczę!

Zwrot ten rozmowy do którego książę był zwyczajnym, nie zmieszał jego przyjaciela — zamilkł tylko na chwilę. Szli dalej, gdy Opat zbliżył się zapraszając na chleb wieczorny do swojego dworku.

Książę zwracał się uparcie do refektarza wspólnego.

— My już dzisiaj jeść nie będziemy — odezwał się Ojciec Lucjusz. — Dziś tylko czcząc przybycie dostojnego gościa rozdaliśmy braciom nadzwyczajny podwieczorek, bo kawałka chleba i sera (Pitancia). Wam miłośniwy panie, nawykłym do innego życia i temu rycerzowi (wskazał na Wichfrieda) głodem u nas mrzeć nie damy.

Dał się książę namówić na wieczerzę dla Wichfrieda, i Opat ich poprowadził, gdy tymczasem Przeor, zastępując go powiódł braci do refektarza, a między robotników kazał rozdzielać napój i posiłek.

Tak się skończył dzień pierwszy pobytu w Sule-

jowie. Kaźmierz z Wichfriedem na noc zostali w dwor-
ku Opata.

Nie zmienił postanowienia aby pozostać dłużej
w tem ustroniu, zatrzymując przy sobie Niemca.
W sąsiednie lasy mogli codzien czynić wycieczki, co-
dzien o pierwszych dnia godzinach słuchać ran-
nej mszy w drewnianej kapliczce, przypatrywać
się rosnącej budowie, obyczajem karności mnichów,
a naostatek i z Kantorem przeziarać rękopisma kla-
sztorne.

Wichfried się tem tak bardzo może nie zaba-
wiał, ale książę Kaźmierz zapominał o tem co mu
zagrażało, i czuł się niemal szczęśliwy ciszą i pokojem
jakich zażywał.

VII.

Na zamku w Sandomirzu, od wieczora tego gdy
Kaźmierz po rozmowie z Jaksą, ujechać w lasy posta-
nowił—panował w istocie ruch i niepokój wielki.

Nie trwożono się tak bardzo nagle zniknięciem
księcia, ani tem że dłużej niż zwykle bawił na mnie-
manych łowach.

Dwór i bliżsi wtajemniczeni byli i nawykli do
wycieczek podobnych, księżna nawet cierpliwie je
znosiła, choć codzien potrzebowała uspokojenia Go-
worka że księcia tylko co nie widać z powrotem.

Tym razem jednak niewieście plotki, niepokoiły
ją trochę. Dla dworu księżnej nie było nawet tajem-
nicą że Kaźmierza na Kraków ciągnąć chciano, że się

Mieszek nań odgrażał, że mogło mu z jego strony nie-
bezpieczeństwo się zapowiadać. Rada więc była co
rychlej doczekać męża i wiedzieć co myśli.

Starszy ten brat księżnie Helenie zawsze się do-
syć straszonym wydawał, a teraz gdy się bronić mu-
siał, Kaźmierza posądzać—więcej niż kiedy.

Walczyła z sobą księżna i tak będąc dość nie-
pewnego umysłu, czy życzyć mężowi głównej stolicy,
naczelnictwa w rodzie, czy się dlań tego obawiać.

Miała dumy dosyć, pochlebiało jej to że Kaźmie-
rza wynieść chiano, myślała o przyszłości syna, to zno-
wu lękała się niepokoju, podstępów, zdrady.

Życie w Sandomirzu płynęło jej szczęśliwie.
Wprawdzie książę się ztąd często wyrывał, ale
z Krakowa musiałby jeszcze więcej po szerszem pań-
stwie i nad granicami się rozglądać. Mniej więc sie-
działby na zamku? Sama nie wiedziała co jemu, sobie
i dziecięciu życzyć, czego pragnąć...

Jaksa też siedzący na zamku ciągle, od wyjazdu
księcia niecierpliwił się nieobecnością jego. Należał
on do tych co wyniesienia Kaźmierza najdawniej
i najgoręcej pragnęli, nie dla żadnych widoków osobi-
stych, ale przez miłość dla niego.

Niecierpliwiła go obojętność księcia, i to co upo-
rem nazywał. Rosło podrażnienie jeszcze w miarę jak
coraz więcej ziemian krakowskich przybywało upomi-
nając się o księcia.

Nie było wątpliwości że go na rękach na zamek
zaniosą i Mieszek mu się oprzeć nie będzie w mocy.
Codzien jakaś nowa gromadka przyjeżdżała to sama
po swej woli, to wysłana przez Wojewodę, to z namo-
wy Biskupa dla skłonienia Kaźmierza, aby się nie
opierał prośbie wszystkich. Tymczasem jego—jak na
przekorę—nie było.

Słać po niego niewiadomo było dokąd. Goworek
się przeciwil dowodząc iż lada chwila sam powrócić
musi. Ulegając woli księżnej wyprawiono jednego

z dworzan, który dotarł do Sulejowa, i, jak widzieliśmy, z niczem ztamtąd został odprowadzony.

Ziemian krakowskich przyjmowano gościnnie, zastawiano stoły, Goworek gospodarzył, Jaksa pomagał, zatrzymywano niektórych, dawano dobrą otuchę, miasto i zamek były pełne.

Jednego z tych dni i Stach, nie obawiający się by go tu poznano, wyrwawszy się jak mógł najprędzej z orszaku wdowy i obozu Wojewody, przybiegł do Sandomirza. Jemu może najwięcej ze wszystkich leżało na sercu aby tego pana, któremu życie zawdzięczał, wynieść na najwyższą stolicę. Marzył o tem tylko od lat wielu; teraz goręcej niż kiedy brał się do czynu. Mały człeczek, mógł jednak coś zrobić, znając ludzi i kręcąc się między niemi. Sam on z wiernym Żegciem wyrwał się z obozu, nie bardzo opowiadając komu, dniem i nocą śpieszył do Sandomirza.

Jako Zabor z Przegaju miał tu dawnych znajomych, jako Stacha nie pamiętał go już nikt.

Owego nicponia miano dawno za umarłego. Sam Kaźmierz kilka razy go potem spotkawszy (choć jak mógł Stach unikał tego) zdawał się nie domyślać kto był, lub nie chciał wiedzieć o tem.

Szerzyła się już wieść wszędzie że Kaźmierz panowania nie przyjmuje. Stach biegł aby podbudzić ziemian i skłonić ich do upornego nastawiania. Nie wiedział spełna jak to uczyni, ale wolę miał silną. Na zamku nie trudno było być przyjętym, tem bardziej iż Stach mógł się opowiadać jako przez Wojewodę wysłany. Tłumy krakowian, z którymi się połączył, nastęrczyły mu się zaraz na wstępie do Sandomirza.

Stach u mieszczanina zająwszy gospodę, wszedł między przybyłych nie zwlekając.

Wszyscy wołali jednym głosem że księcia nie było.

— Juści nam za morza nie zbieży, — zawołał weisnąwszy się w gromadę — a no i do księżnej i do tych co na zamku pozostali musimy tego szturmować,

nie folgując. Muszą wiedzieć gdzie książę jest! Czasu do tracenia nie ma.

Mowa ta przypadła do przekonania znudzonym oczekiwaniem.

— A cóż? — poczęto wołać — na zamek! do księżnej! Księcia musimy dostać — nic nie pomoże...

Dowodzili niektórzy że Kaźmierz krył się umyślnie; władzy przyjmować nie zechce, ale większość ziemian ani myślała słuchać o tem, ani przypuszczała ażeby się kto mógł opierać jej woli. Nie pojmowali aby Mieszek mógł przeciw niej powstać, a Kaźmierz nie pójść za nią.

Mieli Biskupa z sobą — zatem i sam Pan Bóg był z niemi.

— Na zamek! — wołał Stach — do księżnej. Jeżeli się chowa, będziemy szukali — czego mamy czekać! Wskróś ziemi nie poszedł! Choćby odjechał, pogonim!

— He! he! a gdzie najpiękniejsza dziewczucha we dworze w sąsiedztwie, rozśmiał się jeden — tam go na pewno przy niej znajdziemy.

Śmieli się i drudzy potakując.

— Przy księżnie tylko o tem nie gadajcie! — dodał drugi.

— Na zamek! — powtarzał Stach — Goworek i Jaksa niech co chcą prawią — wiedzieć o nim muszą, i dostawić go nam!

— Gwałtem go na Kraków zaprowadzimy — powtarzali niektórzy.

— Musi nam panować!

— Choćby się opierał przez poszanowanie dla starszego brata — mówił Stach — gwałt mu zadamy. A i to pewna że gdy my go nie znajdziemy, gotów Kietlicz odkryć dokąd się skrył i pochwycić go. Na to już ma rozkazy.

— Uchowaj Boże nieszczęścia, jak nie pośpieszymy, wezmą go nam!

— Odbijemy siłą, — poczęli krzyzczeć krakowianie.

— Jak się im raz dostanie, ratować go późno będzie — odparł Stach. — Żyw się z ich rąk nie wyrwie...

— Na zamek! na zamek! — krzyczała gromada cisnąć się i popychając.

Ziemiącin z pod Proszowic, niejaki Gąsior, niegdys wojak, teraz gospodarz, człek już nie młody, mienia nie wielkiego, ale gęby ogromnej, wybrał się przodować, i rękę podnosząc, najgłośniej począł krzyzczeć —

— Na zamek!

Wszyscy szli za nim. Znano Gąsiora że do rozbicia zawieruchy nie było nad niego. Miał to do siebie, iż mówić tak umiał jakby ludziom z gęby słowa dobywał. Na słowach mu nigdy nie zbyło, kłamał z zuchwalstwem niezmiernem ludziom co lepiej od niego o czemś wiedzieli, w żywe oczy dowodząc co chciał — zakrzyczał, zahuczał i nikt się odzywać nie śmiał.

Gąsior który stał dotąd z tyłu wysworował się naprzód, poczuwszy że tu jego miejsce było, Stach go popierał.

Co było ziemian w miasteczku polało się na zamek. Kupa ludzi stojąca pod wrotami przyłączyła się do nich, potem i ci co byli w podwórzu, i ci co za stołem siedzieli.

Gąsior mało komu znany, choć tam siła było godniejszych od niego do przodowania, sunął już na czele, jakby miał do tego wszelkie prawo.

Goworek z Jaksą stali w przedsięwzięciu, gdy tłum ten zamaszysto wtargnął. Od kilku dni nie było to nowością widzieć ziemian natarczywie upominających się o księcia. Ci przychodzili tak butnie jak żaden. Gąsior począł od tego że tu nie przelewki są, bo księciu grozi niebezpieczeństwo.

— Jakież? — spytał Goworek.

— Oto w tej chwili — począł Gąsior — pan Wojewoda przysłał tu z doniesieniem, z najpewniejszą wiadomością że Mieszek rozesłał ludzi najsprawniejszych aby żywcem czy trupem dostawili mu Kaźmierza.

Naszemu umiłowanemu panu największe grozi niebezpieczeństwo! Ratować, na gwałt! ratować. Niema chwili do stracenia — a no za późno będzie gdy go uśmiercą lub oslepią!

Goworek i Jaksą strwożyli się w istocie.

— Zkądże? kto tę wiadomość przyniósł? — zawołali.

— A z Krakowa Wojewoda miał pewną wiadomość, kiedy z nią wyprawił — krzyczał Gąsior bijąc się w piersi. — Rzecz pewna! jasna jak słońce! Kto żyw powinien stawać w obronie.

Gdy ściślej dopytywać zaczęto, Gąsior wskazał Stacha, ten niewiele myśląc potwierdził że o zamierzonym zamachu pewność była — że jechał z nią i przybył z obozu Wojewody.

Wszyscy po sobie z trwogą spoglądali.

— Wasza miłość — odezwał się Gąsior do Goworka — musicie wiedzieć gdzie się nasz pan ukrywa. — Gotowiśmy wszyscy życie dać! Trzeba rozesłać na wsze strony!

Jedziemy wszyscy!

— Jedziemy! jedziemy! — poczęli wołać ręce podnosząc zebrani ziemianie — jedziemy!

Goworek naciśnięty zaklął się że o księciu nie wie.

Gąsior z całą swą gromadą rzucił się, pomijając go, ku komnatom samej księżnej.

— Pójdziemy do Jej Miłości, niech ona pana swego a małżonka ratuje!

Chciano ich wstrzymać aby nie strwożyli księżnej, ale tłum zahamować niepodobna było.

Gąsior, któremu w pomoc przyszło dwóch znaczniejszych ziemian, Papibor i Sulek, przebojem poszli ku głębszym zamkom budowom, ku teremom księżnej.

Gwar pod oknami jej wszczął się tak wielki, iż Helena mocno się ulękła.

Wybiegli dworscy jej, Bełżanie, z ruska dopytując strwożeni czego chciano.

Gąsior wołał aby księżna sama wyszła, że z nią mówić potrzebują. W tejże chwili Goworek środkiem zamku pobiegł aby ją uprzedzić, w sam czas gdy tułąc ku sobie dziecię, zalana łzami, sądziła się już w niebezpieczeństwie. Uspokoił ją Namiestnik, radząc aby dla ulagodzenia i zadośćuczynienia ziemianom sama do nich wyszła.

Wiodąc więc wystraszone dziecię za rękę, razem z Goworkiem wystąpić musiała na przedsienie. Zobaczywszy ją, naprzód okrzyknięto podrzucając czapki do góry, życząc lat setnych, czem się już mogła uspokoić do reszty. Gąsior wystąpił.

— Najmiłościwsza pani — zawołał — my księcia przez miłość dla niego szukamy, my go dla jego bezpieczeństwa chcemy mieć! Pomóżcie nam, dajcie go! Mieszek na życie jego czyha! Jeżeli się gdzie książę ukrywa, nim my go potrafiemy wyszukać, on gotów nań napaść! księcia nam trzeba!

Księżna zapłakana próżno ich zapewniała że o nim nie wie. Ziemianie z Gąsiorem wołali a powtarzali swoje — że księcia należało wyszukać co rychlej i otoczyć strażą, aby go od wszelkiej napaści ochronić.

Posłyszawszy o niebezpieczeństwie księżna uczuła postrach wielki, wyciągnęła ręce ku burzliwemu tłumowi.

— Więc idźcie — zawołała z płaczem — szukajcie go, osłońcie, bróńcie, proszę Was. Jego, siebie i dziecię wam polecam!

Czyńcie wszystko co się wam zda dla jego bezpieczeństwa potrzebnem!

Usłyszawszy to Gąsior zakrzyknął wnet.

— Hej! kto żyw! na konie! za księciem — nie mamy tu co robić. Na koń!

Ruszyli wszyscy — księżna, którą strach prawie

o słabość przyprawili, zakrywając oczy spłakane, sparta na rękę Goworka chwiejącym się krokiem powróciła do swych komnat, gdy zebrany ów tłum ruszał się już hałaśliwie wybierając, sam nie wiedział dokąd.

Gąsior wołał nieustannie aby siadać na koni, iść, spieszyć, ale sam stał. Inni kręcili się odgrazając na Mieszka i jego współników, aż Stach, widząc ten zamęt wystąpił.

— Niema tu co zwlekać i czas tracić drogi — zawołał — podzielim się natychmiast na kilka oddziałów i każdy wyruszy w inną stronę, szukać i przepytować o księcia.

Gąsior mu zawtórował.

Czynniejsi zaczęli się zbierać gromadkami, Stach kierował niemi, rozporządzając w którą kto z nich miał iść stronę. Gdy się to stało a przyszło już wyciągać w drogę, ochota ku obronie księcia znacznie ostygła zaczęła. Stach jeden poddawał im ducha. Około niego zebrali się młodszy i żarliwsi, inni chcieli ciągnięcie odkładać do jutra, niektórzy znajdowali przeszkody w koniach, ludziach i rynsztunku. Woleli siedzieć na zamku spokojnie, żywić się tu i wykrzykiwać. Stach jednak nie dopuścił aby to na niczem spełzło.

— Co postanowione to się spełnić powinno, — wołał głośno — zatem, komu w drogę temu czas, a kto się cofnie od tego co gromada postanowiła, ten zdrajca!

Gąsior to usłyszawszy, podniósł pięść do góry, powtórzył parę razy — Zdrajca! i natychmiast zaszywszy się w tłum, — zniknął. Tyle go ludzie widzieli.

Inni szczęściem wzięli sprawę do serca. Z wielkiej jednak tej wrzawy zaledwie cztery poczty nie bardzo okryte dały się zebrać, jednym z nich tymczasowo dowodził Staszek inni młodszy z jego ramienia wybrani.

Chciano jeszcze konie karmić i zwlekać, a byłby tem czasem wieczór nastał i wszystko się znowu może nazajutrz rozchwiało, ale Stach przynaglił by na ko-

nie siadać i inni, radzi nie radzi, za jego przykładem iść musieli, w duchu gorliwość jego przeklinając.

— Temu bo pilno,—mruzcili—bodaj karku nadłamał.

Cztery gościńce wyznaczono któremi udać się miały oddziały, dostając języka, przezierając lasy, zajeżdżając do dworów, aby się dowiedzieć o księciu.

Staszek po części rachubą, częścią przeczuciem jakimś wybrał się ku Sulejowu. Oddział ten był najlicniejszy, najlepiej zbrojny i najgorętszego ducha. Stachowi szło o to aby znalazłszy Kaźmierz, jakimkolwiek sposobem do jego przybocznej straży się wśliznąć. Obawiał się on naprawdę o księcia, i chciał sam czuwać nad nim.

Mało co od Sandomirza odciągnawszy zaczęli zaraz po osadach i chatach przepytywać.

Dostać języka nie tak łatwo było, bo gdzie siękolwiek oddział rycerstwa pokątniejszy ukazał, osadnicy z chat uciekali i co żyło się ukrywało. Uprowadzano konie w lasy, pędzono stada w gąszenie, aby się uchronić od przewodu i przeżywania.

Wszyscy słudzy książęcy i duchowni, a nawet możniejsze ziemiaństwo miało prawo po gościńcach brać konie i ludzi, żywić się kosztem wiosek. Nawet psiarczom i sokolnikom pańskim odmawiać tego nie było można. Lud więc po osadach gdy zoczył nadjeżdżających, natychmiast skryć się starał. Pomimo to, Stach konia nie szczędząc, łapał zbiegów po polach, ale od nich o księciu nic się dowiedzieć nie mógł.

Nie tracił przeto nadziei, by dalej puściwszy się w lasy, nie wpadł na jakieś poszlaki.

Tymczasem książę Kaźmierz, któremu Wichfried tak w porę przybywał, łowami się zabawiał w okolicy Sulejowa, ale nie myśliwstwo to było a włóczenie się po lasach, bo psów i ludzi brakło. W Sulejowie pomocy żadnej nie znaleźli. Wichfried przybył samotrzeć. Choć więc lasy w zwierza obfitowały, uchodził

im wszystek z przed nosa. Drugiego dnia książę już był bardzo markotny.

Smok, który na to patrzył, nie śmiał mówić nic, ale mu pana bardzo żal było.

Po nieszczęśliwych łowach, zamruczał wieczór, że lepiejby było do Sandomirza powracać.

Zmarszczył się na to Kaźmierz, i milczeć mu kazał.

Po chwili namysłu, zwrócił się do niego. — Jedź ty — rzekł, — nie opowiadając gdzieś mnie zostawił, jedź i przyprowadź z sobą psy i ludzi trocha. A no mnie nie zdradź gdzie jestem, bo chcę tu spocząć.

— Miłościwy panie,—odparł sługa. — a jakże ja was tu samego porzucę—to nie może być.

— Z mnichami i Wichfriedem cóż mi się tu stać może?—zawołał książę.

— Albo ja wiem — mówił Smok zafrasowany,—mnie się opuszczać was nie godzi.

Uśmiechnął się Kaźmierz. — Jedź, nie pytaj, — rzekł, — jam tu bezpieczniejszy niż w Sandomirzu. Wracaj mi tylko rychło. Spytają cię gdzie jestem — mów że w lesie i że mi tam dobrze.

Smokowi się na żaden sposób jechać od pana nie chciało, poszedł do Wichfrieda na radę, ten mu kazał spełnić wolę księcia. Musiał się więc w drogę wybierać.

Nie wziął z sobą nikogo, a postanowił, choćby konia zapędzić do zdechu, powracać co najrychlej. Znał stary wyga okolice tak że drogi do podróżowania nie potrzebował, szedł instynktem myśliwca i na pół dzikiego człowieka, we dnie patrząc po drzewach, w nocy po gwiazdach. Gdy tych zabrakło, wiatr musiał być skazówką, koń przydał się nieraz. Wyjechawszy z Sulejowa obejrzał się tylko po górach, konia zwrócił i ruszył.

Gromadka Stachowa szukająca księcia żywo się też naprzód posuwała, choć języka nie dostając, w kierunku Sulejowa. Tu i owdzie opowiadano im że ktoś

w lesie trąbił, że oddział jakiś widziano, potem się okazało że ktoś był z sąsiadów. Stach się jednak nie zrażał, mając przecucie że się mu poszczęści musi.

Gdy jednego dnia na łące popasać koniom stanęli, wypadek zrządził że Smok właśnie u strumienia swojego poił. Nim mu uzdę narzucił i wsiadł nań, już Stach był przy nim.

Znał go z twarzy, bo Smoka znali wszyscy — krzyknął zaraz.

— Smocze! gdzie książe?

— Jaki książe? — wyjąknął zmieszany drab i chciał się już do ucieczki zabierać.

— Stójże no, szalony człecze—za szyję go chwytając zakrzyczał Stach — jam przecie nie wróg a swój i temu samemu co ty panu służę. Znam cię jak szarą gęś, wykłamać mi się nie możesz, boś z panem był. Jeżeli pytam to nie dla zdrady a dla dobra.

— Tyś kto?—zapytał Smok.

— Któm jest tom jest — zawołał Stach — dosyć zem Kaźmierzowy sługa. Jedziemy szukając księcia, bo mu od Mieszka grozi niebezpieczeństwo, pochwyć go chcą. Zasadzki nań czynią, ludzi niema, idziemy w pomoc i dla straży. Nie zechcesz gadać a stanie się co złego, gardłem odpowiesz!

Smok miał w podejrzeniu Stacha, chciał mu się wysłiznąć i ujsć, ale konia trzymano, myślał obalić na ziemię napastnika i byłby się rzucił nań, ale gromada nadciągnęła i obstała. Zaciął się tedy i stał milczący.

Spojrzeli sobie w oczy.

— Ja cię znam — mówił do niego Stach — wiem że panu jesteś wierny jak nikt, że go nigdy na krok nie odstępujesz, dlaczegożesz go teraz porzucił?

Cóż się z nim stało?

— Mów! — krzyczano ze wszystkich stron nadaremnie. Smoka ubić było można ale słowa z niego wyciągnąć, gdy mówić nie chciał, nikt nie potrafił.

Stach i z tej go znał strony.

— Smocze—wołał klepiąc go po ramieniu—wiem że z ciebie siłą nic nie wydobędę, a no tu o życie księcia chodzi. Wybrał się z wami kilku, wy go nie obronicie. Mieszkowi ludzie po gościńcach, po lasach porobili zasadzki i czyhają — stanie się co, będzieś winien. Sam się potem obwiesz na gałęzi.

— Gadajże, gadaj psi synu! — hałasować nacierając poczęli ziemianie.

Smok milczał jak kamień, przeklinał swą nieopatrzność że się tak dał pochwyć — brzmiało mu w uszach złowrogo że panu groziło niebezpieczeństwo.

— Nuż oni sami są od Mieszka, — myślał, — a z mańki mnie chcą zażyć?

Stał więc niemy.

Gorętsi już się doń z pletniami brać chcieli, ale Stach go osłonił.

— Z tego człowieka groźbą nic się nie dobędzie—rzekł—ja go znam.

Zbliżył się znowu sam do niego.

— Słuchaj — rzekł dobywając z pod kaftana krzyż, który zawsze na piersiach nosił. — Widzisz go, jestto krzyż Pański, na który kto przysięga krzywo na tym i na tamtym świecie jest przeklęty. Ja ci na ten krzyż Chrystusowy przysięgam, że my księcia idziemy osłaniać i bronić.

Mów gdzie jest.

Smok słuchał i patrzył, a był człek pobożny.

— Gdzie?—odburknął wreszcie —mnie zakazano mówić gdzie jest.

— I wolisz przez posłuszeństwo dopuścić aby go, nie mogącego się bronić, wzięto? żeby może postradał życie lub oczy?

Smok aż się wstrząsnął cały.

— A no on tam gdzie jest — bezpieczny! — zawołał.

— Jako? mając przy sobie trzech czy czterech ludzi?

Smok głowę spuścił—prawda była.

— Dlaczegoż ty go porzucił co mu byłeś najpotrzebniejszy? Dokądże jedziesz? Toć książę w pobliżu być musi?

Głową potrząsał sługa.

— Posłał mnie—rzekł.

— Niechże cię piorun ubije — krzyknął Stach—wolisz by pan zginął marnie niż zdradzić przykazanie! Rób jak chcesz!

Nieszczęśliwy człek potniał ocierając czoło. Nawykły do ślepego posłuszeństwa, ale przywiązany do pana, nie umiał sumienia z rozumem pogodzić. — Łzy mu się w oczach kręciły.

— Co jemu tam może grozić! — począł mruścić—tam go ani szukać nie będą, ani znaleźć mogą.

— Jakże ty tego możesz być pewny? — spytał Stach szydersko.

Trudno było co dobyć z twardego człowieka, oczyma się zdawał prosić o zmiłowanie, ale Stach natręczywie nalegał.

Drudzy odgrazali się by go wiązać, inni bić chcieli aby dobyć głosu, Stach nie dawał go tknąć. Wiedział jak był Kaźmierzowi ulubiony.

Gdy mu grożono Smok spoglądał pogardliwie, jakby wyzywał razy i męki.

— Smocze—zawołał raz jeszcze Stach — powtarzam ci to do sumienia twojego, stanie się co złego panu—ty winien będziesz! Kat cię bierz, puszczę cię wolno. — Gdy Mieszek na polowaniu, w lesie, w zasadzce ułapi Kaźmierza—tyś tak chciał...

Odstąpił od niego i dał znak aby drudzy go nie wstrzymywali. Ujrzawszy się wolnym Smok naprzód chciał się do konia rzucić i uchodzić, ale pogróżka w nim tkwiła—zatrzymał się.

Stach już odchodził, gdy on dobrowolnie za nim postąpił pociągając za rękaw i w oczy mu wpatrzył się mocno.

— Prawda co mówicie?—spytał.

— Jak Bóg na niebie—odparł Stach—tyś chyba bezmózgi, jabym przecie sam za niego życie dał, czyżbym miał zdradę w sercu?

Drab głowę skrobał.

— Mnie—odezwał się cicho — mnie po psy i ludzi posłano do Sandomirza.

— Właśnie czas o łowach myśleć, gdy w lasach największe niebezpieczeństwo. A toż go razem z Wichfriedem pochwyć!

Smok nagle jakby go rzuciło, na konia skoczył, obejrzał się gromadzie zbrojnej i licznej, policzył ich oczyma, przeżegnał się i milcząc konia nazad zawrócił.

— Za mną—rzekł krótko—poprowadzę!

Nie spuszczaając go z oka, Stach natychmiast dał znak swoim, którzy pśpiesznie na konie siedli i jechali za przewodnikiem.

Smok po swojemu z sumieniem wszedł w porozumienie, nie chciał powiedzieć gdzie pan był, bo mu to zakazano, ale groźbami przestraszony o los jego—prowadził. A że mu pilno było zbyć się tej męki, wiódł po swojemu, bez dróg, przez gąszcze, moczary, wzgórza, nie pytając jak tam sobie drudzy radę dadzą.

Czasami odwracał się ku Stachowi, który go już badać nie próbował i nieznużony ciągnął dalej. Rycerstwo jadące za nim musiało się doń stosować z krótkimi popasami i małym spoczynkiem.

Stach, który nietylko Krakowskie, Sandomirskie, Lubelskie, ale całe Mazury znał dobrze, wkrótce się już mógł domysleć dokąd dążyli, a że o nowo zakładającym się klasztorze słyszał wiele, pewien już był że książę się tam ukrywał.

Na porannym spoczynku podszedł do milczącego Smoka.

— Smocze nieboże—jedź już sobie teraz po psy i ludzi, abys rozkaz pański spełnił, trafię ja i sam bez ciebie.

Smok głowę podniósł.

— Książę jest w Sulejowie — dodał — tyś go nie zdradził, bądź spokojny, my strzedz będziemy, aby mu się nic nie stało.

Zrazu Smok głową potrząsał, nie godził się, lecz gdy Stach dodał że więcej ludzi z zamku ma dla bezpieczeństwa przyprowadzić, i Jakse z sobą wziąć który był dowódcą dzielny, dał się przekonać. Z popasu tego rozstali się nic nie mówiąc. Smok tą samą drogą ruszył nazad, a Stach z oddziałem ku Sulejowu.

Gdy z lasów wyjeżdżając ujrzeli już zabudowania klasztorne, Stach dotąd dowodzący oddziałem wziął Papibora na stronę.

— Miły panie, dużoby mówić dlaczego, ale mnie się nie godzi stanąć przed księciem jako dowódcy. Jam człek mały i w krakowskim nieznany, nie przystoi mi się piąć nad innych. Wy teraz prowadźcie. Powiecie księciu żeśmy przyszli aby go od napaści strzedz i stać przy nim.

Zdziwił się zrazu Papibor temu dobrowolnemu zrzeczeniu się, ale że dość miał dumy i ochoty do przodowania, nie opierał się.

— Mnie to tam wszystko jedno — rzekł — niech drudzy wybiorą i obwołają kogo chcą.

— Byle nie mnie, bom ja nie znany człek — odpowiedział Stach — ja sobie stanę w kupie...

W początku chciano Stacha zmuszać, wołano nań, ale się wyprosił. Głosowano więc, jedni Papibora, drudzy Sulka mieć chcieli, stanęło na pierwszym. Stach wjechał w szeregi i skrył się w ostatnich aby na oczach nie być.

Zbliżali się już do klasztoru, około którego, jak innych dni ruch żywy panował, bo pospieszano z budową dopóki pora służyła. Z górnego brzegu, na którym się mieściły Cysterskie szopy i mury, widać było okolicę, znaczny oddział rycerstwa jadący ku klasztorowi, nie mógł ujść oczów księży i robotników.

Stach postrzegł że tam już stawano przypatrując się im i w obawie aby książę nie uszedł, radził kroku przyspieszyć.

Stanęli u furty i zaczęli dzwonić, wrotny otworzył okienko niespokojnem okiem mierząc przybyłych, którzy się natarczywie domagali wpuszczenia i rozmowy.

Papibor zsiadłszy z konia wołał o Opatą lub Przeorą.

Wpuszczono go samego, gdy tymczasem reszta z koni zlaźić i rozkładać się u bramy poczyniała.

Papibor, człek ciekawy, który dotąd innych mnichów nad benedyktynów nie widywał a białych nie znał wcale, rozglądał się bacznie po izbie w szopie do której go wpuszczono.

Wiele naówczas o nowych zakonnikach mówiło. Myślał już jak on się z niemi rozgada, bo języka żadnego oprócz własnego nie znał, ziemianin domorosły jak większa część naówczas, czytać ni pisać nie umiał; chociaż chrześcianin był dobry, i Pana Boga na pamięć chwalił.

Opat Lucjusz z braciszkiem polakiem, za tłumacza służyć mającym, zjawił się wkrótce zapraszając do refektarza. Rozmowa z pomocą chłopaka, który z łaciną nie łatwo sobie rady dawał, a Opat oprócz francuzkiego i łaciny, innego nie rozumiał języka, szła jak po grudzie. Migami sobie dopomagać musiano, młody tłumacz potniał i jękał się.

Papibor po kilkakroć powtarzał że ziemianie, rycerstwo przybywali do księcia służyć mu i od niebezpieczeństwa jakie mu od brata groziło, obronić. Opat nie wiele mógł zrozumieć. Dopiero Stach, który się domyślał trudności tych i w pomoc pospieszył, sam się mógł z Opatem rozmówić i wytłumaczyć jaśniej z czem przybywali.

Opat Lucjusz, jako polityk mądry, z początku udął zdziwienie wielkie aby brat mógł na brata nastawać i ks. Mieszka jako fundatora, bronić się starał.

Nie wierzył aby ks. Kaźmierzowi niebezpieczeństwo jakie zagrażało miało.

Stach odezwał się śmiało.

— Wiemy dobrze jak rzeczy stoją, a gdyby i zbytnia troskliwość nas tu ściągnęła, grzechem ona nie będzie. Lepiej nadto ostrożności niż za mało. Wiemy że książę jest tutaj.

Opat wahał się z wypowiedzeniem czegoś jasnego, kłamać nie chciał, przyznać się obawiał, milczał skłopotany.

— Mamy wiadomość pewną — dodał Stach że książę i Wichfried tu się znajdują.

Opat Lucjusz nie odpowiedział.

— Oddział wasz znaczny jest? — spytał unikając tłumaczenia się.

— Jest nas około setki — rzekł Stach.

— W klasztorze się nie pomieścicie — odparł Opat — choćbyśmy wam radzi byli, przyjąć nie możemy.

— Myśmy nawykli — odezwał się Stach — stać pod namiotami i bez namiotów, pod łada szałasami a choćby pod gołym niebem. — Rozłożemy się obozem byle gdzie.

Widząc zakłopotanie Opata, Stach powtórzył raz jeszcze, że o księciu wiadomość mieli od jego własnego sługi, że przychodzili w pomoc nie ze złą myślą, spodziewali się więc że książę dla nich tać się z sobą nie będzie.

— Książę w istocie był tu z Wichfriedem — rzekł nareszcie Opat po namyśle — zaprzeczać nie chcę, ale dzisiejszego dnia rano z kilką ludźmi o brzasku wyruszył. Niema go tu...

— Na łowy! — zawołał Stach wylekły — w kilku ludzi! a jeżeli, uchowaj Boże, wpadnie gdzie w zasadzkę! jeżeli go zechcą pochwycić — w kilku ludzi ani się będzie mógł bronić!

Opat głową potrząsł, widząc zaniepokojonych, sam też okazał że to go obeszło.

— W Bogu nadzieja — rzekł — że nie dopuści nieszczęścia. Na to co się stało radzić nie możemy, bo nawet nikt nie wie w którą się udali stronę.

Wiadomość ta przeraziła wszystkich. Stach podejrzewając jeszcze iż książę chciał się ukrywać, zaklął Opata aby mu powiedział prawdę. O. Lucjusz najuroczyściej potwierdził że było tak jak mówił.

Stachowi szło o to także aby książę powracający z łowów, gdy zdala ich oddział zobaczy, nie rzucił się w lasy znowu, chcąc uniknąć z ludźmi spotkania. Wypadło więc z narady aby Papibor pozostał sam w klasztorze, a ludziom trzeba było ustąpić gdzieś do bliższego lasu i w ukryciu oczekiwać powrotu Kaźmierza. Stach wyszedł z tem zaraz. Opat chciał im dać jeść i pić, ale czekać na przyjęcie to niebezpiecznem było, pobrali więc chleby i beczulki, które im ks. Cellarius i Hospitalarius wynieśli i pociągnęli w zarośla.

Znużeni ziemianie, choć mrucząc, musieli Stacha posłuchać i z pod klasztoru się wynosić.

Z miejsca, które w bliskości na obozisk zajęto, widać było klasztor w dolinie i wiodące do niego drogi. Nie rozpalano ognia aby się nie zdradzać dymem, konie spętane poszły na paszę, panowie na siodłach i kobierzyczkach pokładli się do snu postawiwszy strażę. Stach też na czatach pozostał.

Dzień był skwarny i wydał się im długim. Do koła panowała nieprzerwana cisza, na drogach żywej duszy nie widać było do wieczora. Co chwila spodziewał się Stach ujrzeć gdzieś kupkę jeźdźców, ale już i mrok zaczął zapadać, a nigdzie nikogo nie widział. Oczy wypatrzył nadaremnie. Gwiazdy się już pokazywały na niebie, gdy niespokojny pobiegł do klasztoru, sądząc że książę gdzieś pokryjomu mógł się prześliznąć między drzewy, tak że go niedostrzeżono.

Nierychło doprosił się Papibora, którego Opat w swoim dworku ugaszcział. Wywołany dowództwa stawiał się wesół, odżywiony i wielką czcią dla gości-

nych mnichów przejęty. Niedając się Stachowi odezwać, począł od sławienia gospodarzy.

— Prawda że sami żyją lada czem, ale człek u nich nie głodny, i nie pragnie.

— A książę? — spytał Stach — książę?

— Niema go — westchnął Papibor — i Opat się już trwożyć zaczyna, bo zawsze przed nocą powracał!

Siedli u furty na rozmowę, wyczekując i nasłuchując, ale księcia do północy i po północy jak nie było tak nie było.

VIII.

Myslistwo w owych czasach było tak w męskim obyczaju, tak się do niego od najmłodszych lat wdrażano, iż najmniej namiętni łowcy, przecie dni kilka nie wyjechawszy w pola i lasy wytrwać nie mogli. Krzywousty dwunastoletni próbował się z dzikami i niedźwiedziami.

Kaźmierz, który rozmowy z ludźmi mądrymi nad wszystko przekładał, który lubił śpiew i zabawę z przyjaciółmi w domu, od młodu też do łowów równie był nawykły jak wszyscy bracia — i w sąsiedztwie Krakowa, później, z klasztorami się umawiał aby mu w ich lasach polować było wolno... (prawo łowów służyło książętom wszędzie oprócz dóbr duchownych, którym nadania wyłączne pożytkowanie z lasów zastrzegaly).

Gdzieindziej książęta o granice posiadłości polując nie pytali. Lasy były tak rozległe jeszcze iż zwierza dla wszystkich starczyło.

Mieszek starał się w tem jakiś porządek zapro-

wadzić, nie dając ziemianom i osadnikom bić zwierza gdzie chcieli, i pilnie strzegąc książęcego prawa — ale to nań tylko nienawiść i zemstę ściągnęło.

Kaźmierz lubił myślistwo jak wszyscy, chociaż inaczej; wyjeżdżał szukając ciszy, potrzebując rachu, gdy nie go ważniejszego nie zajmowało. Codziennie z Sulejowa puszczał się z Wichfriedem w sąsiednie bory i ostatniego dnia też wyjechał z nim na góry klasztor otaczające. Tu zwierz był sąsiedztwem nowej osady spłoszony, wyrąbywaniem lasów i trzębieżami wylekły, cofał się głębiej. Książę i Wichfried z ludźmi trzema, pół dnia nadaremnie jeździli. Kiedy niekiedy zaszeleściło coś z boku, przemykało się zwierzę, ale po gęszczach gonić nie było sposobu, łowców do osaczenia mieli za mało, psy się rozbiegały i nie wracały. Myslistwo więc było nudne i zawodne, chyba szczęśliwy jakiś traf mógł im napędzić zwierza.

Księciu mniej szło o to, jechali lasami ślicznymi, we dwu z druhem, z którym o wszystkim w świecie mówić było można otwarcie, a jeden las ich słuchał...

Kaźmierz, jak wielu jemu podobnych ludzi, w których uczucie żywe myśl do ruchu pobudza, miał tę tęsknicę nie nasyconą, która czasem milczeniem się tłumaczy, niekiedy wylewa w poufnej rozmowie na cztery oczy.

Z dobrym druhem, sam na sam, lubił mówić o wszystkim, wielkich zagadnieniach, których umysł ludzki nigdy rozwiązać nie może, losach człowieka, duszy spragnionej nieokreślonego dobra, sercu co się nigdy niczem uspokoić nie daje.

Z Wichfriedem płochym, nie zbyt uczonym, nie ubiegającym się o mądrość wielką, rozmowa była mu przecież miłą. Umiał słuchać i rozumieć. Głowę miał otwartą, a choć po niej chodziły myśli własne, nie podlatujące wysoko, cudze za to przyjmował gościnnie, choć nie na długo. Często też w najpoważniejszą mowę umiał wtrącić rzecz płochą, która księcia rozweseliła.

Im ksiązę Kaźmierz był smutniejszym, tem on weselszym się być starał. Ten wzdychał nad przyszłością groźną. Wichfried zagadywał o miłostkach i choć ksiązę był posepnym, często uśmiech na usta jego wywołał. Godzili się z sobą.

I dnia tego dość długo sprzeczcali się tak, aż ksiązę dolożył w końcu.

— Ty, Wichfriedzie mój, nigdy poważnym się nie staniesz i zestarzyć nie potrafisz.

— Tem się ciszę, — odparł Niemiec — co by mi z tego przyszło gdybym zawcześnie zaczął się truć smutkiem!

— Zdrów bywa smutek — rzekł Kaźmierz.

— Wesele też chorobą nie jest.

— Ale po niem zawsze idzie znużenie i zawód.

— Po niem — przerwał Wichfried — ja nie czekając idę spać. Położywszy się po *szlaftrunku* (napój do poduszki) żadnych złych snów nie miewam, i nazajutrz wstaję gotowy do dobrej myśli. Wszystko na tym świecie pustem mi się wydaje.

— Boś sam pusty, ale z tem jesteś pono szczęśliwy! — rzekł ksiązę.

— Ksiązę, gdybyś chciał, mógłbyś być stokroć szczęśliwszy odemnie.

— Nie, bom się z inną myślą urodził. Jakże mnie wesołym być! Powiedz! W Sandomirzu biedna niewiasta płacze niespokojna, a ja się po lasach włóczę z myślą dla niej niewierną. W Ściborzycach tęskni druga...

— E! o tem myśleć nie warto — przerwał Wichfried — gorzej że w Sandomierzu i Krakowie, czekają na was, wołają, budują, a ksiązę w lasy uchodzisz od tych, co mu dobrze życzą.

— Bo oni mi nie życzą dobrze — zawołał Kaźmierz niecierpliwie. — Ilem ci to razy powtarzał? Szczeńcia nikomu nie narzucić. Duchowni w najlepszej myśli żonę mi dali, której ja kochać nie mogę,

ziemianie chcą mi dać panowanie, którego nie pragnę, bo bym na sumieniu miał krzywdę brata.

— On się skrzywił sam — zawołał Wichfried — ksiązęta, mówi polskie przecie przysłowie, braci nie mają.

— Złe to przysłowie — przerwał Kaźmierz — ja go znać nie chcę. Nikogom w życiu nie kochał jak Henryka, nikogom nie szanował jak Bolka, a Mieszka jako starszego pana z woli ojca uznaję zwierzchnikiem i czczę.

Wichfried nie dając o tem się obszerniej rozwodzić księciu, począł mówić o panowaniu, jak ono było rzeczą słodką a miłą, jaką dawało moc czynienia dobrego, jak się go odrzucać nie godziło, ani pogardzać niem gdy samo się do rąk cisnęło. Kaźmierz zbył go milczeniem. Jechali tak długo, aż konie zmęczone ustawać już poczynęły, ksiązę obojętny nie zważał nawet dokąd się zapuscili.

Ludzie ze psy zapędzili się byli gdzieś w drugą stronę.

Przy pierwszej lepszej łączce, gdzie dla koni woda była, siedli spoczywać. Skwar dopiekał, zatrąbiono na ludzi. Ludzi ni psów słyszeć nie było. Wichfried z klasztoru wziął był opatrzenie posiłek do torby. Mieli kubki i bukłaczek z winem, mieli się i napić czego. Potem spoczywali długo w cieniu, koniom dając dobrze wytechnąć.

Kilka razy jeszcze Wichfried w trąbkę uderzył — nikt nie przybył, nikt nie odpowiedział. Zdrzemnęli się trochę na trawie, gdy przebudziwszy się spojrzeli na niebo, poznali że się miało ku wieczorowi. Należało powracać; ksiązę Kaźmierz był tak obojętnym, iż go wcale nie obchodziło ani kiedy i jak powrócić.

Wichfried mocno się niepokoił, on uśmiechał, przeciw zwyczajowi.

— Ks. Opat będzie niespokojny!

— Wrócimy nocą — odparł książę, — noc będzie do powrotu miłsza, niż do włóczęgi dzień skwarny.

— Byleśmy drogę znaleźli.

Każmierz ramionami ruszał. Siedli na konie znowu i zawróciwszy, jak się im zdało, jechali borem. Chcieli powracać tą samą drogą, którą jechali wprzód, ale postrzegli rychło, że ją zgubili. Zaczęło zmierzchać dobrze. Wichfried trąbił nieustannie, nikt mu nie odpowiadał. Trzeba było dawać sobie samym rady, bo na łowczych rachować już nie mógł Wichfried.

Szukając drogi, jak się to często trafia, gdy się ją niespokojnie chce odnaleźć, ślady jej zatracili, kierunek zmylili, wjechali w okolicę nieznaną, w gąszcze i zawady coraz straszniejsze, które pomijając w lewo i prawo, zbłąkać się musieli zupełnie — książę widząc Wichfrieda niecierpliwość — śmiał się.

— No, — rzekł — noc za pasem, musimy spocząć w lesie. Ognia napalemy i leżem!

Towarzysz szukał jeszcze uparcie jakiegokolwiek ścieżyny, ale zciemniało zupełnie, nad wierzchołkami drzew pokazały się gwiazdy, las stał cicho, wiatr ustał. Zdawało się słychać było wilków wycie.

W lesie spokojnie było, pięknie, tylko żyć — sośny pachniały i brzozy.

Księciu jechać się nie chciało i zawołał pod stary dąb podjechawszy że spocznie tu. Nie sprzeciwiał się niemiec, miał na myśli, gdy Kaźmierz położy się i zaśnie sam pójsć drogi szukać.

Lecz stanąwszy na nocleg było co robić, ogień rozpalić, postanie przygotować, konie popętać. Wichfried we wszystkim chciał zastąpić księcia, ale ten mu się nie dał i wesoło sam się też zajął tem co na niego przypadało.

— Przepadła wieczerza O. Opata — wołał śmiejąc się — sam ją chyba zje, a że oni mięsa nie tykają.

— Znajdą gościa co ją spożyje! — dodał Wichfried.

Śmiejąc się i podzartowując poszli spać, las ani szumiał nawet, ogień się palił tak, że dym słupem szedł nad drzew wierzchołki ku niebu. Wichfried siadłszy na straży sparty o pień, miał czuwać, ale go sen wkrótce zmorzył.

Krótką noc wiosenna przeszła tak szybko, że gdy się przebudzili rosą okryci, dniało dobrze. Wichfried zostawiwszy księcia, sam poszedł drogi szukać i rozglądać się po okolicy. Miejsce było całkiem nieznaną, dróg do koła żadnych. Głos trąbki rozchodził się po lesie długo bez odpowiedzi.

O białym dniu, napróżno się odzywając, siedli na konie, książę wesół żartując ze złego przewodnika, Wichfried gniewny sam na siebie, nieumiejąc już radzić, bo nawet strony w której klasztor leżał nie był pewnym.

— Jedźmyż gdzie konie poniosą, one więcej od nas mają rozum — poprowadzi je glód do złobu.

Gdy im ugli popuścili, rozum ten koński tak się niedorzecznym okazał, że jeden chciał iść w prawo drugi w lewo — księżętemu dano pierwszeństwo.

Jechali trochę już głodni, śmiejąc się ze swej przygody.

Los tak zrządził, by ani na żadną osadę, ani na człowieka, ani na gościniec, nawet na samotną chatę nie trafili. Gdzie się zapędzili, żaden z nich nie wiedział. Około południa, książę, który dotąd bardzo brał wesoło obład swój, zaczął też być trochę niespokojnym.

— Licho już wie gdzie my jesteśmy — rzekł, w półtora dnia okrutny kawał drogi zrobić można, gotowiliśmy się znaleźć, gdzie się całe nie spodziewamy.

Właśnie gdy to mówił, zastąpiła im drogę rzeka dosyć znaczna. Pilica nie Pilica?? nie poznali co za jedna.

Wichfried był tego zdania, aby nazad zawracać, książę utrzymywał, że gdzieś nad brzegiem najpew-

niej osada jakaś znaleźć się musi. chciał ją nawet przebywać w pław, aby na drugim brzegu ludzi szukać.

Znaleźli jeśli nie bród to płytkie miejsce, gdzie konie mało co spłynąwszy, dobiły się na drugą stronę. Tu las stał znowu gęsty na wzgórzu, ale pusto było jak zajrzeć. Oko z zakrętami rzeki biegnąc, tylko ługi zielone i piaski żółte spotykało. Na łąkach nawet stożysk ani stad nie było, trawy rosły w pas, jakby ich nigdy nie koszone.

Jechali dalej w milczeniu, bo położenie coraz się przykrzejszem stawało. Wichfried z rozpaczry rwał się ciągle do trąbki, ale na wołanie jego, echa tylko lesne odpowiadały. Nadchodziło południe. Jedzenia było tak mało, że ledwie do wieczora starczyło, aby głodem nie marli. Zwierzyna się nastreczała. Wichfried zaczynał po niemiecku kłać polskie lasy, utrzymując że i w Niemczech były puszcze niemale, ale takich borów co się na dziesiątki mil nieprzerwanie ciągnęły, nigdzie nie było tylko w Polsce.

Popaslszy jechali znowu, Wichfried dał w trąbkę aż mu tchu brakło.

Miało się już ku wieczorowi, gdy zdala się druga trąbka odezwała w odpowiedzi.

Poczęli więc jechać coraz prędzej ku głosowi jej, dając o sobie znać—nadzieja wstąpiła w serca.

Wprawne ucho myśliwych rozpoznać jednak mogło, iż ten co im odpowiadał nie swój był, ale obcy. Róg jego brzmiał inaczej, Kaźmierz nie poznał go, choć zdawało mu się, że głos był znajomy.

Las się trochę przerzedzał tak, że pośpieszyć łatwiej było. Odpowiadający na trąbienie, jakby równo z niemi niespokojny był, nawoływał szybko, gwałtownie.

Mały kawałek łąki leśnej zdawał się ich dzielić od łowca, którego wreszcie spostrzegli stojącego na koniu zdala, z regiem białym w rękę. Mężczyzna był wzrostu słusznego, z brodą ciemną, w kołpaku, z lu-

kiem na plecach, mieczem u nogi, na koniu dzielnym. Wichfried wpatrzywszy się weń, pobladł.

— Stój! — zawołał do księcia — to księżę Mieszek! Zwracajmy! To on!

Kaźmierz stanął i wlepił oczy.

— Tak, to on, — rzekł spokojnie. — On sam, ale nie godzi mi się abym ja przed nim uciekał. W sumieniu jestem czysty, czegoż się mam lękać? od brata?

I posunął się szybko ku niemu.

Mieszkowi, który także musiał Kaźmierza rozpoznać, ręka w której róg podniesiony trzymał, drgnęła. Ujrzawszy zbliżającego się, ruchem niespokojnym i oczyma do koła się obrócił.

Stali o trzy kroki od siebie. Kaźmierz z konia zsiadł i szedł starszego przywitać. Wichfried też co prędzej skoczył ze swojego i, nie chcąc Kaźmierza samym zostawić, pośpieszył za nim.

Mieszka twarz z brwiami nawisłemi i czołem pomarszczonem ponura była i zasepiona. Wśród ciemnego zarostu oczy błyskały tylko i lice zbladłe.

Gdy Kaźmierz zbliżył się z poszanowaniem, oba zamilczeli, długo patrząc na się. Zdumienie odbierało mowę. Wichfried tymczasem oczyma niespokojnemi sięgał w las, upatrując czy dwór i łowcy książęcy nie nadciągają. Obawiał się napaści, pochwycenia. Gotów już był do rozpaczliwej obrony i ręka mimowoli za miecz chwyciwszy już go nie puszczała.

Naostatek Kaźmierz przerwał milczenie głosem odzywając się łagodnym.

— Prawdziwe zrządzenie Boże, żeśmy się tu spotkali.

Mieszek ręką rzucił, — obejrzał się w koło, jakby niespokojny był że ludzie nie nadciągają. Po krótkim namysle i konia zsiadać począł. Wichfried choć powinien był, nie ruszył się mu pomagać, stał na straży.

Na twarzy Kaźmierza nie widać było wielkiego poruszenia, pozostał prawie spokojnym i uśmiechniętym, spoglądał na brata z życzliwością i uczuciem

braterskiem, gdy Mieszek drżał ze wzruszenia, gryzł usta i hamował się by nie wybuchnąć.

Z wejrzeń rzucanych na Wichfrieda widać było że pragnął aby się oddalił, świadek mu był niepotrzebny. Spostrzegłszy to Kaźmierz, szepnął Niemcowi aby uszedł na stronę, co ten spełnił dosyć niechętnie, stanąwszy w niewielkiej odległości, aby w pomoc mógł nadbiedz księciu, gdyby się okazała potrzeba.

Wzrokiem niespokojnym patrzył ciągle w las, gdyż zdało mu się że niechybnie orszak Mieszka nadciągnąć musi, a księżę da hasło do jakiego zamachu.

Ten jednak komu on się zdawał grozić najwięcej, nie okazywał najmniejszej obawy.

Mieszek mierzył go oczyma z powagą starszego brata i zwierzchnika.

— Co tu robisz?—spytał ostro.

— Zbłąkałem się na łowach jak ty.

— Jam się nie obłąkał — odpowiedział Mieszek — ja zawsze wiem dokąd i kędy idę.

Kaźmierz spojrzał nań wzrokiem rozbraniającym, pod którego szczerością i wyrazem łagodnym, Mieszek się uczuł jak nie swój i poruszył dziwnie, Spojrzał na stojącego w dali Wichfrieda i rzekł głosem przytłumionym.

— Stałem po ciebie, wołając do Krakowa.

— Nic o tem nie wiem, posel musiał nie zastać mnie w Sandomirzu, byłbym pośpieszył na wezwanie.

Mieszek niedowierzająco nań patrzył.

— Byłbym się stawiał — powtórzył Kaźmierz z uśmiechem.

— Potrzebowałem mówić z tobą — dodał Stary głosem poruszonym i przerywanym, chciałem cię ostrzedz abys ze mną nie poczynił wojny.

— Ja? z tobą? — podchwycił Kaźmierz — o cóż my byśmy z sobą wojować mieli?

— Nie udawaj jakobys nie wiedział — wybuchnął Mieszek następując nań groźno. — Te warchoły,

którym Władysław był za ciężkim, którym Bolko nie mógł dogodzić, chcieliby i mnie zrzucić a ciebie w mem miejscu osadzić. Wiesz o tem?

— Wiem — rzekł Kaźmierz spokojnie.

— Nie radzę ci dać się uwieść, — mówił Stary — prędzej ty głową nałożysz i swoim księstwem, niżeli moje zajmiesz miejsce.

— Ja też go nie chcę — odpowiedział Kaźmierz z pewną wyższością i zimną krwią patrząc na rozjątrzonego brata — niechcę go.

— Choćbyś chciał to go nie dostaniesz — odezwał się Mieszek. — Ten tłum oszalały, któremu Biskup buntownik dowodzi i głupi Wojewoda, nowe prawo chce wprowadzać! Ja mojej władzy i panowania nie winien ich łasce, ani ich wyborowi, ale mojemu starszeństwu, a przy prawie mojem stać i trzymać je będę!

Król ojciec nasz miał wolną wolę rozporządzać tym swoim krajem dziedzicznym, było to jego mienie, krwią kupione, rozdzielił je, naznaczył kto ma panować; ziemian się o to nie pytał i ja łaski ich prosić nie będę! Oni u mnie tyle znaczą co kmiecie i osadnicy, słuchać muszą i będą. Biskupom się ja nie dam na równi z nami rozsiadać!

Kaźmierz słuchał bez wzruszenia.

— Czyń co chcesz i do czego masz prawo — rzekł — to nie moja rzecz. Ja niczego nie pragnę tylko spokojnie siedzieć w domu, Boga chwalić a zabawiać się jak mi się zda.

Mieszek patrzył nań pilno, badał czy prawdę mówił.

— Tak, z tem ci lepiej będzie, — począł przechadzając się tam i sam przed stojącym bratem. — Nie radzę ci ani warcholów słuchać ani się zadzierać ze mną. Dziesięć razy mogą mnie wyrzucić z Krakowa, wrócę jedenasty raz i nie daruję swojego, wrócę siłą, wojną, zdradą, a moje prawo strzymam.

Rozumiesz to?

— Rozumiem dobrze — odparł chłodno Kaźmierz—to twoja rzecz!

— A twoją mieć rozum i nie dać się tym ludziom pochwyć w kleszcze, bo między niemi a mną ty zostaniesz na miazgę zgnieciony.

Mieszkowi jakby tchu zabrakło, pociągnął powietrza, gniew obejmował go coraz większy.

Powoli Kaźmierz przystąpił doń i ujął go w ramiona.

— Mieszku, — zawołał błagająco — uspokój że się! Jeśli kto, to ty mnie od dziecka znać powinieś. Wiesz że nigdy nie pragnął wiele, a od żądy panowania Bóg mnie strzegł i sił mi nie dał potemu. Przypomnij sobie że po śmierci Bolka miał Kraków w ręku, a ziemianie przedemną klęczeli, prosząc abym został z niemi. Dla ciebie im odmówiłem, znając com starszemu winien.

Mieszek jeszcze nie uspokojony, wyrwał się z objąć jego.

— Nie o ciebie szło i idzie warchołom — począł żywo, nie ciebie oni chcą! Dawno do tego dążą, aby prawa nasze dziedziczne zniesli a sobie wolność wybierania panów jakich chcą i zrzucania ich zdobyli. Ale pókim ja żyw, nie dam im tego. Jutro nas wszystkich wygnają, aby obcego posadzić.

Kaźmierz słuchał go smutny.

— Dla tego, — dodał Stary — chcą ciebie na Kraków i na mnie prowadzić. Tyś słaby, ulegniesz Biskupowi, Wojewodzie i krzykaczom, ale pomnij że tu nie o mnie idzie, jak o głowę twą i dziecka twójego.

— Bracie! — odezwał się Kaźmierz — krzywdzisz mnie.

— Przestrzegam cię! — odparł Mieszek groźnie, przechadzając się ciągle.

— Chcesz zapewnien z mojej strony?

— Jakich? — przerwał Stary — ty mi żadnych dać nie możesz nad jedno! jedź do mnie do Krakowa i siedź przy mnie.

Spojrzał nań, Kaźmierz głową potrząsał.

— Tego nie uczynię — odparł — byłaby to niewola dla mnie upokarzająca, ciebie obwiniająca. Nie mając mnie, jeśli im idzie o nowego pana, wezmą Leszka...

— To piskłę schorzał — zaśmiał się Stary pogardliwie. — Zapewne! im co słabsze to lepsze, mocnej ręki nie znoszą nad sobą, a im potrzeba żelaznej! Potrzeba żelaznej, — dodał — jeżeli się te ziemie nie mają rozpaść na szmaty i kawałami pójść w obce ręce.

Nie! nie! tę żelazną rękę ja mam i nie dam się ojcowiźnie Chrobrego roztrząść i przepadać!

Zmilszał chwilę.

— Na Kietlicza krzyczą, — począł. — Kietlicz sługą jest u mnie, ja nim obracam. Co on czyni — ja robię. Drę ich ze skóry aby mi siedzieli cicho. Za małym zrobił jeszcze, nie posiałem dość trwogi, kiedy się ruszać śmieją!

Biskupa przecherę dawniej potrzeba było uwięzić.

— Mieszku, bracie! — przerwał Kaźmierz gwałtownie. — Biskupa! Pasterza! abyś wszystkich duchownych i Rzym oburzył na siebie! Duchownego tknąć!

Mieszek szydersko, gorzko się uśmiechnął.

— Chcesz abym ja im dał u siebie, obok siebie, nad sobą panować? Ani ja, ani ty, ani nikt panem nie będzie, póki Biskupi z nami na równi siadać nie przestaną. Dumę ich trzeba ukrócić. Pierwszemi sługami być muszą, nie więcej.

Poblady ze wzruszenia i trwogi, Kaźmierz z błaganiem zbliżył się powtórnie do brata.

— Bracie! pomstę Bożą ściągniesz na siebie! — wykrzyknął.

— Ja się do ich ołtarza nie mieszam, ani Gedkowi księży święcić, ni mszy odprawiać nie bronię, ale wara im męsząć się do spraw moich i chcieć stać się sędziami nademną!

— Słudzy Boga! Bóg stoi nad nami!—przerwał Kaźmierz.

— I jam też nie bez Boga — zawołał Mieszek — wiesz żem zakonników sprowadzał, osadził, nadał im włości i ubogacił na Chwałę Bożą. Imię Pańskie niech się święci na niebie i ziemi, ale ład musi być na niej, a gdzie dwu panów tam żadnego, gdzie nas dwu tam wojna wieczna!

Nie zdawał się tego młodszy rozumieć i smutnie spuścił głowę.

— Bracie, — odrzekł — więcej pewnie nademnie masz rozumu, ale dla czego wojnę z Bogiem chcesz wiedzieć. bo ze sługami Jego? Oni ci pomocnikami będą nie wrogami, ale ty im bądź bratem.

— Panem im a nie bratem muszę być — zawołał Stry domnie. — Tyś dzieciak i nie rozumiesz, oni Bogiem dla władzy frymarchą.

Nastąpiło milczenie, — Kaźmierz przerażony wzdychał.

— Na miłość Bożą — odezwał się łagodnie — na pamięć pobożnej matki naszej zaklinam cię, rzuć te myśli i gniewy, one cię do zguby prowadzą!

— Nie są to zabawki dziecinne, któreby można precz kinać, — rzekł Mieszek. — Myślałem dobrze co czynić mam, wiem co czynię. Stanie się com zamierzył lub zginę. Nie u nas, po całym świecie, moc duchownych wzrosła tak że nas wzięli pod stopy swoje, nie ja jeden z niemi walczę—wszyscy królowie i książęta bój z niemi staczać muszą, aby się ich czeladzią nie stali.

Kaźmierz krzyż zrobił w powietrzu, jakby myśli złe chciał odzégnać od brata.

— Nie giń — rzekł — a niechciej co niemożliwe. Cesarz silniejszy od ciebie, a rzymskiemu Biskupowi oprzeć się nie może, a ty z Rzymem i jego sługami chcesz walczyć!

— Bo oni do walki wyzywają, — zawołał Mie-

szek—jam ich dobrodziejstwy obsypał, oni się przeciw mnie wiążą.

W tem zamilkł, jakby czuł że mówi nadaremno i dodał porywco.

— Dość tego! Jedź ze mną!

— Nie mogę, — rzekł Kaźmierz stanowczo. — Nie masz się co mnie lękać. Z dobrej woli nigdy nie pójdę przeciwko tobie, to co mam, starczy mi, nie chcę nic więcej. I jedno to księstwo często zacieży. Kocham spokój i ciszę, kocham sprawiedliwość, kocham ciebie, tak jak pamięć ojca! Ufaj mi!

— Tak! aleś słaby, miękki jesteś — odparł Stry—wezmą cię w garść i uczynią co zechcą. Niewiesz co cię czeka, ani oni wiedzą co ich oczekuje. Jam nie Władysław, mnie wygnąć trudniej im będzie. Staraj się i on, bronii, ale ja nie dam wam chwili wytchnienia, nie ulegnę — prawo me znam i życie dam za nie, Jestem głową rodu!

W czasie tej rozmowy, która często głośniejsz wybuchala; Wichfried stojący na uboczu, który niesłuchając nawet mógłby ją był odgadnąć, wykrzyki namiętniejsze chwytal i drzał z niepokoju a trwogi. Posłyszał że książę chciał Kaźmierza zabierać z sobą i obawiał aby się ten mu nie dał pociągnąć. Przedłużająca się ta walka na słowa coraz bardziej go trwożyła, bo lękał się ciągle przybycia orszaku Mieszka i zamachu na swego pana. Kilka razy wejrzaniem ostrzegającym, a gdy się Mieszek odwracał, ruchami starał się dać poznać Kaźmierzowi, aby skończył rozmowę, ale ten nie ruszał się i spokojny, łagodny, usiłował tylko brata usmierzyć i ukoić.

Wszystko to jednak, zamiast dobrego skutku drażnić się go jeszcze zdawało coraz więcej i wzburzenie pomnażać.

Skończywszy a raczej przerwawszy rozmowę. Mieszek szybkim ruchem ręki sięgnął po róg, który miał na piersiach, jakby na pomoc chciał zawołać

swych ludzi. Wichfried ujrzawszy to rzucił się ku niemu.

— Miłościwy panie — zawołał żywo, — nasi ludzie są pewnie bliżej, mamy ich z sobą podostatkiem, czekają ztąd niedaleko. Jeżeli potrzeba posługi ja na moich zatrabuję.

Kłamstwem tem, które zarazem groźbą było, chciał odwieść Mieszka od powoływania swego orszaku. Na znaczeniu tych wyrazów książę się nie mógł omylić, i — zatrzymał się, róg podniesiony gniotąc w rękę.

— Najlepiej by było — dodał Wichfried — abysmy ani my, ani Miłość Wasza świadków tu nie ściągali. Ludzie są podrażnieni, mogłoby co z tego nieswornego wynikać.

Mieszek ze wzgardą z góry popatrzał na niego.

Każmierz stał z oczyma spuszczonemi, jakby się za kłamstwo towarzysza swego wstydał — ale nie mówił nic. Wichfried nalegał.

— Jakaśmy się zjechali znieścacka, tak by się i rozstać najlepiej — mówił Niemiec śmiejąc — świadków nie trzeba, aby paplaniny nie było.

— A ty! ty mnie chcesz uczyć co ja mam czynić! — gniewnie krzyknął Mieszek.

— Miłościwy panie, — odparł Wichfried, chwytając za trąbkę swoją — jeżeli powołacie swoich, ja moich Krakowian też muszę. Ludzie są zburzeni i warchoły!

— Krakowianie? wasi? ci wszyscy moi są! — zawołał Mieszek.

— Mamy ich trochę w gościnie — żywo odparł Wichfried, niedając się odezwać Każmierzowi, który zdawał się chcieć włączyć do rozmowy.

Książę Stary z Niemcem spojrzeli sobie w oczy. Wichfried był zuchwały, książę zawahał się, trąbka mu wypadła z ręki — odwrócił się tyłem do niego, nie odpowiadając.

— Rozstajemy się więc — zawołał do brata — jakżeśmy się zeszli, nie sprawiwszy nic?

— Owszem, — rzekł Każmierz — bo spodziewam się iż moim zapewnieniem uwierzysz, iż nie godzę na ciebie, nie pragnę nic. Kocham cię i szanuję.

— Ja pójdę z tem przekonaniem — odezwał się Mieszek, że ty Każmierzu wolę masz czystą ale ducha słabego, ludzi nie znasz ani samego siebie.

Przeszedł się poruszony i jak niepewny co poczuć.

— Pamiętaj to — dodał — oni cię wpłaczą w wojnę ze mną, a będzie jej miał na życie całe! Stanie jej i dla dzieci twoich! Jam nie ten co wygnany siada na kamieniu i płacze, łez nie mam ale dłoń, żelazną!

Podniósł pięść do góry i poruszył się jakby szedł ku oczekującemu nań koniowi. Wichfried, któremu lżej się zrobiło gdy ujrzał już niemal oddalające się niebezpieczeństwo, sam poskoczył uzdę potrzymać, ale Każmierz go wyprzedził i z pokorą młodszego brata wziął konia przyprowadzając go sam Mieszkowi.

Stary drżał jeszcze tak że cugli nie mógł ująć ani znaleźć strzemienia. Stał patrząc na Każmierza i powtarzając mu cicho.

— Pomnij! wojna ze mną nie igraszka! To bóg na cały żywot twój i po za żywot może! Jam twardy, ustraszyć się ani zmódz nie dam, ni Biskupom, ni ziemianom — nikomu!

To mówiąc na konia skoczył, który poczuwszy go na sobie, drżał już cały i rwał się do chodu, aby doń nie był zmuszony ostrogą.

Każmierz nie zważając na groźby ścisnął go za kolano, Mieszek wejrzeniem ostrem i przenikającym zmierzył go i w las popędził. O kilka kroków zaledwie oddaliwszy się, chwycił trąbkę i zaczął w niej dąć tak gwałtownie, że Wichfried uląkł się.

— Na Boga! — zawołał — na koni! napowrót w lasy! a nie tośmy zgubieni. Z oczów Mieszka wi-

dzę, że na was rad rękę położyć — jeżeli ludzie nadbiegną pochwycą nas!

Każmierz okazał więcej odwagi, głową potrząsał, ale natrętwu obronić się nie mogąc, posunął się ku koniowi. W jednej chwili oba byli na siodłach, a że książę się ociągał, Niemiec pochwycił konia jego za uzdę i puścił się co żywiej ku rzece.

Tymczasem jak groźba, trąbka Mieszka odzywała się za nimi, w głosie jej nawet brzmiały gniew i zniecierpliwienie. Udało się jednak Wichfriedowi Kaźmierza w gąszcze uprowadzić. Niedozwalając mu spocząć, na osłep z nim darł się w las coraz głębiej. Nasłuchiwał tylko czy trąbienie oddała się i słabnie.

Książę jechał spokojny, z twarzą pogodną, na której wewnętrzna radość się malowała, co dla Wichfrieda niepojętem było.

— Sam Bóg to sprawił, — odezwał się ujechawszy kawał drogi — żeśmy się z bratem w tej puszczy sam na sam, oko w oko spotkali. Mieszek będzie spokojniejszym, ja także. Powinien to czuć że mi zaufać może.

Wichfried nie nawet nie odpowiadając, co żywiej w głąb lasu pędził, oglądając się i nadsluchując.

— Nie odetchnę — zawołał po przestanku długim — aż się jak najdalej od księcia znajdziemy. Gdyby nie ja, miłościwy panie, byłibyśmy w jego mocy i niewoli.

Gdybym, Boże mi odpuść, nie skłamał — dodał Niemiec trochę samochwaleczno, rad że podstęp udał mu się tak szczęśliwie — gdybym nie nastraszył, wzięli by nas!

— I to pewna, — przerwał Kaźmierz wesoło, — że gdyby nas wzięli, byłiby musieli nas nakarmić, tymczasem dla twojego strachu aniśmy mieli możność spytać, gdzie my jesteśmy, ani wiemy gdzie się obrócić, a głód przyznam ci się dokucza straszliwie.

— No, lepszy głód niż łyka — odparł Wich-

fried — a Bóg łaskaw, do wieczora radę się na to znajdzie.

Proroctwo to nie rychło się jednak ziściło. Pośpiesznym krokiem jadąc, do zmierzchu nie natrafili na żadną utartą drogę, ani na osadę, ni na człowieka. Już mrok padał, a strach coraz większy ogarniał Wichfrieda, gdy w dolinie u skraju boru ukazała się chata, otoczona płotami, z której dymnika siny słup się dobywał.

Na widok jej Wichfried wydał okrzyk zwycięstwa, konie zarżały. Głosy te musiały się dać słyszeć wewnątrz zagrody jej mieszkańcom, gdyż z za płota wyrzuciło głów parę — i natychmiast się schowały.

Książę z towarzyszem przypadli do zapartych wrót pośpiesznie, obawiając się, aby, jak się to najczęściej trafiało, mieszkańcy na widok uzbrojonych jeźdźców nie pierzchnęli i nie pochowali się.

Stanąwszy u wjazdu, musieli długo stukać, wołać, dobijać się, nim na ostatku, gdy wyłamywaniem wrót grozili, nie wyszedł staruszek bosy, w grubym przyodziewku parcianym, z brodą białą do pasa i głosem drżącym nie począł się im tłumaczyć pokornie, że sam ze starą babiną tu siedział, ubogi był, koni nie miał.

— Ale my od was ani koni, ani przewodu daremnego nie chcemy, — zawołał książę — jesteśmy zbłąkani, głodni, chleba nam dacie, zapłacim jak Bóg przykazał.

Staruszek, choć niedowierzając otworzył im. Chata była czysta i nie licha, obojście porządne, po którym poznali łatwo zamożnego gospodarza, a ten się im stawił jako bartnik. Na stole znalazł się chleb, w sklepiku miód, w komorze jaja świeże i mięso suszone. Stara babina służyła milcząca, bartnik kręcąc się po chacie, strwożony ciągle i nieufny, ledwie na pytania chciał odpowiadać.

Książę uderzony był tem, że w chacie żadnego znaku chrześcijańskiego nie znalazł, krzyża nigdzie,

w mowie staruszka dziwne wyrażenia pogaństwem tchnące.

Na zapytanie Bartnik jeszcze bardziej wylękł, zaraz się przed księciem śpiesznie przeżegnał, ale na tem podobno cała jego nauka chrześcijańska się kończyła.

Oznaki guseł pogańskich, wianki, zioła, nawet bałwanki dziwaczne widać było po kątach i nad progiem w ścianie. Starucha osłaniała je jak mogła od oczów, ale mowa obojga zdradzała pogan, którzy w głuchym tym zakęcie, równie jak tysiące innych, żyli obyczajem praojców i pod dęby, do źródeł modlić się jeszcze chodzili.

Nazajutrz rano, spoczawszy na sianie w szopie, książe z Wichfriedem puścili się pokazaną im drogą ku Sulejowu, a mieli jej jeszcze na dnia półtora.

IX.

W obozie wojewody Szczepana, w którym się ciągle gotowało jak w garnku, bo coraz nowe pocztę na dane hasło się ściągaly, oczekiwano teraz zapowiedzianego przybycia biskupa Gedki.

Kości były rzucone, burzącym się ziemianom zapowiedziano, iż biskup z wojewodą, ze starym Żyrą Gryfem i innemi przedniejszemi natychmiast do Sandomirza wyruszą i Kaźmierza, choćby po niewoli wezmą, aby go na Krakowie posadzili.

Wszystko już tak było przygotowane i umówione, że oprócz Kietlicza i małej garstki tych, co Mieszka najbliżej otaczali, reszta na dany znak opuścić go miała i do swoich się przyłączyć.

Stary wojewoda oczekiwał tylko na biskupa.

Tego wieczora, gdy Dorota do obozu przybyła po rycersku przebrana, chciała niecierpliwa natychmiast o sobie dać znać staremu miłośnikowi, ale tłum w namiocie był wielki, świadków mnóstwo, obawiała się, aby staremu wiadomość o jej przyjeździe nie sprawiła więcej postrachu, niż radości. Czekala do późnej nocy, ażby się pod namiotem uspokoiło, sama zaś bojąc się iść, gdy się ludzi nieco przebrało, pachole swe posłała do Szczepana.

Wojewoda prędej się śmierci niż gościa takiego spodziewał.

Nie czas mu było myśleć o niewiastach, gdy wszystkie sprawy na głowie jego leżały, a biskup la-da chwilę miał przybyć.

Stał we drzwiach namiotu sam, oddychając świeżem wieczornem powietrzem, pot ocierając ze znużonego czoła, gdy pachole nadbiegło.

Wojewoda znał je dobrze ze dworu wdowy, ale spostrzegłszy, tak się mało spodziewał, iż oczom swym nie uwierzył. Dopiero, gdy chłopak przemówił, ocucił się stary Szczepan.

— A ciebież tu jakie лихо przyniosło? — zawołał.

— Z jej miłością razem! — odparło chłopię.

— Czyś oszalał! z kim?

— A no, z jej miłością panią naszą, Dorotą.

Wojewoda ręce załamał.

— Gdzie, gdzież ona jest?

Chłopak wskazał namiot niedaleko rozbity, dodając głosem cichym.

— Czekaj na miłość waszą.

Żadne odwiedziny straszniejszymi staremu nad te być nie mogły, nie mógł się wydziwić zuchwałej niewieście, drzał i bladł, zimny pot go oblewał. Łada godzina mógł biskup nadjechać, biskup groźny, który go już za te niewczesne miłości chciał wyklinać.

Nużby się dowiedział, że Dorota tu aż za nim

przypędziła? Wprawdzie pochlebiało to staremu, ale z obawy publicznego zgorszenia, struchlał. Co tu czynić było?

— Ale to nie może być! — zawołał.

Chłopiec za całą odpowiedź namiot wskazał i ramionami zżymnął.

Wojewoda ruszył się iść i wstrzymał, nie wiedział sam, co miał robić, ręce załamał.

Znał śmiałość niewiasty, która gotowa go była w obec wszystkich ziemian a bodaj biskupa na sztych wystawić.

Przeklął w duchu i nieszczęsną swą słabość dla niej, ją i siebie. Musiał zapobiegając gorszeniu, iść do niej zaklinać, prosić, aby się natychmiast oddaliła.

— Niech idzie gdzie chce, choćby wskrósł ziemi szalona baba — wołał wojewoda — tu jej nie powinno być, aby mnie wszystkie ciury na języki nie wzięły!

Jak stał, natychmiast za chłopcem poszedł. Namiot był niedaleko rozbity, do innych podobny, ludzie około niego zbrojni, szczęściem niewiasty nie było widać. Gdy podniósłszy płotek wojewoda wszedł do środka, widok od progu zatrzymał go osobliwy. Tyłem do wnijscia stał rycerz średniego wzrostu, pięknej postawy; a obok niego urodziwy Koniuszy właśnie go ze zbroi i kaftana rozdziewał.

Usłyszawszy chód, rycerz się obrócił i wojewoda poznał Dorotę, której w tym ustroju męzkim do licha było wdzięcznie. Dziwnie mu się piękną i pokusliwą wydała. Przy niej stał jeszcze szyszak zamknięty, który z głowy zrzuciła.

Zobaczyła wojewodę, szepnęła coś Koniuszemu, który natychmiast pokłoniwszy się, wojewodzie z szyskim wyrazem twarzy się oddalił. Gdy zostali sami, Dorota wprost przypadła do wojewody. Ten się cofnął.

— A toś oszalała — zakrzyczał — w ogień leść, mnie i siebie gubić, trzeba rozumu nie mieć!

— Mileżałbyś, ty stary grzybie — gniewnie od-

powiedziała Dorota, która się takiego przyjęcia nie spodziewała — co byś mi miał do nóg paść, lajesz jeszcze.

— Ja ci padnę do nóg, tylko żebyś sobie ztąd szła co najprędzej — odparł Szczepan. — Biskupa tylko co nie widać, niechże się tylko o was dowie, a on będzie wiedział wszystko, co mnie tu czeka, a co was!

— A tyś chciał, żeby mnie bracia jak raka pod kamieniem garścią wzięli w domu! — zawołała wdowa. — Już byli na mnie gotowi najsć tej nocy, gdy uciekła. Nie miałam co czynić, tylko opieki szukać albo ginąć.

— Ależ tu obóz! targowica! ludzie, stek, biskup! na srom się wystawić! — odparł wojewoda za głowę się chwytając.

— Jaki srom! ja czego się mam sromać? — zawołała wdowa brwi marszcząc groźnie. — Czego ja się mam wstydzić? mów? Czego? któż lepszy? Drugie robią to pocichu, co ja głośno! Jestem wolna i pani siebie. I ten mi jeszcze będzie oczy wypiekał! — do dała odwracając się od niego.

— Patrz go! zamiast pomocy, on mnie wstydem jeszcze karmi! Coś to ty? ksiądz na spowiedzi? a no już po wielkiej nocy!

— Ale wy tu nie możecie pozostać, błagając — rzekł wojewoda. — Zgubicie mnie i siebie. Biskup mnie i was z obozu wyświeci. — Chwycił się za głowę — choć ty tu giń!

— A dokądże mam iść? — zawołała Dorota — dokąd?

Szczepan ręce łamiąc sparł się o drąg namiot podtrzymujący, nogi mu drżały.

Dorota stała, włosy swe, które pod szyszakiem się zgniotły w rękach zwijając. Patrzała na wylekłego z góry, z politowaniem i wzgardą.

— Jeżeli wy mi nie dacie rady — rzekła — oh! oh! znajdę ja tu takiego, co mnie w opiekę rad weźmie. Jest tu ich siła takich, co się do mnie stroili

i w gachy przyjeżdżali. Ino skinę, mieć będę ilu zechce— ale! niedoczekanie wasze, panie wojewodo, żeby na was potem choć spojrzęła, nigdy! ty stary tchórz co się ludzi boisz, biskupa boisz, mnie boisz.

A to z ciebie wódz do wojny!

— E! słuchaj — odparł osmagany tak wojewoda burząc się. — Takiej baby jak ty i didko się ulęknie! Ja się strzały ani oszczepu, ani miecza nie lękam, tylko djabła i niewiasty!

Dorotę śmiech wziął.

— No, mów co mam robić?

— Albo ja wiem! — rzekł Szczepan — wiem tyle, żeś tu być nie powinna. Jedź gdzie na dwór do ziemian, to cię przyjmą.

— Między baby co mi kądziel do rąk dla zabawy dadzą, żeby mnie z między nich bracia gołą ręką za kark wzięli?

Madry jesteś do rady!

Odwróciła się, wojewoda znękany jęczał prawie.

— Jak mnie Bóg wyrwie cało z tej gorącej łaźni — począł z cicha — klasztor założę i wyposażę. Biskup tej nocy gotów być!

— A no! do mnie on nie spodziewać się, żeby po nocy szedł — rozśmiała się wdowa — a że ja ztąd po nocy nie ruszę, to jak mnie widzisz żywą.

Któż się tu mnie domysli? ludzi kupa, jam we zbroi po mężku przybyła.

— Ta! ta! ta! — przerwał stary — nie domysla się! Zwachają podwikę, choć zbroją okrytą!

Im więcej wojewoda Szczepan okazywał bojaźni, tem Dorota więcej się tem zabawiać zdawała. Śmiała mu się w oczy.

— Idźże sobie panie wojewodo do swoich — rzekła — ja wiem co zrobię. Bywaj zdrowy, ja cię już na oczy widzieć nie chcę. Ruszaj do starej żonki pomarszczonej, koło niej od biskupa będziesz bezpieczny!

Wskazała na drzwi namiotu. Szczepan stał wal-

cząc z sobą, ale obawa przemogła nad namiętnością, milczał, Dorota kończyła.

— Darmom na stare pruchno rachowała! Jutro ruszę wprost do Sandomirza do księcia, i oddam mu się w opiekę. Ten mnie nie odpędzi, jak wy! Kazmierz piękny, dobry i biskupa się nie ulęknie!

— Książę żonaty! — mruknął wojewoda.

— A ty nie? — śmiała się wdowa. — Przeto pięknej się niewiasty nie wzdraga!

Pokazała mu znów na drzwi.

— Idźcie patrzeć czy biskup nie jedzie z Panem Bogiem!

Wojewoda radby był znalazł jakiś środek między zupełnem rozstaniem, a bezpieczeństwem swem w tej chwili, ale wdowa mówić już z nim nie chciała. Zawołała koniuszego stojącego pod namiotem, aby z niej kaftan zdejmował.

— Jutro do dnia — wydała rozkaz głośno — do Sandomirza, tu nas nie przyjmują!

— My tam z ks. biskupem ciągniemy! — zamruczał wojewoda.

Dorota nie zważając nań, zaczęła pocichu szeptać ze swym sługą, jakby starego na świecie już nie było. Wojewoda zmieszany pozostał jeszcze czas jakiś, lecz widząc, że nań oka nawet nie myśli zwrócić wdowa, wyniósł się trochę gniewny, a bardzo niespokojny.

Całą noc w obozie s pano mało, ziemianie pili dużo do rana, i aż nadedniem się zdrzemnęli. Wojewoda jeden nie jadł, nie pił, oka nie zmrużył, tyle miał do myślenia.

Dopóki biskup nie nadjechał, nie czuł się bezpiecznym. Znał księcia charakter gwałtowny, i zmienne usposobienie ziemian, a wiedział, że pochwycony skazanymby był na postradanie oczów i ucięcie ręki.

Niespokojny więc na biskupa oczekiwał jak na zbawcę.

Oznajmywany Gedko, ani tej nocy, ani nad ra-

nem nie przybył. Posłano na zwiady, aby przyjazd jego przyspieszyć. Zrana, jak tylko rozwidniało, wojewoda sam uchylił ściankę namiotu, aby przekonać się, czy Dorota, która obozowała niedaleko, dotrzymała słowa i wyruszyła do Sandomirza. Właśnie, gdy wyglądał, zwijano jej namiot i konie prowadzono, zobaczył ją w hełmie zamkniętym i płaszczu, a raczej domyślił się, gdy dosiadając karego ze swojemi wyruszać miała.

Ziemianie przebudzeni i strwożeni tem, że ktoś od nich odciągał, a siły ich uszczuplić się miały, poczęli wołać i nakrzykiwać, ale Dorota nie słuchając i nie odpowiadając pojechała w swą drogę.

Lżej odetchnął Szczepan, w oczach mu się rozjaśniło. Położył się dopiero i zasnął. Czuł że to utrapienie, które mu tak groźne przesunęło się przed oczyma, było karą Bożą i przestrogą ku poprawie.

Około południa ludzie nadbiegli oznajmując, że biskup Gedko ciągnie już; wojewoda z przedniejszych władzykami, wybrał się zaraz na spotkanie pod krzyż o staj kilkoro na gościńcu.

Pasterz krakowski przybywał tu już nie jak do Tyńca wyruszył, ale z całą wspałością książęcego swego dworu i otoczenia. Szły przy nim oddziały przedziwnie zbrojne, całe we zbrojach z Niemiec sprowadzonych, na koniach dzielnych pod chorągwią własną, jechał Krucyfer, kapelan, kanclerz i duchowni, podkomorzowie, dwór, młodzież ziemiańska, komornicy, czeladź, służba, szły na wozach namioty i sprzęty podróżne. Nie zbywało i na trąbach i bębnach, które przybycie oznajmowały głośno. Sam biskup dla długiej drogi w kolebce jechał szkarłatem wysłanej.

Słowem, pochód był jakiego wymagało dostojęstwo pierwszego w kościele po arcybiskupie gnieźnieńskim prałata, i ród jego stary a możny; pochód wspałości książęcej, wrażliwy poszanowanie większe, niż panującego, bo krzyż mu przodował. Gdy

stojący na drodze pod figurą ziemianie z wojewodą ujrżeli biskupa, okrzyknęli go czapki podnosząc do góry. Gedko błogosławił. W zwiększonym orszaku ciągnęli ztąd do obozu.

Wojewoda Szczepan teraz dopiero się czuł bezpiecznym.

Wprowadzono biskupa do namiotu, do którego zaraz ziemianie tłumnie się cisnąć zaczęli. A że każdy go widzieć i słyszeć chciał, a ciasno było w środku, musiano ze wszystkich stron podnieść ściany płócienne. Cichość się stała na chwilę. Biskup kłaniających mu się i cisnących do ręki, błogosławił, i modlitewkę krótką odmówiwszy, począł podniesionym głosem:

— Otom ci między was przybył, dzieci moje, aby do dzieła sprawiedliwego przewodniczyć w imię Chrystusa Pana. Dzieło sprawiedliwe jest i chwalebne.

Niegodzi się, aby dla jednego człowieka cierpieli wszyscy. Książę Mieszek kościoła nie szanuje, ani sług jego, ani starych praw i zakonów ziemi naszej. Prawo swoje bezprawiem chce gruntować. Myśmy nawykli panów sobie dawać sami i wybierać, on siłą panować chce.

Szanujemy krew pańską! Gdy jeden obrany nie godzi się nam, drugiego wziąć możemy. Niech nam Kaźmierz panuje, który Boga się boi i dla ludzi ojcem będzie.

Na to hasło, zawołali wszyscy:

— Kaźmierza mieć chcemy! Kaźmierza!

Obóz rozległ się cały aż do krańców wywoływaniem tego imienia.

Biskup skończył na tem, usiadł znużony, zapuszczono ściany namiotu, ziemianie rozechodzić się zaczęli, a wojewoda przyjmował Gedkę. Rozmowa zaczęła się poufna.

Postanowiono, jak tylko wypoczną konie i ludzie się posilą, ruszać natychmiast w dalszą drogę do Sandomirza.

Tymczasem wdowa przodem tym gościńcem się puściła. Nieustraszona niewiasta, nie bardzo się kłopotowała tem, co ją tam spotkać mogło. Po drodze jednak nie wydawała się z sobą, na popasach i noclegach nie zdejmując szyszaka, dopóki widzianą być mogła.

Nie śpieszyła też bardzo, czując się tu już bezpieczną, a podróżą zabawiając się z płochością sobie właściwą, bo jej niepewność i groza położenia nie odejmowały swobody umysłu. W drodze trafiały się i łowy, goniono zwierza po lasach, spoczywano w dąbrowach, rzadko zajeżdżając do osad po drodze.

A że na gościńcu głównym do Sandomirza ludzi było dosyć, bo ziemianie niektórzy i samopas ciągnęli, że często gromadki wdowy czepiano się a dopytywano, aby się zbyć natrętów, wołała przesuwać się bocznemi drogami. W końcu rzeka się ukazała, miasto i zamek.

Jechać wprost na gród nie było można.

Przez drogę myślała już, jak się do księcia dostanie, rozrachowując po niewieścieniu wszystko, aby się lada czem zbyć nie dać. Straciwszy wojewodę, wyżej sięgała, opiekuna chciała mieć w Kaźmierzu, który był piękny, młody jeszcze i niewiasty lubił. Ufała w to mocno, że go sobie zyskać potrafi.

Wiedziała dobrze, iż książę miłośnicę miał, ale była pewną, że go od niej oderwać potrafi.

Myśl ta zapalała ją mocno, bo i książę się jej podobał, gdy go dawniej widziała i na braci w nim oręż mieć chciała.

— Bodaj czarów użyć a muszę go mieć — mówiła w duchu. — Są przecież napoje, ziola, sposoby, uroki, nie zechce powoli, to go niemi przyciągnę!

Wiara w gusła była naówczas powszechną, stare baby zajmowały się niemi, nie dziw, że piękna Do-

rota w pomoc swym wdziękom czarodziejki wszechmocne wziąć chciała. Wzywano je we wszelkiej potrzebie.

Oddział wdowy przyciągnął do miasta; w brzmach zaraz koniuszy spytawszy o księcia, dowiedział się, że go nie było.

Niewiedzano dokąd pojechał, ani kiedy powróci. Powiadano tylko, że dosyć już dawno ruszył w lasy, na zamku niepokój był wielki i ludzie się wróżne stroiny, szukając go, rozbiegli.

Pod miastem na podzamczu musiano szukać miejsca na obóz dla ludzi, a w chacie mieszczanina Dorota wprosiła się do komory.

Służba jej wnet ubogą tę świetliczkę przybrała tak, że w niej panią znać było. Na wozach się znalazły opony, sukno i kobierce.

Pierwszy to raz po wyjeździe ze Skał Dorota się ze zbroi i mekkiej odzieży rozebrała i położyła spoczywać. Przed księciem chciała stanąć po niewieścieniu i z całą zalotnością przystroić się do niego.

Dzień jeden i drugi upłynął na próżnem nań oczekiwaniu. Posyłano na zamek zawsze tę samą odbierając odpowiedź, że o księciu słyhać nie było. Tymczasem już i wojsko wojewody i orszak ks. biskupa naciągnęły do Sandomirza. Oba dostojnicy na zamku się rozgościli, a wojska ich szeroko zaległy pod miastem dolinę.

Z przybyciem biskupa inaczej się wszystko poruszać zaczęło, podwojono troskliwość w poszukiwaniach księcia.

Księżna Helena zarazem uradowana i przelękła, z Goworkiem i Jaksą przyjmowała gości.

Jawnem już było z tego ociągania się księcia z powrotem, iż chciał uniknąć posłów po niego przybywających, a władzy ofiarowanej przyjmować się wzdragał.

Ale biskup Gedko o oporze z jego strony słuchać nie chciał, pewien będąc, że powagą swą zmusi go do posłuszeństwa. Władzy duchownej nic się odmawiać nie godziło. Wojewoda stał za biskupem i pod jego rozkazami. Przybywszy tu, choć zaprzątiony publiczną sprawą, z trwogą i nad tem przemyślał, że Dorotę przodem do Sandomirza wyprawił, prosząc Boga, aby mu tu nie zaszła gdzie drogi.

O tem już ona nie myślała. Koniuszy tylko codzień do zamku wysyłany był na zwiady, ale z niczem powracał.

Jednego rana wręście ruch postrzeżono wielki w zamku i na mieście, ludzie zaczęli wyjeżdżać zbrojni i postrojeni, oddziały szykować się, rycerstwo chorągwie podnosić i wypływać na gościniec...

Koniuszy doniósł, że się księcia spodziewano.

Uderzyło serce Dorocie, teraz się losy jej wkrótce rozwiązać miały. Kaźmierz istotnie powracał zmuszony przez tych co po niego do Sulejowa wyjechali, przybywał z mocnem postanowieniem skończenia sprawy bolesnej, odmową jawną. Nie wiedział jeszcze ani o przybyciu biskupa, ni o wojewodzie.

Jak tylko znać dano o zbliżaniu się Kaźmierza, Gedko uroczyście naprzeciw niemu wyruszył.

Dorota z chaty, którą zajmowała, widzieć mogła, jak po prawej ręce mając Gedka, po lewej Szczepana, książę otoczony tłumem okrzykującym go, błady i pomieszany na zamek wciągał, gdzie u wrót księżna z synkiem nań czekała.

Wdowa po raz pierwszy po latach wielu zobaczyła Kaźmierza, a wydał się piękniejszym jeszcze, jadąc tak smutny a poważny, gdyby męczennik jaki z wielką w twarzy boleścią, która dlań miłosierdzie obudzała.

Pochwycony, otoczony, witany z miłością, za którą musiał być wdzięczny, książę czuł całą przykrość położenia swojego, na obliczu jego malowało się wzruszenie i strapienie, upokorzonym się czuł niemal.

Te razy powtarzany okrzyk — Żyw niech będzie pan nasz! — zabrzmiał z ust Krakowian, wzdrygał się, odwracał głowę i błagać zdawał, aby się nad nim ulitowano. Słowa jednak wymówić mu nie dano, tak nieustannie go obwoływali.

Cały orszak książęcy przeciągnął mimo chaty, w której oknie z bijącym sercem siedziała sparta na ręku Dorota, pożerając oczyma pięknego pana.

Serce jej od pierwszej młodości przywiązuje się łatwo i płocze, nigdy jeszcze tak gwałtownie nie zabiło, nigdy jeszcze mąż żaden nie zdał się jej tak dziwnie promienistym swą wielkością, a zarazem pociągającym boleścią i smutkiem. Namiętna niewiasta załamywała ręce przemyślając jak go sobie potrafi pozyskać. Przez głowę przechodziły jej myśli najdziwniejsze. Stach, którego zobaczyła za orszakiem księcia, nawet wojewoda, którego się pozbyła pogardliwie, zdali się jej na chwilę narzędziami jakichby użyć mogła, aby się zbliżyć do Kaźmierza. Po krótkiej rozwadze, wszystko to okazywało się trudnem lub niepodobnem.

Ze smutkiem rachowała, jak ciężko jej będzie dostać się do niego; tymczasem orszaki przeciągnęły, ludzie znikli, umilkło wszystko dokoła. Została sama z myślami swemi.

Książę, którego pochwycałszy na drodze z taką radością wiedziono, jechał pogrążony w trwożliwych dumaniach spoglądając ku swoim, jakby od nich oczekiwał ratunku. Rad się był z tłumu tego wyzwolić na chwilę, aby się rozmyśleć, jak ma postąpić, i zobaczywszy księżnę z synkiem, którego kochał bardzo, pochwylił Bolka na ręce, a żona i dziecię posłużyły mu do wyrwania się biskupowi i wojewodzie. Dozwolono mu więc z księżną i synem wniść do środka samego, Wichfried tylko, Goworek i Jaksa zdala za nim pociągnęli.

Zaledwie do komnaty swej się dostawszy, Kaźmierz padł na siedzenie z wyrazem smutku głowę

kryjąc w dłoniach. Wszyscy dokoła twarze mieli wesołe, Bolko tulił się do niego, żona dopytywała o zdrowie, Kaźmierz głosem niepewnym odpowiadał tylko łagodnie, że potrzebuje spoczynku.

Zwolna więc powysuwali się wszyscy, książę tylko odchodzącego Wichfrieda zatrzymał ręki skinięciem. Długo jednak nie mógł przemówić do niego, chwytając się za głowę i piersi, oczyma zataczając dokoła, przysłuchując się z trwogą jakąś gwarowi na podwórzach.

— Wichfriedzie — zawołał — stało się, czegom się obawiał najwięcej. Aż tu przybyli goniąc i żądając, czego ja im dać nie mogę!

— Przyszli błagać, abys ich ratował — rzekł Wichfried. — Com przepowiadał, to się dokonało, biskup i wojewoda z krakowianami proszą na stolicę swą. Uchylić się niepodobna.

— Raczej znów ujdę na puszcze! skryję się, ucieknę — zawołał Kaźmierz — niżelibym miał złamać słowo dane bratu i sumienie pokalać moje! Nigdy! nigdy!

— Siłą was wezmą — odparł Wichfried — opór tu próżny. Nie ma jednego człowieka, coby wam pomógł przeciw nim. Księżna, przyjaciele, starszyzna, duchowni, przeciw wam a z niemi!

— Milcz, Wichfried — ofuknął książę — milcz, złe to są słowa!

Za drzwiami słyhać już było dopraszających się wnijsćia. Jaksa uchylił zasłonę i wcisnął się nie pytając zezwolenia. Spojrzał na Kaźmierza, badając twarz jego. Książę się zwrócił ku niemu wyciągając ręce.

— Jakso, na miłość Zbawiciela! na miłość brata mojego, na drużbę twą dla mnie, zaklinam cię, broń poczciwości mojej!

— Miłościwy książę, wiesz żem za ciebie życie dać gotów — mów! rozkażuj, uczynię co mogę!

— Słyszysz i widzisz, co się dzieje! — wołał

książę niespokojny wskazując na okno. — Ci ludzie przybyli tu, aby mnie uczynić krzywoprzysięcą! Idź do nich, mów z niemi, chcą tego co niemożliwe. Broń mnie!

— Obrona byłaby zdradą — odparł Jaksa spokojnie — miłościwy panie, woli Bożej poddać się potrzeba.

— Woli Bożej! — przerwał książę — ale to woła Bożą nie może być, co jest bezprawiem!

Zmilczał Jaksa i wyczekawszy, odezwał się.

— Książdz biskup Gedko pilno o posłuchanie prosi.

— Niech mi da choć chwilę spoczynku i namysłu — zawołał Kaźmierz — do tej walki się przygotować muszę!

Tych słów domawiał, gdy księżna Helena weszła sama niosąc w ręku kubek nalany. Książę, który słyszając drzwi otwierające się znowu, namarszczył już, wyjaśnił twarz dla niej i przyjmując napój z rąk jej, pocałował w czoło. Wychylił go bezmyślnie.

— Znużony jestem — szepnął — spoczynku potrzebuję, proszę, przyjmijcie biskupa za mnie.

Posłuszna księżna nieśmiało wejrzenie rzuciwszy na męża, wyszła powoli, a Kaźmierz, który zobaczył stojący tuż klęcznik z krzyżem do modlitwy, jakby pod opiekę Bożą chciał się uciec, padł na kolana zasłaniając twarz dłońmi.

Jaksa z Wichfriedem spojrzeli po sobie i wyszli.

Tymczasem w wielkiej izbie, w której biskup zasiadał, oczekiwano na księcia. Wojewoda Szczepan, Żyra stary, Sambor, Leszczyce, Bogorje, Cholewa, czolo ziemian krakowskich otaczali pasterza. Jaksa z Wichfriedem wchodząc zbliżył się do Gedki i na ucho mu szepnął, że książę się modlił prosząc, aby mu spocząć dano nieco.

Nie zdziwiło to wcale biskupa, ręką dał znać jakby już wiedział o tem i zwrócił się do otaczających.

— Spodziewałem się tego, że na opór trafiemy —

rzekł cicho — wiem, że silny będzie, ale przemódz go musimy.

Wszyscy skinieniami potakiwali. W tem Wichfried też zbliżył się do biskupa. Spotkanie i rozmowa w lesie z Mieszkiem, którą mu Kaźmierz powtórzył później, a część jej on sam pochwycił nie była jeszcze biskupowi wiadomą, zdało się Wichfriedowi, że powinien mu o niej oznajmić.

— Książę — odezwał się poufnie — kilka dni temu spotkał się na łowach z bratem. Byłem świadkiem ich rozmowy.

Niespokojny bardzo biskup zwrócił się, rozkazując mu opowiedzieć o wszystkim, i słuchał namarszczony, zadumany, gdy Wichfried powtarzał co słyszał.

— Nowa to dla nas trudność do przełamania — odezwał się — ale z pomocą Bożą i tę pokonamy. Nałegać musimy, nie ustąpić, *salus rei publicae suprema lex*. Prawo, jakie Mieszek miał, utracił, łamiąc zakony wszelkie bożkie i ludzkie. Jam skazany na wygnanie, wojewoda na stratę oczów i ręki, inni na śmierć, więzienie i różne kaźnie. Zechceli książę oporem swym dać nas na łup? Jeżeli nie pójdzie z nami, wyrok na nas wyda!

A gdy Wichfried szepnął, że dać mu się trzeba uspokoić — dodał.

— Nie będziemy dzisiaj nastawali, ale czas drogi. Mieszek posłał do zięciów o posiłki, gdy je otrzyma, sprawa cięższą się stanie. Nie dawajcie Kaźmierzowi ujść pokryjomu, bo i na to ważyć się gotów, a w Haliczu go przyjmą...

Wichfried skłonił głowę i cofnął się. W izbie tymczasem to gwar zbyt, to niespokojne panowało naprzemiennie milczenie. Patrzano na drzwi, szeptano między sobą. Książę się nie pokazywał. Klęczał ciągle i modlił się. Dwa razy zajrzała doń księżna i cofnąć się musiała, zaglądał Goworek, dowiadywał

się Jaksa, widząc go zatopionym w modlitwie nie śmieli wniknąć.

Wreszcie najśmielszy Goworek stanął w progu i czekał, oznajmując tem, że mówić potrzebuje.

Wstał książę i zbliżył się ku niemu, objął go z czułością wielką, badając trwożnie oczyma.

— Czy i ty z niemi będziesz przeciw mnie? — zawołał.

— Miłościwy panie mój, ja zawsze z tobą jestem i będę, ale i oni nie są nieprzyjaciołmi twemi.

— Są! są! choć się druhami być mienią — przerwał Kaźmierz, nieprzyjaciołmi są pokoju mego szczęścia, swobody. Panem mnie zwa, a niewolnikiem chcę uczynić; tak, zakuć mnie w dyby, związać w łyka, uczynić nieszczęśliwym i zdrajcą!

— Tak — miły mój!

Goworek głową potrząsał.

— Znasz książę moje przywiązanie do ciebie — rzekł. — Nie pragnę dla was wielkości i potęgi ino szczęścia, ale inna rzecz dola człowieka małego, a inna tych, których Bóg wysadził na to, aby nami rządzili. Wy nie należycie do siebie.

— Przyjacielu mój — odparł książę — błogosławionej pamięci ojciec mój, którego ja nie pomnę, bom w kolebce był, gdy mi go Bóg odebrał — jednego mnie chciał wolnym mieć nie dając mi nic. Jednemu z potomstwa swojego, szczęścia niezamąconego chciał dać skosztować. Matka ocaliła siostrę, dając ją do klasztoru na służbę Bożą — a! i mnie się tam pono schronić było potrzeba.

— I ztamtądby was wzięła miłość ludzi a szacunek cnoty waszej — rzekł Goworek.

— Pochlebca mi nie bądź — odparł surowo książę — do rządów siły potrzeba, której ja nie mam. Dumy trzeba i żądy, których nie znam... Stali chwilę milczący naprzeciw siebie.

— Nie litajesz się nademną! — dodał książę.

Sługa wierny spuścił głowę i szepnął.

— Biskup Gedko z panami czekają na was. Kaźmierz się wzdygnął, popatrzył w okno mierząc czas po słońcu, i kazał przywołać komornika, aby przeoblec szaty.

W izbie oczekiwano nań ciągle. Biskup się niepokoił coraz więcej, szemrali inni, gdy Kaźmierz, który z sobą ani za sobą nikomu iść nie kazał, wyszedł w ubiorze prostym, ciemnej barwy, jakby i tem okazać chciał, że mu wszelki blask był przykrym. Twarz miał bladą ale wypogodzoną, zmuszał się do uśmiechu. Przyszedł biskupa powitać całując go w rękę, obrócił się ku innym, a spostrzegłszy, że sami prawie Krakowianie go otaczali, oczy spuścił.

Wnet na rozkaz wydany, wieczrę dawać poczęto. Zasiedli wszyscy obok biskupa i księcia, którzy pierwsze miejsca zajęli. Goworek i Jaksa z Wichfriedem gospodarzyli przy innych stołach. Przy uczcie nie bywało zwykle mowy o sprawach publicznych, a tłum też nie dopuszczał o nich rozprawiać. Zagaił Gedko o potocznych rzeczach, czemu książę rad się okazał.

Gwar wkrótce nie dopuścił już innych rozmów nad te, jakie z sąsiadami prowadzono.

Z krakowskich ziemian większa część już zawczasu pewna zwycięstwa, dobrą myśl okazywała.

W tem Leszczyc niedaleko od księcia siedzący, rozpowiadać począł, iż w Sandomirzu widział już nawet niewiastę, która chroniąc się od ucisku braci pod opiekę księcia się schroniła przeczuwając, że tu jest sprawiedliwość i moc wszelka.

Zagadli inni zaraz, iż o Dorocie z Tęczyna mowa była, która i z wdzięków i z zalotów swych słynęła.

Wojewoda, do którego imię to doszło, spuścił głowę, biskup ją podniósł namarszczywszy brwi.

— Bracia na nią zdawna czyhają — odezwał się — aby ją zamknęli, bo ich słuchać nie chce i zbyt niej swobody zażywa. Musiała się tu schronić między

ziemiany naszymi, na przyjaciół rachując, których do zbytku ma. Krakowska ziemia wszystka teraz w Sandomirzu.

O przyjaciółach wdowy mówiąc, biskup z ukosa na wojewodę spojrzął, ale Szczepan oczu nie podniósł i uczynił, jakby nie słyszał wcale.

Książę rad, iż o rzeczach obojętnych mówiono, o wdowę pytać zaczął, przypomniawszy ją sobie. Opowiadał Leszczyc różne jej sprawy, wojewodę biorąc na męki, ale pominąwszy go i nietykając, strachu mu tylko napędził.

Gdy się już zadługo o tem ciągnęło, przerwał biskup.

— Ani prawić tak wiele, ani słuchać o tej niewieście nie przystało, płochą jest i nieporządną. Bracia że ją zamykać chcą, ażali nie mają słuszności nie wiem, bo im srom czyni, siebie i drugich wiodąc na zgubę.

— Juści jako wdowa wolną jest — rzekł Leszczyc.

— Nie, bo do żywota niewiasta ani letnią ni panią swej woli być nie może — rzekł biskup...

Nikt mu się przeciwieć nie śmiał i zamilkli wszyscy, czemu wojewoda rad był, gdyż w obawie, aby mu łaty nie przypięto, oczu podnosić się nie ważył.

X.

Następnego dnia, ks. Biskup Gedko mszę ranną sam odprawiał w zamkowej kaplicy. Książę klęcząc jej słuchał, przedniejsi ziemianie i rycerstwo napeł-

niali szczupłą budowę i zalegali tłumem u proga. Księżna z synaczkiem także była przytomna.

Po wczorajszym gorączkowem usposobieniu wszystkich, dnia tego widać było myśli poważne na czołach i niemal troskę. Począwszy od księcia i Biskupa, każdy się zdał przywalony brzemieniem, ale z rycerstwa patrzyła jakaś odwaga i postanowienie silne, jakby się na wielki i stanowczy krok gotowało.

Zaledwie dokończywszy mszy cichej Biskup skinął na Wojewodę i gdy książę wstał od kłęcznika, starszyzna wszystka z Gedką na czele za nim się potoczyła.

Czuć było że chwila w której się losy Kaźmierza i krakowskiej ziemi rozstrzygać miały, blizką była, gotowali się do niej wszyscy na duchu. Książę dnia tego już się nie starał unikać rozmowy, wolnym krokiem szedł obok Gedki do wielkiej izby. W drodze nikt nie przemówił słowa, spoglądali na siebie, dając znaki porozumienia.

Kaźmierz szedł blady jak winowajca którego wiodą na plac kaźni, ale z rezygnacją i powagą. Uniknąc spotkania i starcia dłużej już nie było podobna.

Gdy się naprzód książę z Biskupem, potem wszyscy przedniejsi znaleźli w izbie, stanęli kołem otaczając Kaźmierza. Cichość panowała uroczysta, przerwał ją pierwszy Gedko.

— Miłościwy książę—odezwał się—przyszliśmy do ciebie jako dzieci do ojca, a ja pasterz wiodę oto gromadkę tę, która ci się do stóp kłaniając, prosi abys objął krakowską stolicę i wierzchnią władzę.

Nie tajno Wam że panowanie Mieszkowe stało się wszemu ludowi nieznośnem, czyny jego o pomstę do Boga wołają, a cnoty twe o nagrodę do niebios. Idź więc, siadaj na stolicę i rządz nami. Niech pokój i błogosławieństwo Boże zstąpią na utrapioną ziemię naszą.

Tak począwszy wymowny Biskup sławił Kaź-

mierza, który z oczyma spuszczonemi, słuchał niemal zawstydzony. Wynosił jego rozum, naukę, miłość sprawiedliwości, waleczność, łagodność, miłosierdzie, chętne wybaczenie uraz, skromność, szczodroblivość, zamiłowanie w pracy, cierpliwość.

Ziemiańskie słuchając coraz to mrużeniem, szemrem, okrzykami mu potakiwali. Gdy biskup długą swą skończył mowę, książę wzruszony zrazu odpowiedzieć nie mógł, łzy mu z oczów płynęły. Wreszcie począł słabym głosem.

— Nie pierwszy to raz miłości waszej dowody mi dajecie—rzekł—wiodąc mnie na pokuszenie władzy, której ja nie pragnąłem i nie pragnę. Przypomnijcie sobie że niektórzy z was Światosław, Jaksa i inni, ciągnęliście mnie już abym to sławne państwo objął za żywota brata mojego Bolesława! Odrzuciłem wówczas nagabanie to, przenosząc miłość i wierność bratu nad urok potęgi znikomej. Albowiem kto na brata godzi jakby sam na siebie uderzał. Jeżeliś naówczas młodszym będąc, nie chciał się zmazać niewiarą cóż dzisiaj?

Godziłoby się iść tą drogą do władzy? nastawiać na wygnanie starszego brata, który mnie kocha, i pozornej wielkości poświęcać pocziwość? Sami bądźcie sędziami.

Biskup nie dał mówić mu dłużej.

— Miłościwy książę—przerwał—cale inaczej stały sprawy naówczas a dzisiaj. Kilku ludzi przyjaznych chciało cię prowadzić na stolicę, dziś wszystkich lud woła do ciebie. Ginie państwo to jeżeli ty go ratować nie będziesz. Nie mówię o sobie bom na męczeństwo gotowy, ale wszyscy przedniejsi skazani już są na wygnanie lub kalectwo i więzienie. Padną głowy—to nic jeszcze, ale z niemi prawa i swobody nasze ziemiańskie, niewola trupem uczyni ciało to żyjące ziem naszych. Zlituj się nie nad nami, a nad ziemią swą, której winienesz życie.

Kaźmierz poruszony był.

— Ojcie—zawołał — Mieszek nie może i nie chce być niesprawiedliwym i okrutnym, ja moją głowę poniosę za was i zakon się zastawuję.

Niesłuchając go, zaczęto wołać.

— Panuj nam! panuj!

— Nie czynicie mnie zdrajcą, nie czynicie bratobójcą! przerwał Kaźmierz.

— Nie chcemy Mieszka zguby—odparł Biskup—zdali się Wam, niech wraca na dzielnicę swą, ale gdy starszym być nie umiał niech będzie posłusznym młodszemu.

Kaźmierz z opuszczonemi rękami słuchając milczał, gdy ziemianie zbliżyli się doń i przyklękając za kolana go i za ręce chwytać poczęli.

— Idź z nami, panuj nam!—powtarzali.

— Mieszka wybawisz — dodał Wojewoda Szczepan — inaczej on życia nie pewny, ze strachu o siebie, w obronie własnej porwać się kto nań może.

— Przejednamy go — odezwał się książę — możemy odpędzenie sług niedobrych. Zamiast czynić mnie wywłaszczycielem, dajcie mi być pośrednikiem.

Gedko słuchając głową potrząsał.

— Wszyscy Mieszka znamy—odezwał się — nie da się on złamać, ani zastraszyć, ni pokierować, między nim a ziemianą zgody już być nie może.

Przystąpili doń znowu wszyscy a Biskup począł z gorącością wielką.

— Nie odstąpimy ztąd bez ciebie — zawołał. — Mali to być grzechem co czyniemy, ja grzech ten na sumienia nasze rozkładam. Gwałt ci zadamy! Wyblągamy to abyś się dla nas poświęcił.

— Panem nam musisz być, ty lub nikt — dodał Wojewoda a za nim Leszczyc, Cholewa i wszyscy. — Nie ma tu jednego coby mówił inaczej, coby przeczył! Zgodnie wszyscy prowadzimy cię na stolicę.

— Krew przelaną będę mieć na sumieniu! — zawołał Kaźmierz.

— Jedna kropla jej nie popłynie, bo walczyć nie

potrzebujemy — odparł Biskup. — Krom samego Mieszka i małej garstki zauszniaków jego żywego człowieka niema w krakowskiej ziemi, co by z nim i przy nim stanął. Nawet przyboczne jego strażę z nami się połączą.

— Tak jest—ciągnął dalej Wojewoda—mamy tę pewność. Zamek czeka tylko aby ci otworzyć bramy.

Nalegano silniej coraz, gdy Kaźmierz, który nie wiedział już jak się opierać, o czas do namysłu prosił.

— Sumienie nie dopuszcza!—rzekł.

— Daną mi od Boga władzą, rozgrzeszam je — przerwał Biskup.

Kaźmierz wzburzone jeszcze zgromadzenie porzucając, szybko się oddalił.

Po wyjściu jego gwar powstał ogromny. Chciano gonić za nim, ale Jaksa i Wichfried zaparli drogę. Biskup spokój zalecił, głosy ucichły i zmieniły się w szemranie.

Kaźmierz tymczasem w izbie swej zamknawszy się, przebiegał jej krokami wielkimi. Drzwi od niej stały otworem do drugiej w której po Henryku spuścizna, zbroja jego i płaszcz wisiały; rzucił się ku tym pamiątkom drogim, jakby chciał uciec na łono brata, u niego szukając opieki i rady. Drżący cały, zburzony, łzy miał na oczach.

— Co powie duch ojca naszego! co ty Henryku mój rzeczesz, z wysokości patrząc na niegodnego zdrajcę i przecherę? Godzienże będę modlić się za was? Mieszka przekleństwo nie spadnie na mnie i ród mój? o Boże!

Rzucił te słowa przerywane, dobywające mu się z piersi, gdy ręka prawa, którą obejmował zbroję i płaszcz brata poczuła że coś zimnego padło w nią i do niej przyłgnęło, jakby na wołanie to cień Henryka mu z czemś w pomoc przychodził. Drżącą ręką ściskając to na co dłoń natrafiła, Kaźmierz podniósł ją i spostrzegł dawną niewidzianą buławę, jak berło misternie wyrabianą, którą Henryk przywiózł z sobą

z Palestyny. Była ona darem Ludwika króla Francyi, krzyże i lilje godła pokoju i zgody stały na niej wyryte.

Jakim sposobem to berło znalazło się w jego ręku, gdy było zawsze przytwierdzone do zbroi, nie umiał sobie Kaźmierz wytłumaczyć — stanął głęboko zadumany. W owym wieku wiary, gdy w każdej chwili ludzie widzieli nad sobą czynne działanie Opatrzności, mieszającej się do wszystkich życia wypadków — los, który mu dał w dłoń berło, mógł Kaźmierz uważać jakby za wskazówkę przeznaczenia.

Drżącą ręką postawił berło na swem miejscu, ale stoczyło mu się pod nogi i napróżno usiłując je przytwierdzić do zbroi brata, musiał wreszcie złożyć je na stole.

Nie dano mu długo spoczywać samemu, wcisnął się Jaksa, stary druh i napastnik stary, który już dwakroć ciągnął na stolicę Kaźmierza, z nim Wichfried przyjaciel młodości, oba z twarzami rozjaśnionemi.

— Próżna rzecz opierać się — rzekł Jaksa wchodząc śmiało. — Nastają na szyje ziemian, wyroki na nich wydane, Biskup zagrożony wygnaniem — książę musisz iść do Krakowa. Mieszka opuścili już wszyscy, krom Kietlicza i kilku ludzi, nikogo niema.

— Mówiłem wam — odparł Kaźmierz — pójdę ale ako pośrednik, jako pojednawca, sam się oddam w jego ręce, aby was zasłonić. Tak, idę ale nie inaczej jak z małą garścią ludzi, któraby seciny nie przenosiła.

Zdobywać Krakowa nie myślę, brata wypędzać nie będę. To moje słowo ostatnie.

Jaksa z Wichfriedem spojrzeli na siebie.

— Dobrze tak — rzekł pierwszy — idźcie w stu, idźcie w pięćdziesięciu ludzi, ale idźcie i ratujcie. Przekonacie się sami czy jest co do uczynienia. Więcej od was nie żądają.

— Jako pośrednik, nie inaczej — dodał Kaźmierz.

— Jako chcecie — potwierdził Jaksa.

Zatem pozwólcie aby o tem, dla ich uspokojenia, oznajmił Biskupowi i ziemianom.

Jaksa żywo wyszedł z komnaty, pozostał Wichfried. W chwilę potem okrzyk ogromny rozległ się po zamku, w podwórcach, do koła.

Zbladły Kaźmierz rzucił się na krzesło.

W tem wbiegł rozpromieniony Goworek i całując księcia po rękach, wołać począł.

— Na kiedy książę konie mieć każesz gotowe?

Książę pomyślał chwilę.

— Choćby jutro, jadę — ale nie więcej jak w pięćdziesiąt.

— Kilkaset jest ich na zamku i w mieście — rzekł Goworek.

— Niech idą gdzie chcą, rozjadą się, stoją i czekają, z większą siłą ja nie ruszę. Rzekłem i uczynię jakom rzekł.

Goworek głowę skłonił i wyszedł.

W wielkiej izbie zebrani już się zwycięstwem cieszyli, Biskupa twarz się uśmiechała, Wojewoda był wesół, ziemianie się ściskali.

— Z niewoli nas wybawił, — wołano, — zbawcą jest naszym.

Gedko jednak zawczesnej radości nakazał milczenie ostrożne.

— Nie trzeba nalegać nań, straszyć go, niech jedzie w pięćdziesiąt koni, choćby z dziesiątkiem tylko, my tam będziemy co go na zamek wprowadzimy, załoga nasza, lud wszystek. Mieszek uchodzić musi, chceli życie ocalić. Kaźmierzowi dać trzeba czas aby się z sumieniem przejechał.

Książę, zaledwie wyrzekłszy słowo stanowcze już go żałował, Wichfried który go nie odstępował, spostrzegł posmutniałe i zmienione lice, począł go pocieszać i krzepić, ale Kaźmierz zamknął mu usta.

Nie prędko wyszedł znowu do zgromadzonej starszyny. Tu, jakby sobie na to słowo dano, nie

wznowiono rozmowy, nie nalegano; przyjęto go jak pana w milczeniu. Ziemianie według danych im przez Biskupa i Wojewodę skazówek rozjeżdżać się zaczęli.

U stołu wieczornego gdy zasiedli, Biskup zagaił rozmowę o świątobliwych sprawach innych panów i królestw, o kościołach, klasztorach, relikwiach świętych, budowaniu gmachów na chwałę Bożą jakich w Polsce nie widziano.

Każmierz mocno się tem zajął. Przeszedł czas na opowiadaniach o ziemi włoskiej, niemieckiej i francuskiej, o nowych na krzyżowe wyprawy przygotowaniach.

Ku końcowi tylko, gdy się rozejść mieli, gdyż pobożny Biskup chciał wieczorne godziny odprawić, rzekł do księcia.

— Dziękujemy wam za obietnicę. Weźmiesz książę koni ile zechcesz, a my we dwu nieodstępnie towarzyszyć Wam będziemy. Choćby bez orszaku, pójdziemy z Tobą.

Tak się rozstali.

Gdy się to na zamku działo, w chacie zajmowanej przez wdowę, nowa się napaść na księcia gotowała i nowe dlań niebezpieczeństwo. Nie bez przyczyny rzeczono że co niewiasta mieć chce to się stać musi. Mają one ten zmysł iż gdy czego pragną, ku temu wszystkie siły swe na raz skierowują; nie trwa ten ogień słomiany długo, ale wielkiem płomieniem gorzeje.

Wdowa namiętną była a raz powiedziawszy sobie że księcia pozyskać musi, ku temu celowi z całą gorącością swą się zwróciła. Nie miał pokoju koniuszy i sługi, póki nie dowiedzieli się przez kogo i jak do księcia najłatwiej trafić można. Na zamku już miała przekupione sługi.

Radzono różnie, jedni Goworka, drudzy Jakse, inni Wichfrieda jako poufałego przyjaciela od młodoci, któremu książę najwięcej pozwalał.

Wiedząc o nim dawniej i rachując na to że młodego łatwiej sobie pozyszcze, Dorota postanowiła udać się do Wichfrieda. Wybór był szczęśliwy, Niemiec sam niewiasty lubił, z księciem o nich rozmawiał, wchodził do izby kiedy chciał, wprowadzał z sobą kogo mu się podobało.

Wichfried kręcił się koło zamku nieustannie, a tego dnia, z powodu wyboru w podróż, w której miał księciu towarzyszyć, więcej niż kiedy. Dorota upatrzawszy chwilę gdy z zamku do koni jechał, wybiegła z dworku, drogę mu zastąpiła i poczęła błagać a prosić aby do niej zaszedł na chwilę rozmowy.

Domyślił się Niemiec kto była, a piękna i strojna niewiasta, tak go pierwszem wejściem ujęła że się jej opierać nie mógł. Kunszt uwodzenia ludzi i przemawiania do nich, miała Dorota od natury dany. Umiała gdy jej było potrzeba pokorną się stać, zachwałą, poważną, swawolną, nieszczęśliwą. Rzuciwszy okiem na Niemca miała już pewność że się on jej nie oprze.

Gdy rzuciwszy konia wszedł za nią do dworku, zdziwiony trochę napaścią bardzo dlań miłą, już blagająca przed chwilą niewiasta zmieniła się w miłośnicą panią gotową mu rozkazywać; zawsze piękna, teraz rozognieniem, niecierpliwością stała się wdzięczniejszą jeszcze.

— Wście druhem a bratem księciu naszemu, — zawołała śmiało doń przystępując Dorota — uczynicie to, uczynicie abym ja mu do nóg rzucić się mogła, aby mojej prośby posłuchał na chwilę!

Jestem nieszczęśliwą, przesładowaną sierotą, rodzeni bracia godzą na życie moje — opieki szukam u księcia.

Zalamała przed nim białe dłonie. Wichfried się nśmiechał patrząc, i niedowierzając tej wielkiej boleści i niebezpieczeństwu.

— Wiecie pewnie kto jestem — mówiła śmiejąc

coraz — ludzkie języki mnie szkalują — jestem Dorota z Tęczyna.

Wichfried słuchał nieprzerwywając, przypatrując się z przyjemnością pięknej wdowie, która mówiąc o miotanych na się potwarzach, postawą, wejrzeniem, obejściem całem, zdawała się dowodzić iż nieprzyjaciele niedarmo ją ogadywali.

Ale w oczach Wichfrieda nie była występkiem zalotność, a wdowa w pełnym swym wdzięków rozkwicie tak go zachwyciła, że rad był jej służyć w czymby mu przykazała, byle u niej łaskę zyskać.

Nie zdało mu się też grzechem i znękanego Kaźmierza widokiem tak pięknej niewiasty rozweselić. Pomyślał nawet w duchu że ta wspaniała postać jakby na kochankę króla była stworzoną.

Chciał się tylko nieco podrożyć.

— Miłościwa pani — zawołał — wcale to nie w czas teraz księcia niepokoić. — Smutny jest, zaprzatniony, zmęczony przez Biskupa i ziemian.

Dorota spojrzała szydersko.

— O! — odparła — ja mu długo czasu nie zabiorę, a żeby dlań męką być miało z niewiastą młodą pomóc chwilę — niewiem!

Zrobiła minę nadąsaną i dumną.

Wichfried stał jedząc ją oczyma, co postrzegłszy, obróciła się kilkakroć jakby mu się lepiej pokazać i popisać z sobą chciała, z taką zalotnością zachwalała iż Niemiec oszalał.

— Miłościwa pani — zawołał — mając litość nad księciem nie mogę wam wyrobić posłuchania. Gdybyście starszą a mniej piękną byli — ale co na to powie księżna pani gdy się dowie?

Uśmiechnęła się wdowa udając skromną.

— Ja zalecać mu się nie myślę — rzekła oczyma sobie kłam zadając — tylko prosić o opiekę.

— Niebezpieczna rzecz brać was w opiekę — począł wesoło, zbliżając się do niej Wichfried — to jak żarzewie za pazuchę.

Ja com tu wszedł ino, a już mi się wychodzić nie chce, — Siedziałbym jak wkuty, choć sprawa pilna.

— Siadajcież proszę — rozśmiała się rada z siebie wdowa i klasnęła na służę, aby wino podał, które zawczasu przygotowane było.

Miała już Wichfrieda i była swego pewną. Gdy przyszło pić, Niemiec wymógł na niej aby wprzód do kubka przyłożyła usta, dla nadania napojowi smaku, potem przysiadł się do niej tak blisko iż czuł jej oddech i mógł na białe patrzeć ramiona.

— Wiem — odezwała się do niego — że książe jutro jedzie do Krakowa, ja czekać nie mogę, wprzód się z nim widzieć muszę i zapewnić sobie jego opiekę. Zatem, miły panie, dziś mi wyrobiecie posłuchanie.

— Dzisiaj? kiedy? chyba o mroku?

— O mroku! w nocy! wszystko mi jedno — odpowiedziała Dorota — księcia się nie boję. Padnę mu do nóg, powiem o prześladowaniu mojem, ojcem mi musi być.

— Za młody na to jest! — rzekł Wichfried. Dorota niby nie zrozumiałszy, ciągnęła dalej.

— Będę na was czekała do nocy — rzekła — wprowadźcie mnie tylko, nie lękajcie się o mnie ni o niego.

Wichfried nie przyrzekał jeszcze, ona nacierała.

— Musicie to uczynić dla mnie. Uśmiechali się ku sobie. Dorota poczęła coraz zuchwalej.

— Miałam opiekuna w starym, Wojewodzie Szczepanie, Biskup się gorszył tą opieką i kłatwą mu zagroził — nic mi już po tym trupie!

— Biskup gotów potem mnie i księcia wykłinać — rzekł Wichfried.

— Czyście żonaci? — spytała wdowa.

— Ja nie.

— Niema więc za co, bo wam szukać sobie niewiasty nie grzech, a księżętom dużo wolno! Jam też już stara i kto by tam o mnie myślał! — dodała śmiejąc się sama.

Wichfried ujął ją za rękę białą, nie wyrwała mu jej, zbliżył się jeszcze, nie uchyliła się, owszem skorzystała z tego aby mu coś do ucha szepnąć żywo, i wnet z siedzenia wstała, jakby już swego pewną była.

— Teraz sobie na koń siadajcie,—dokończyła— a wieczorem przyjdziecie po mnie.

Posłuszny jak dziecko Wichfried pełnił przykazanie, ale z chaty wyrwawszy się jak pijany, ledwie konia mógł dosiąść.

— Czarownica!—rzekł w duchu.

Przed wieczorem, Niemiec, który o niej zapomnieć nie mógł, znalazł się sam na sam z księciem.

— Mam i ja poselstwo z prośbą do was — odezwał się żartobliwie — ale moje nie straszne! Owa wdowa, Dorota z Tęczyna, o której przy stole mówił Leszczyc, prosi a błaga o chwilę posłuchania, dziś wieczorem.

— Dziś? tu?—zapytał książę.

— Pilno jej — dodał Wichfried. — Sprawy nie znam, wiem tylko że na nią bracia godzą. — Niewiasta urokliwa, ale ponętna... choćby w oczy jej zajrzeć tylko, miło. Do nóg się wam rzucić chce aby opiekę wyprosić.

Każmierz, choć ciekaw jej był, zawahał się. — Nie pora—rzekł—z niewiastą do mnie po nocy iść. Co ludzie rzeką!

— Przecie córka ziemianina, z żałobą do pana każdego czasu przyjść może—rzekł Wichfried. — Nie pozostanie długo.

Zręcznemu Niemcowi opowiadając o swych rannych odwiedzinach w chacie łatwo było książęcia ciekawość obudzić. Znał go dobrze i wiedział że się da jej uwieść. Nie łatwo to jednak przyszło, opierał się Każmierz, wstręt jakiś i obawę czując, choć go ciekawość ciągnęła, aż Wichfried strach jego wysmiewać poczynawszy, prawie gwałtem wymógł że przyprowadzić mu ją na chwilę pozwolił.

Za wczasu tego dnia przed jutrzejszą podróżą wszyscy się porozchodzili, Każmierz u żony posiedziawszy chwilę, powrócił do swej komnaty.

Tak mu jednak wiele na głowie ciążyło, iż choć z Wichfriedem się umówił o posłuchanie dla wdowy, zapomniał o niem zupełnie. Goworek był z nim jeszcze na rozmowie, gdy Niemiec wszedłszy dał znak że wdowa nań czekała w Henrykowej komnacie.

Każmierz z pewną obawą i wahaniem, wszedł do niej.

Izba była przyćmiona nieco, gdyż tylko dla przejścia przez nią miała się w niej lampka paliła. Wśród tego mroku, na którego tle biały płaszcz Henryka i zbroja jego jak widmo stały — zaledwie dojrzeć mógł książę niewiastę która nań oczekiwała.

Stała jednak tak aby słabe lampki światelko całe na nią padało, a w półcieniu tym, który piękność jej czynił powietrzną i mglistą, jak drugie widmo jakiegoś zjawiała mu się ta piękność, któraby może o świetle słonecznem namiętne swem licem, mniej uczyniła wrażeń.

Z żałobą idąc ubrała się też żałobnie, czarno, lecz załotnica i wielka pani nie zapomniła łańcuchów i złota. Zdobiły ją klejnoty uwydatniające kształty, które znikają we mroku.

Z niespokojną ciekawością wpatrywał się w nią Każmierz, gdy wdowa napróżd do kolan mu się pochyliła, potem chwyciwszy za rękę, gorące do niej przyłożyła usta. Tym pocałunkiem namiętnością zatratym jakby chciała przelać w niego gorączkę swoją, zmieszała księcia, który napróżno dłoń jej wyrwać usiłował.

Wlepiła w niego błagające oczy.

— Miłościwy książę, ojcze, ratuj mnie sierotę, wdowę—poczęła pół głosem by nie być podsłuchaną—cała ci się w opiekę oddaję. Bracia potwarzami mnie obrzuciwszy, czyhają na życie! Bronń mnie panie! od ich napasć z domu uchodzić musiałam.

To mówiąc powtórnie rękę jego chwyciła, i zręcznym ruchem zbliżyła się ku niemu.

Ta postać piękna, przypominająca mu drugą, ukochaną, podobną do tej a różną, tak dziwne wrażenie uczyniła na księciu iż długo stał niemy nie mogąc przemówić słowa. Czuł że mogła urokiem jakimś pociągnąć go ku sobie. Obawiał się zdradzić głosem, wyrazem.

— Tyś pan dobry, miłosierny, litościwy, — mówiła Dorota — wydziedziczonej, spotwarzonej, odrzuconej nie odepchniesz! Szłam do ciebie panie z ufnością jak do Boga! Złożyła ręce przed nim.

— Uspokójcie się — rzekł Kaźmierz — mówcie czego żądacie? Uczynię co mogę.

— Tyś pan nasz! ty możesz wszystko! — wykrzyknęła wdowa.

— Mylicie się — odparł książę — jam na Sandomirzu pan, w Krakowie sługa starszego brata.

— Nie! nie—przerwała Dorota — wszyscy wiedzą że się jego panowanie skończyło, a wasze zaczęło.

— Tak nie jest! na Boga!—oparł się Kaźmierz,

— Tak być musi!—powtórzyła niewiasta — inaczej wszyscy i ja bym zginęła...

Książę nie mogąc się już zdobyć na wyraz inny, zażądał znów by się uspokoiła. Piękna wdowa, jakby ją nagle wielka boleść ogarnęła, niby osłabła zachwiała się, rękę przykładając do czoła zdało się że upaść może.

Książę ulękłszy się, wskazał jej ławę by usiadła. O to może zręcznej niewieście chodziło, padła na nią, zwiesiła głowę na piersi, milczała, coś naksztalt tłumionego łkania dobywało się z ust w pół otwartych.

Książę stał pomieszany, mając czas przypatrywać się wdowie i wszystkim jej wdzięk, które niby mimowolnymi ruchy zdradzała, to się osłaniając, to chyląc, to podnosząc, to upadając pod ciężarem nieśczęścia swojego.

Przedłużało się posłuchanie, a że Dorota mil-

czała, nie mogąc dobyć głosu i oczyma tylko badając Kaźmierza, a oczarować usiłując, odezwał się łagodnie.

— Mówcie co dla was uczynić mogę?

— A! najmiłościwszy panie—przemówiła nareszcie — ja się na nogach utrzymać nie mogę, ty stoisz przed służebnicą twoją! Ja muszę ci opowiedzieć losy moje, posłuchasz mnie litościwie. Potem samo twe serce królewskie powie ci co masz uczynić dla mnie. Litość czytam w oczach twoich.

Kaźmierz usiadł naprzeciw niej; głos jej, postawa, wdzięk nieszcześliwej przykuwały go do miejsca. Wdowa umyślnie przedłużała posłuchanie, a że mówić chciała cicho, pod pozorem by słyszaną lepiej była, zbliżyła się tak że książę oddech jej mógł uczuć prawie.

— Miałam najlepszego ojca który mnie kochał i popsuł, bo do miłości przyzwyczaił. Jego dobroć zazdrość w braciach obudziła. Kochałam będąc wzrostkiem ubogiego ziemianina, za którego mnie nie dali. Zabili go.

Zmuszono iść za starca! Zmarł ojciec, poczęło się prześladowanie, chcieli mi wydrzeć co on zostawił. Szukałam opieki, zakrzyczeli żem gachów szukała; ja—ja—dodała ręce podnosząc — com nie kochała tylko raz gdy byłam dzieckiem prawie, a odtąd nie spotkałam w świecie ktoby mi mógł być miłym.

Dziwnem wejrzeniem zdała się mówić księciu. — Nikt chyba ty!

— Miłościvi książę — ciągnęła dalej — spotwarzono mnie, jam niewinna! chyba że czystą się czując śmiałą jestem.

Weź mnie, panie, w opiekę swoją, osłoń — będę ci wierną służebnicą! Zostanę przy dworze twym, pójdę gdzie nakazesz, choć córką jestem możnego gniazda, będę nianęzyć dzieci twoje.

Dla takiego pana jak ty, któżby życia nawet nie dał?

Śmiało te a dziwnie poplątane wyrazy, mieszały Kaźmierza, ale widać było że wstrętu mu nie czyniły Uśmiechał się.

— Boże uchowaj—rzekł—ażebyście zbyt blisko mnie być mieli—niebezpieczną jesteście. Potwarze na was rzucają że mężczyzn za sobą wodzicie, którzy się wam oprzeć nie mogą.

Dorota oczy sobie przysłoniła.

— A! panie—wyjąknęła—czyż się to godzi tak z nieszczęśliwej naśmiewać. Piękność moja i młodość dawno poszły ze łzami... a dziś już —

Spojrzała nań oczyma przymglonemi, białe ząbki z różowych ust się dobiły—książe patrzył, coraz bardziej czując się ujętym. Korzystając z osłupienia, wzięła rękę jego, znowu coś szepcząc, prosząc a całując ją napastliwie.

Kaźmierz bladł i czerwieniał, szczęściem mrok izby zmian jego twarzy widzieć nie dawał. Wrażliwy do zbytku nie mógł się oprzeć tym pieszczotom niewiasty natarczywym—drżał cały, zapominał się. Nawzajem, ująwszy jedną z jej rąk, odezwał się głosem który wdowa sobie wytłumaczyć umiała—niepewnym i drżącym.

— Uczynię dla was — co tylko mogę, co zechcecie...

Ale wy... jesteście niebezpieczną niewiastą.

— Dla was? — podchwyciła wdowa radosnie — dla was, do którego tyś się wzdycha?

— Nikt! nikt! — odparł Kaźmierz spuszczać głowę. Szumiało mu w niej, odwrócił się, uląkłszy sam siebie.

— Jąde do Krakowa—dorzucił spiesźnie — kiedy powrócę niewiem, przemówię za wami do brata... Jedźcie za mną, ale nie okazujcie się ludziom, bo złe są ludzkie języki.

— O!—odezwała się szybko i wesoło, pozbywszy udanej boleści — mnie nikt nie pozna, ja się także po

mężku, a choćby we zbroję przebrać umiem, mogę być giermkim gdy trzeba.

Mówiąc z przyciskiem: także, spojrzała na księcia, który się poruszył zmieszany, bo mu na myśl przyszła Jagna.

— O!—dodała Dorota cicho—ja wiem wszystko i widziałam tę co konno po mężku jeździ po lasach.

Palec położyła na ustach, książę trochę zagniewany tą odwagą—rzekł prędko.

— Niewiem kto po lasach jeździ!

Dorota potrząsnęła głową.

— Mnie ani w lesie ni w mieście nikt nie zobaczy.

To mówiąc przysunęła się śmiało do księcia, i chwyciwszy rękę którą całowała długo, dodała żywo.

— Mam więc jechać do Krakowa? a tam! nieprawdaż? dacie mi znać przez Wichfrieda?

— Czekać będę rozkazów! O! bądźcie mi opiekunem! bądźcie. Ja was tak jak nikt miłować będę, jak nikt!

Książę stał milczący i upojony, nie będąc panem siebie, gdy Wichfried czatujący u drzwi, który rachował że się już nadto długo posłuchanie przeciągnęło, podniósł zasłonę i kaszlnął.

Dorota cofnęła się kroków parę, przybrała postawę skromną i pokorną, otarła oczy które się śmiały, schyliła do kolan księcia i figlarnie nań spojrzawszy powoli ustępować zaczęła.

Wichfried wchodził, Kaźmierz cofnął się do swej komnaty, dwaj przyjaciele kilka słów zamienili z sobą po cichu i Niemiec przez izby puste powiódł nazad milczącą Dorotę. Umiała tak przed nim ukryć swe wzruszenie i radość wielką, że gdy wyszli w podwórze, Wichfried jej zapytał czy rada była podśluchaniu?

Odwróciła się doń.—Jak sądzicie?

— Niewiem.

— Tak dobry pan, ja tak nieszczęśliwa, mógłże mnie odepchnąć? Widział łzy moje.

— Przysięgnął co?

— Wstawić się za mną do Mieszka! Pokręciła głową.

Ja ufam że wy mnie jemu przypominać będziecie.

— A wy, miła pani, o mnie też zechciecie pamiętać!—rzekł Wichfried.

— O! pewno! pewno, ale dziś—dodała wdowa— głowę mam pełną naszego miłościwego pana, już się w niej nikt inny nie zmieści!

Gdy doszli do wrót zamkowych, Wichfried chciał ją dalej prowadzić, ale tu czekał na nią koniuszy z chłopakiem i wdowa zwróciła się do Niemca z pożegnaniem.

— Bóg zapłać — rzekła cicho — zobaczymy się w Krakowie, mnie tam kazano, a i wy też z księciem jedziecie.

Podawała mu rękę, wyrwała ją prędko i wybiegła za wrota.

Gdy Wichfried na zamek powrócił, zastał księcia samym, niespokojnie się po izbie przechadzającym. Spojrzeli sobie w oczy razem, jakby w nich czytać chcieli. Książę spuścił je niemal zawstydzony.

— Czarownica to jest — rzekł — nie dziw że ludziom zwraca głowy—lecz, lepiej się od niej trzymać zdala.

I natychmiast zmienił rozmowę, nie dając odpowiedzieć Wichfriedowi.

— O brzasku w drogę! tak — potrzeba pośpieszać aby Mieszka ratować.

Wichfried — dodał gorąco — Wichfried! na twą drużbę cię zaklinam, na cienie Henryka, na sumienie twoje, uczyni co przykazuje. Dziś, zaraz nocą slij przodem do Krakowa, do Mieszka, jedź sam, to lepiej. Oznajmij mu że przybywam dla pojednania i zgody. Ostrzeż go niech powolnym będzie. Mnie tam ciągną, ja muszę iść, ale idę z gałęzią oliwną. Niech Mieszek nie uchodzi z grodu, niech się Biskupowi ukorzy, niech Kietlicza wygna; ja zaś mówić i popierać go będę. Mów mu to, uprzedź, błagaj...

Głos jego zadrżał.

— O panie! — zawołał podnosząc oczy — odwróć ten kielich odemnie!

Wichfried stał nieodpowiadając ale oblicze mu się zmieniło.

— Jedź! — powtórzył Kaźmierz.

— Ja? — zawołał Niemiec — ja? do Mieszka? Czyń książę co chcesz, wyrzecz się mnie, wypchnij, gniewaj, przeklnij, ja tego nie uczynię; zdradziłbym was i te ziemie co mnie gościnnie przyjęły...

A nie tylko ja, miłościwy panie, ale nikt nie pojedzie, bo na gniew Mieszka nadaremnie narażać się nie zechce; a ktoby rozkaz ten spełnił, ziemianieby go rozsiekli.

Nie waży się nikt, ja nie mogę!

Książęciu głowa na piersi opadła, szeptał jakby modlitwę.

— Stanie się wola Boża!

KONIEC TOMU II-GO.

Muzeum
JIK
ROMANOW
274

